

ANDRZEJ KUŚNIEWICZ  
Król Obojga Sycylii  
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY  
Okładkę i obwolutę  
projektował MIECZYŚLAW MAJEWSKI

Warszawa 1970

Można by zacząć tak:

„Były raz dwie siostry - Elżbieta i Bernadetta, oraz ich brat, Emil.”

Albo inaczej:

„Dnia dwudziestego ósmego lipca 1914 monitor rzeczny cesarsko-królewskiej

marynarki «Bodrog» oddał o godzinie... pierwszy strzał w kierunku Belgradu. Na

niewielkiej wysepce porosłej wikliną, odległej mniej więcej o kilometr od

Panćeva, stoi dwóch oficerów. Przez polowe lornetki obserwują tamten niedaleki

serbski brzeg Dunaju. Patrzą pod jaskrawe, nisko nad wodą zawieszzone, purpurowe

słońce. Można by je porównać do balonu na linie, którą ktoś niewidoczny ściąga

powoli w dół. Ale obaj oficerowie zajęci są czym innym niż porównaniami Lego

rodzaju. Przez chwilę blask bijący od wody, której dotyka już ceglasty balon w

dwu miejscach przekreślony w poprzek cienkimi smugami oparów, jest tak mocny,

iż panowie oficerowie oglądają w otworach lornetek roztopioną miedź. Trwa to

przez chwilę, może przez pół minuty, może nieco dłużej, po czym jeden z

przedstawicieli c. k. armii wskakuje do czółna ukrytego w trzcinach,

sięgających tutaj prawie dwu metrów, i powoli odpływa w stronę Panćeva.

Powietrze jest przejrzyste, nasycone zapachem wodnych roślin i pociemniałej już  
toni Dunaju] Drugi z oficerów, w randze kapitana, będzie jeszcze przez chwilę

trzymać w rękach lornetkę polową. Gołym okiem można zobaczyć z tego miejsca

ciemny pióropusz dymu rozchylającego się wachlarzowato w stronie, gdzie

widnieje na zielonkawym niebie ciemna sylwetka Kalamegdanu barwy indyga.”

Można by jeszcze inaczej:

„Na rogu Kiralyi utca, naprzeciw piekarni Wintera Lajosa, istniała w mieście

Fehertemplom, inaczej Bela Crkva lub Ungarisch Weisskirchen, winiarnia należąca

niegdyś do Supicicia, zwanego przez klientów - Nandor-bacsi." I tak dalej.

Lub:

„Po nader upalnym dniu, gdy wreszcie można było z ulgą odetchnąć nieco

chłodniejszym powiewem rodzącym się w stronie starych glinianek na Cygańskim

Przedmieściu, wietrzykiem nadlatującym w odstępach niemal rytmicznych w

muzycznych gamach - tuż za ulicą Kerti, czyli Ogrodową - tam gdzie zaczyna się

właśnie Cygańskie Przedmieście, Csigan-varos - gdyż Kerti utca nie można

zaliczać jeszcze do tamtej dzielnicy - zabrzmiał krótki krzyk, po czym nastąpiła

cisza) Grube pokłady kurzu zaścielają jezdnię, leżą na 'liściach łopianów,

dzikiej cykorii i dzikiego ślazu. Stado wróbli poderwie się na chwilę, potem

przysiadzie na najbliższej akacji. Jej liście wskutek upału są poskręcane,

niektóre już nawet opadły. Dominuje barwa miedziana w połączeniu z piaskową

szarością. Tu i tam niektóre fragmenty ścian, parkanów oraz pni akacji zaczną

nabierać koloru śliwkowego fioletu. Około jedenastej w nocy tego samego dnia

ktoś doniesie na posterunek żandarmerii, że w jednej z nie używanych od dawna

glinianek znalazł zwłoki młodej Cyganki. Pełniący tego wieczora służbę na

posterunku wachmistrz królewskiej węgierskiej żandarmerii Yilajcić Istvan

podniesie się

6

niechętnie spoza stołu, na którym stoi nie dopita szklanka wina. Bez pośpiechu

zapnie pas, po czym, włożywszy kapelusz ustrojony pękiem zielonych kogucich

piór, wyjdzie na ulicę."

Fakty te wydadzą się na pozór nie powiązane w jakąś logiczną całość, a tym

mniej - wzajemnie uwarunkowane. Tak jednak, jak się zdaje, nie jest. Każdy z

nich istniał, zdarzył się w czasie ściśle realnym, i przez to na zawsze

utrwalił. Niczego nie sposób zmienić w minionym, nie można wyrwać ani pominąć. Przeszłość jest bowiem niepodzielna. Nie jest wykluczone, chociaż dowodów na to nie ma i być nie może, iż brak którejkolwiek cząstki mógłby zmienić całkowicie późniejszy tok wypadków w skali publicznej oraz prywatnej. Domniemanie to nie jest aż tak absurdałne, jak by się wydawało. Ważność i nieważność jest bowiem względna.

W chwili gdy dnia dwudziestego ósmego czerwca, a zatem równo miesiąc temu, o godzinie dziesiątej dziesięć w mieście Sarajewie, tuż obok Komendy Policji, o kilka zaledwie kroków od sklepu z żelastwem Rachera i Babicia, pewien młodzieniec w czarnym płaszczu i takimż kapeluszu z rondem nasuniętym na oczy rzucił pod samochód wiozący Jego Cesarską i Królewską Wysokość Arcyksięcia Następcę Tronu Franciszka Ferdynanda, jego małżonkę oraz generała artylerii Oskara Potioraka - bombę, która zraniła lekko w okolicy łopatki księżną małżonkę Zofię von Hohenberg, ciężiej zaś podpułkownika von Merizzi, należącego do świty arcy-księcia - w mieście Fehertemplom pierwszy szwadron dwunastego c. k. pułku ułanów powracał z rannych ćwiczeń polowych w szyku luźnym. Kopyta koni wzniewały kurz, szczękając podkawkami o nierówny bruk Ferenc-József-tór. Kilku wyrostków przyglądało się żołnierzom, których spodnie, ułanki oraz buty z ostrogami pokrywał siwożółtawy letni pył. O ile się nie mylimy, w tym właśnie momencie, gdy zamachowiec unosił rękę, by rzucić bombę pod samochód następcy tronu, porucznik lodkay, jadący obok drugiego plutonu, kichnął, po czym, krzywiąc się, przyłożył do nosa i ust chusteczkę jedwabną nasyconą wodą kolońską 4711. Trwał upał już o tej godzinie, termometr wywieszony obok szyby wystawowej w aptecce Csilag - „Pod Gwiazdą” - wskazywał o dziesiątej dziesięć ponad czterdzieści stopni w cieniu. Szofer prowadzący samochód arcyksiężęcej pary, Leopold Sojka, zauważywszy

nadlatujący łukiem czarny przedmiot, dodał gazu, nachyliwszy się odruchowo nad kierownicą. Granat upadł na zwiniętą budę samochodu, stoczył się na bruk i tam wybuchnął. Arcyksiążę, również odruchowo, osłonił ramieniem księżnę Ho-henberg, która podskoczyła na siedzeniu. Upał spowodował zapewne, iż kilku oficerów pierwszego szwadronu wracającego z porannych ćwiczeń polowych, a wśród nich i dowódca jednostki, rotmistrz Peter Malaterna, oraz porucznicy: Gruber, lodkay i Franilević, postanawiają udać się do najbliższej winiarni, a jest nią, licząc od koszar ułańskich w stronę dworca, zakład znany w całym mieście pod nazwą „Weinkeller zum Goldenen L6-we”, należący do Niemca, Alojzego Kellermanna. Będą szli, hałaśliwie rozprawiając, środkiem jezdni, a cygańska dzieciarnia, gromadząca się tu, w okolicy targowiska, w oczekiwaniu na sposobność ukradzenia ze straganów lub chłopskich wozów melona lub kawałka przysmażonej na arkuszu blachy podpartej dwoma cegłami kiszki wątrobianej, czerwonej od papryki, zacznie uciekać, kryjąc się po bramach, ustępując z drogi idącym w stronę winiarni Kellermanna panom oficerom. I o tej samej godzinie w Trieście, w hotelu „Quar-nero”, Emil R., jeszcze w cywilu i jak najdalszy myślami od bliskiego włożenia uniformu c. k. sycylijskich ułanów, zapali pierwszego w tym dniu papierosa, mając zamiar zabrać się do pisania. Onegdaj zaczął na czystej karcie kancelaryjnego papieru wyjętej z zielonej irchowej teczki pisać utwór, który miałby stać się czymś w rodzaju eseju na tematy dość nie sprecyzowane: o muzyce pojętej, jak mu się zdawało, w sposób odkrywczy, a także o uczuciach, jakie go gnębią od paru lat. Wyjmie pióro z marmurowej miniaturowej urny, będącej zarazem postumentem do kałamarza w kształcie na pół leżącej nimfy. Marmur, z którego nieznany artysta wykonał ten przyrząd, jest jasnopozielaty, pokryty nieco ciemniejszymi żyłkami, tworzącymi pajęczą sieć. Emil R., dzierżąc pióro w palcach prawej ręki, zamyśli

się, patrząc w okno na pół otwarte i do połowy przysłonięte ażurową firanką, kołysaną podmuchami sirocca wiejącego od wczoraj wieczór. Gałązka akacji rosnącej tuż przy murze, również kołysana powiewem, będzie ocierać się z miarowym szelestem o narożny gzyms balkonu pierwszego piętra. Potem E. odłoży papierosa na popielniczkę, ciężką i niewygodną, gdyż zagarniającą przy każdym przesunięciu serwetkę pokrywającą hotelowy stolik pod oknem.

A Cyganka Marika Huban będzie o tej porze spać jeszcze w jednej z drewnianych bud na skraju przedmieścia Csigan-varos w mieście Fehertem-plom. Będzie leżeć na wznak, zgrzana i lśniąca od potu, przykryta czerwoną chustą, którą przez sen z siebie zsunie po chwili. A obok niej, śpiącej z otwartymi ustami - na glinianej podłodze, a także na wygaszonej kuchence w kącie izby będą krzątać się dzieciół jeszcze na progu, w otwartych drzwiach, siądzie stary Cygan Csilko i zacznie czyścić zęby ułamaną drzazgą, spluwając co chwila, a kudłaty czarny kundel za chwilę zaszczeka i rzuci się w stronę kępy karłowatych, pokrytych pyłem akacji, gdzie coś się poruszy. i Kto? A może jakiś pełzający dzieciak? W tej chwili jednak - a idzie dokładnie o dziesiątą dziesięć według czasu środkowoeuropejskiego - pies jeszcze leży obok Cygana Csilki, zjeżony już na karku i z nastawionymi uszami, jego nos zaś marszczy się gniewnie.

Na szyi śpiącej Mariki można by podziwiać sznurek z nawleczonymi koralikami. Po chwili stwierdzamy, iż nie jest to sznur, lecz cienki i mocny drut. Śpiąca przytrzymuje naszyjnik dwoma palcami lewej ręki, w tym oświetleniu prawie czarnymi, gdy prawe ramię leży odrzucone w bok, wprost na glinianej podłodze baraku. Będzie od czasu do czasu poruszać we śnie palcami tej wysuniętej ręki. I będzie się jednocześnie dziać w różnych stronach i klimatach, lecz dokładnie o tej samej godzinie i minucie - dziesiątej dziesięć - wiele jeszcze spraw błahych i ważnych, prywatnych i publicznych, tajnych oraz jawnych, których

wyłączenie lub pominięcie, jak należy sądzić, unicestwiłoby rzeczywistość i przekreśliło plany, zamiary i ich wyniki, czynności różnych osób w tej samej chwili działających lub mających zamiar działać.

Być może więc rotmistrz Malaterna wraz z kolegami nie otworzyłyby drzwi winiarni

„Zum Golde-nen L6ve”, cygańskie wyrostki nie kryłyby się po kątach

Ferenc-József-ter, zwłaszcza za parkanem składu desek firmy „Winter und

Gethner” na rogu Munkacsi utca, Emil R. zaś nie spojrząłby w okno, poza którym

gałązka akacji - a może jest to miłorząb - ocierając się o balkon, wydaje

monotonny szelest, Marika Huban odjęłaby palce lewej dłoni od naszyjnika

z majstrowanego przed dwoma dniami z koralików ukradzionych na straganie

niejakiej Natalii Kosma, a następnie mozolnie nanizanych na cienki drut

znaleziony w śmieciach obok magazynu Misiticia na Kiralyi utca - gdyby różne te

fakty, obiektywnie błahe, lecz subiektywnie w danej chwili jedynie ważne, gdyż

działające się

10

realnie, spełniane i w momencie spełniania już nieodwołalne, nie nastąpiły z

jakiejs przyczyny, być może samochód marki Daimler, numer rejestracyjny

A-II-118, z szoferem Leopoldem Sojką za kierownicą, arcyksiążęcą parą zaś wraz

z namiestnikiem Bośni i Hercegowiny, ekscelencją Potiorkiem na tylnym siedzeniu

oraz podpułkownikiem hrabią von Merizzi obok kierowcy, minąłby o pół sekundy

wcześniej punkt, w którym stał czarno odziany młodzieniec, tak że nie zdążyłby

on podnieść ramienia i uderzyć bezpiecznikiem bomby o metalowy słup latarni,

aby rzucić następnie śmiercionośny ładunek wprost w samochód dostojnych gości.

Gdy zaś burmistrz miasta Sarajewa, efendi Fe-him Curčić, za chwilę pokłoni się

nisko Jego Cesarskiej Wysokości przekraczającej próg sali przyjęć ratusza,

sytuacja zmieni się już diametralnie: rotmistrz Peter Malaterna wraz z trzema

kolegami zasiądzie za dębowym stołem w chłodnej, pachnącej winem salce

winiarni, Kellermann, właściciel zakładu, podejdzie do nich wycierając dłonie w niebieski fartuch, kłaniając się, podobnie jak burmistrz Sarajewa przed arcyksięciem czyni to w tej samej dokładnie minucie. Emil R. odwróci wówczas oczy od okna, sięgnie po dymiącego na popielniczce Memphisa, lecz dłoń jego zawiśnie na moment w powietrzu, tak że cienkie błękitne pasemka dymu przesuną się między jego palcami niby lekki woal. Tylko gałązka za oknem będzie wciąż i nieodmiennie wykonywać ten sam jednostajny ruch tam i z powrotem. I nie jest wykluczone - możemy sprawdzić na zegarku: jest w tej chwili punktualnie dziesiąta trzydzieści dziewięć i mamy jeszcze przed sobą godzinę życia Jego Cesarsko-Królewskiej Wysokości, ściślej: godzinę bez kilku minut, pod warunkiem że nic nam nie przeszkodzi, nic nie zatrzyma płynącej rzeki zdążającej ku ujściu - jakiemu? - jest na to jeszcze czas, lecz czy go ktoś wykorzysta? Wątpliwe. Może właśnie w tej samej chwili Marika Huban odejmie palce od koralików nanizanych na cienki, lecz bardzo mocny drut i przez sen odwróci się twarzą do ściany, gdy o kilka zaledwie kilometrów od tego miejsca trzeci szwadron sycylijskich ułanów dowodzony przez rotmistrza hrabiego Alojzego Kray von Kraiova, w swej kolejności wracający z rannych ćwiczeń, wjeżdżać będzie między pierwsze przedmiejskie ogrody, minie zabudowania folwarku Moravica, należącego, jak i większość wsi, pól uprawnych, pastwisk i winnic tej okolicy, do hrabiowskiej rodziny Festetics de Tolna. Na równinie zaś, ciągnącej się jak okiem sięgnąć po nieco przymglony płowy horyzont drgający od upału, po lewej stronie drogi, którą jechać będą sycylijscy ułani, ukaże się wysoki tuman kurzu, potężny jak burzowa chmura, i zacznie się przybliżać i rozrastać w górę i wszcz, więc niektórzy jeźdźcy osłoniwszy oczy od słońca spojrzą w tamtą stronę, hamując konie, by za chwilę -

ale będzie to czas przyszły, a zatem jeszcze nie spełniony, jeszcze go nie ma, można go jednak przeczuć chyba i przewidzieć - ujrzeć stado białych wielkorogich madziarskich wołów pędzących w galopie, przeganiających się, wspinających w biegu jeden na drugiego, zdążających do wodopoju, do żłobów wydrążonych w dębowych pniach, gdzie studzienne żurawie, a jest ich kilkanaście stojących rzędem, pochyla się szeregiem skrzypiąc, pociągane przez parobków-cziko-sów, odzianych w niebieskie fartuchy nałożone na parciane spodnie związane w kostkach. Ułani usłyszą (wciąż jadąc dwójkami wyciągniętym szeregiem przez niezmierną banacką równinę) porykiwanie bydła tłoczącego się przy żłobach, potracającego się wzajemnie rogami, rozpychające-12 go, gdyż inne woły jeszcze wciąż w galopie zaczną wyłaniać się dopiero z tumanów kurzawy prześwietlonej na wskroś promieniami słońca, rudawej i ja-snoróżowej, wznoszącej się w tym momencie na kilkanaście metrów ku niebu, a że nie ma najmniejszego przewiewu, będzie tak wisieć niemal nieruchomo. Ktoś zaś (jest to wciąż ta sama pora dnia z dokładnością do jednej sekundy, ta sama nierozdziel-na rzeczywistość spełniająca się w tej chwili) oparty o framugę wystawy sklepowej składu obuwia Ludwika Wintermanna na rogu Ferenc-József-ter w Fehertemplom ziewnie, poprawi na głowie czarny kapelusz i odejdzie.

- Ktoś inny (i gdzie indziej - na przykład w portowym mieście monarchii, Trieście) przejdzie stukając obcasami po kamieniach trotuaru tuż pod oknem, za którym siedzi na fotelu obitym jasno-różowym adamaszkiem Emil R. Lecz on tego nie zauważy, zatopiony w myślach. Niebawem sięgnie po pióro, zapomniawszy o papierosie, który zgaśnie. Natomiast osoba idąca pod oknem - a jest to młoda kobieta w jasnożółtej letniej sukni i w białym modnym kapelusiku owiązanym woalką barwy jau-ne de Naples - przejdzie przez jezdnię na ukos, bawiąc się



rączką parasolki zwiniętej, lecz niezupełnie, i przez to wyglądającej jak kwiat odwrócony kielichem w dół, po czym przystanie na rogu skweru oświetlonego teraz jaskrawą zorzą nadmorskiego słońca, z murawą przegowaną cieniami rosnących tam tamaryszków, i rozejrzy się, jakby na kogoś czekała. I wtedy właśnie efendi Fehim Ćurčić rozpocznie swe powitalne przemówienie. Za nim ustawią się radni miasta Sarajewa i duchowieństwo czterech miejscowych wyznań. W pierwszym szeregu muzułmanie w fezach, w drugim dostojnicy katolicycy we frakach z cylindrami w ręku, za nimi prawosławni.

13

Jest też przedstawiciel miejscowej gminy izraelskiej. I jak powszechnie wiadomo, Jego Cesarsko--Królewska Wysokość przerwie opryskliwie to przemówienie, burmistrz zaś miasta Sarajewa straci wątek i zamilknie. Arcyksiążę po krótkiej chwili machnie ręką: - Teraz może pan mówić dalej - i efendi Ćurčić istotnie, z trudem opanowując tremę i pomieszanie, zacznie od miejsca, w którym mu przerwano: „...serca nasze przepełnione szczęściem... nasza głęboka wdzięczność za miłościwą i ojcowską troskę Waszej Wysokości... o najnowszy klejnot w świętej cesarskiej koronie, Bośnię i Hercegowinę...” - a wówczas wielka i kosmata mucha wyleci spoza kotary wiszącej po obu stronach szeroko otwartych dwuskrzydłowych drzwi i zatoczy krąg wokół dostojnego gościa, który będzie obserwować jej spiralne ewolucje, zachowując jednocześnie powagę, a nawet dobrotliwą surowość należną podniosłej okazji, tak że tylko jego gałki oczne będą się obracać w ślad za utrapionym owadem, aż ten wreszcie przysiadzie na jakimś gzymsie sali audiencjonalnej sarajewskiego ratusza. Ale to nastąpi dopiero za chwilę. Na razie mucha lata jeszcze, a burmistrz przemawia, jękając się i pocąc. To, co się ma za chwilę stać, nastąpi lub też nie nastąpi. Stan zawieszenia. Powtarzamy: wszystkie te fakty o różnym znaczeniu obiektywnym, niemniej

wszystkie ważne subiektywnie, a zatem jednakiej wagi istotnej, tworzą nierozłączną całość, z której nie sposób wyłączyć niczego, gdyż każdy jej składnik jest jednakowo ważny. Jednak (mimo iż może się to wydać komuś dziwne, a nawet gorszące) ważny będzie zgon Jego Ce-sarsko-Królewskiej Wysokości w dniu dwudziestego ósmego czerwca, jak i śmierć młodej Cyganki Ma-riki Huban równo w miesiąc później, dwudziestego ósmego lipca tego samego 1914 roku. A może i tak błahe z pozoru zdarzenia, jak skok psa od progu

14

cygańskiego 'szałasu' w- stronę1 krzaczastych zakurzonych akacji, w których poruszyło się coś podejrzanego, i szelest gałązki miłorzębu, wywierający jakiś trudny do określenia wpływ na tok myśli młodego Emila R. - wszystko się liczy, wszystko dla kogoś jest w danej chwili niepomiarne ważne, niczego nie sposób zatem ominąć ani zlekceważyć. Gdyby wyrwać jeden bodaj składnik, jedną figurę zdjąć z szachownicy, okazałoby się, iż cały obraz w ruchu nieustannym zatrzymałby się i zastygł. Oglądalibyśmy jak gdyby film, w którym zamarło życie: osoby zmierzające dokądś stanęłyby w miejscu z nogą zawieszoną nad ziemią, z kawałkiem hiszpańskiego tortu nadzianego na widelec, niesionego już ku rozchylonym w oczekiwaniu ustom, lecz nie doniesionego. Nawet krem ściekający z widelca zawisłby w powietrzu. Usta zaś pozostałyby na zawsze martwo i absurdalnie otwarte.

Skoro wspomnieliśmy o filmach, warto dodać, iż w mieście Fehertemplom wyświetlają w tym tygodniu w jedynym kinematografie - „Bio-Moder-ne” - film dwuseriowy pod tytułem Królowa Nilu, który trafił tu, obszedłszy uprzednio z dużym powodzeniem inne, ważniejsze miasta monarchii, od Wiednia i Grazu po Budapeszt i Arad. W dwu zaś kinematografach Triestu może, kto ciekaw, obejrzeć słynną gwiazdę ekranu, Astę Nielsen, w jej ostatniej kreacji, w dramacie psychologicznym pod tytułem Engelchen. Przed jednym z kinematografów

triesteńskich stoi w tej chwili samochód marki Audi, model 1912, malowany na kremowo, czte-rocyndrowy, mogący, jak twierdzi kierowca odziany w biały prochowiec z granatowym kołnierzem oraz czapkę z nałożonymi na nią samochodowymi okularami ochronnymi, rozwinać szybkość aż stu kilometrów na godzinę. Mówi o tym trzem robotnikom, którzy przerwawszy pracę przy naprawie rur wodociągowych na pobliskim placu, zacie-  
15  
kawieni podchodzą do samochodu. Szofer opowiada o podróży, jaką odbył wczoraj z Wiednia via Semmerring, Miirzzuschlag, Judenburg i o swym pracodawcy, wicedyrektorze Landerbanku z Wiednia, który przed chwilą wszedł do pobliskiego sklepu. Drzwi kinematografu „Edison” są o tej porze zamknięte. Jeden z robotników odejdzie za chwilę od samochodu, by porzuciwszy swych kolegów wciąż omawiających zalety i wady "nowego modelu Audi, obejrzeć z bliska barwne afisze reklamujące film ze słynną aktorką. Przy nadbrzeżu portowym zaś gromadka podróżnych otacza przycumowany do mola austro-wę-gierski statek pasażerski „Prinz Hohenlohe”. Rejs został w ostatniej chwili odwołany. Pasażerowie różnych nacji, różnie odziani, w różnych celach udający się do portów wschodniego basenu Morza Śródziemnego, do Pireusu i na Korfu, do Konstantynopola i Aleksandrii, dopytują się o dalsze losy wstrzymanego rejsu. Ktoś - jest to zapewne przedstawiciel „Austro-Lloyda”, udziela im wyjaśnień. Nieco dalej można łatwo rozpoznać pękaty kształt starego, wysłużonego, lecz wciąż niezawodnego transatlantyku „Karpathia”. Na pokładzie nakrytym płóciennym daszkiem krzątają się marynarze. Jeden, opuściwszy nad wodę nogi w białych spodniach, śpiewa jakąś chorwacką tęskną pieśń. Powietrze jest łagodne, nie ma wiatru, więc nawet poszczególne słowa można dosłyszeć tu, na pasażerskim nadbrzeżu. Zdarzenia, które przez swą zbieżność w czasie tworzą nierozzerwalną jedność, czy

to przez zbieg okoliczności, czy nieprzeniknione fatum, można zaliczyć do dwu stref w sensie ściśle fizycznym.

I tak istnienie i losy rodzeństwa R., w tej fazie, która styka się bezpośrednio

z innymi faktami zrównanymi na mocy oceny równoległości w czasie i

jednoczesności, należałoby, jak się zdaje, wpi-

16

sać w koła, jakie tworzy woda wyciekająca z wanny po otwarciu kanału

odpływowego. Powstanie oto na mocy przyciągania ziemskiego, czyli prawa

ciężkości, ruchliwy wir, usiłujący wedrzeć się do wylotu rury, przy czyni

należałoby dodać tu i ciśnienie powietrza na płaszczyznę wody. Utworzy się wir,

a następnie uformuje lejek skierowany wierzchołkiem w otwór spustowy. W

ostatnim stadium tego coraz szybszego odpływu, tego opróżniania wanny,

usłyszymy młaśnięcie, niby przedśmiertne westchnienie, i lejek zniknie.

Inaczej przedstawiają się fakty równoległe w czasie, równie realne i spełnione

nieodwracalnie lub też w trakcie spełniania, o których wspomniano już. Można by

je porównać, pozostając w sferze wodnej aury, do kręgów nie koncentrycznie

zbiegających się, jak w fenomenie wanny po otwarciu spustu, lecz rozbiegających

się odśrodkowo. Wystarczy rzucić kamień do wody, by sprawdzić ten znany

powszechnie fakt. Powstaną wokół miejsca, gdzie wpadł do wody kamyk, kręgi

rozbiegające się szeroko, coraz szerzej, aż kiedyś gdzieś tam zanikną i

powierzchnia wody się uspokoi. Kręgów tych, ruchu wody nie uda się nikomu

zahamować ani wyciągniętym ramieniem, ani wiosłem. Może je dopiero zatrzymać,

zagradzając im drogę, mocna tama. Wówczas wodne zatoki i koła zaczynają się

cofać. Są to jednak sprawy zbyt już oczywiste i znane, by je tu roztrząsać na

nowo.

A zatem powtarzamy:

Były raz dwie siostry - Elisabeth i Bernadetta, oraz ich brat, Emil.

Gdyby ta informacja nie wystarczała (a zawsze znajdzie się ktoś żądny

szczegółów, a nawet plotek mało istotnych, lecz z jakiejś przyczyny ' dla niego

nieodzownych), można by dodać/ po następujące

2 - Król Obojga Sycylii

17

Wymienione osoby zostały spłodzone przez Emanuela R., w swoim czasie wziętego

adwokata w Grazu, a następnie zamieszkałego w Wiedniu, syndyka

Bodenkreditanstaltu, a także jednej z filii Lander-banku. Spłodził je zaś w

różnych okolicznościach, co nie jest bez znaczenia i dlatego godne jest uwagi.

Najstarszą, Elżbietę, po powrocie pewnego wieczoru z operetki, której tytuł

wypadł nam z pamięci, i po miłej kolacji w gronie przyjaciół, spożytej w

restauracji hotelu „Elefant”, przy Mur-platz 13, w Grazu, w lipcu roku 1890.

Mecenas, krzepki i rosły mężczyzna w wieku przejściowym, lecz w

pełni męskich sił, wszedł do swego mieszkania przy Seebachergasse 3 w

znakomitym pooperetkowym i pokolacyjnym humorze, nucąc arię z operetki

obejrzanej przed paru godzinami, i powiesiwszy melonik marki Habig na

szaragach w przedpokoju, wstawiwszy laseczkę ze srebrną rączką w

kształcie głowy charta do kosza naśladowującego wazę w chińskie smoki, wciąż

pogwizdując tę samą arię, przejrzał się w lustrze i dziarsko ruszył,

podkręcając wąsy, w stronę małżeńskiej sypialni. W tym czasie jego żona,

poślubiona mu przed trzema laty, obdarzona nieco melancholijną urodą (zwłaszcza

można było zauważyć to w wyrazie oczu i kształcie brwi), także przed lustrem,

tyle że znacznie większym, wyciągnąwszy długą szpilkę przytrzymującą letni

kapelusz ozdobiony niebieskim piórem nad czołem, również cichutko nuciła.

Zdjąwszy kapelusz i ułożywszy go na stoliku obok lustra, zaczęła, przybliżywszy

twarz do zwierciadła, przyglądać się sobie z baczną i troskliwą

uwagą. Nie podobało się jej zmęczenie umiejscowione w okolicy powiek, zwłaszcza

dolnej, nieco teraz obrzmiałej i przyciężkiej. Natomiast w samym

wyrazie oczu iskrzyły się jeszcze resztki ożywienia po miło spędzonym wieczorze. Pani R. westchnęła i przysiadła na brzegu małżeńskiego łoża, odrzucając róg jedwabnej seledynowej kapy. Wtedy właśnie do sypialni wkroczył małżonek, po drodze rozpinając guziki pikowej kamizelki w drobne wzorki. Szelki były już odpięte.

Średniego - idzie o chłopaka, który na chrzcie w kościele pod wezwaniem

świętego Leonarda otrzymał imiona Emil Henryk Joachim - spłodził pan mecenas w okolicznościach, rzec by można wyjątkowych, gdyż w sam dzień rocznicy urodzin

Najjaśniejszego Pana, to jest osiemnastego sierpnia 1892, data łatwa więc do

ściślego ustalenia i zapamiętania. Dla zachowania dokładnych szczegółów: była

to już noc z osiemnastego na dziewiętnasty sierpnia, zatem zbytnie wiązanie

daty tej z rocznicą urodzin Monarchy byłoby może za daleko posunięte i mylące.

Państwo mecenasostwo przebywali w Wiedniu od kilku dni, mieszkając w hotelu

„Klomserser” (w tym samym, tak jest, tym samym, w którym w roku 1913 odbierze

sobie życie pułkownik Alfred Redl, zły pamięci szef sztabu ósmego korpusu w

Pradze, lecz fakt ten, znacznie późniejszy od opisywanych tu zdarzeń, nie

powinien wpływać zbytnio na ich ocenę, stwarzając niepotrzebnie pozory jakiegoś

fatum). Otóż państwo R. byli świadkami uroczystości na głównych ulicach

Wiednia, w którym stały się one, jak corocznie, okazją do ludowych zabaw. I

wówczas, w jednej z kawiarni Prateru, mecenas zauważył, pijąc wino z małżonką

oraz przyjaciółmi - a byli nimi państwo Jacobi - dość energiczne zaloty młodego

kawalerzysty do młodziutkiej i ponętnej kelne-reczki, co wprowadziło go w

nastrój liryczny i zarazem bojowy. Wróciwszy do hotelu, nie zdjawszy nawet

melonika, cisnąwszy laseczkę z głową charta byle gdzie, zaznał uczucia

jurności, które doprowadziło go do dokonania nader gwałtownego wyczynu

miłosnego po dość długim, dodajmy, okresie erotycznej posuchy. Dokonał aktu, a nawet w krótkim

19

odstępie czasu dwu kolejnych aktów, co zdziwiło, w sposób zresztą miły, zrazu jednak nieco przestraszając, panią mecenasową, odwykłą od tej postaci miłości, jaką uraczył ją i zaprezentował tej nocy sierpniowej pan małżonek. Wydaje się - tego jednak nie jesteśmy pewni - że mecenas, zrzuciwszy wprawdzie w przedpokoju czarny surdut, zachował jednak przez cały czas na głowie melonik, o którym w zapale miłosnym zapomniał, pani mecenasową zaś, po zdjęciu przez męża gorsetu, nabytego poprzedniego dnia na Mariahilferstrasse, oraz części bielizny w najlepszym gatunku, nasyconej wonią werweny, wówczas modnej w pewnych sferach, pozostała poza tym w świątecznej cesarsko-urodzinowej gali: w letnim kapeluszu ze słomki, przepasanym granatową wstążką, oraz w obuwiu sznurowanym i sięgającym do połowy łydek, nader wytwornym, z cieniutkiej skórki i na dość wysokich obcasach. Nie jest wykluczone, iż na rękach zachowała również rękawiczki z irchy, czyli zamszu barwy słoniowej kości, torebka zaś leżała obok łóżka, na nieco podniszczonym już dywaniku.

Przy tym wszystkim należy domniemywać, znając mecenasa R. na tyle, by powziąć tego rodzaju podejrzenie, iż zacisnąwszy mocno powieki, oglądał w marzeniach miast żony ową uroczą kelne-reczkę z Prateru w całej jej wiośnianej krasie, sam niejako przedzierzgnięty w młodego ułana, jej adoratora, który - należy wziąć to pod uwagę - w tej samej chwili dokonywał zapewne podobnej czynności co mecenas i z podobną mu pasją, tyle że nie potrzebował uruchamiać w tym celu dodatkowo wyobraźni, jako że obiekt jego pasji miłosnej był właśnie ten sam, na którym mu w tej chwili wyłącznie zależało. Niemniej obie panie i obaj panowie złączyli się na odległość w tej samej minucie i w tej samej działalności, wydając podobne, gdyż powszechnie ludzkie, okrzyki i jęki rozkoszy. ;

Wziąwszy pod uwagę wszystkie te okoliczności, Emil stał się dziecieniem o podwójnym poniekąd charakterze, został bowiem spłodzony i poczęty na innym obiekcie w zamyśle, niż się to stało w realnej postaci. Obejmowana przez mecenasa jego ślubna małżonka była nią wyłącznie w sensie fizycznym, nie zaś istotnym - psychofizycznym. Nastąpiło rozszczepienie intencji na dwa nie przylegające ściśle czynniki, i stąd niewątpliwa osobność i odrębność zrodzonego po siedmiu miesiącach potomka, rezultatu tej burzliwej cesarsko--królewskiej nocy - Emila.

Gdyż Emil przyszedł na świat w Grazu w terminie skróconym, jako tak zwany wcześniak. Może przyczyną tego faktu było, iż mecenasową porodziła jedynaka niejako per procura, gdy właściwie zapłodnioną przez mecenasa powinna być owa młoda kelnerka nieznanego imienia i nazwiska? Płód tylko przypadkowo przyjęty i wyhodowany przez łono pani mecenasowej czuł się, być może. w nim natrętem, podrzutkiem, kimś obcym? Tego nie wiemy, lecz mogło tak być.

Istnieje jeszcze inna możliwość: jeśli owa dziewczyna z Prateru również poczuła się brzemienna po nocy w objęciach młodego ułana, jakaś trudna do określenia część intencji mecenasa pieszczącego ją z dala i wyłącznie w marzeniach mogła przeniknąć do jej łona, zubożając tym samym rezultat realny tej nocy sierpniowej - przyszłego syna pani mecenasowej, Emila. Można by się w ten sposób bawić w domysły i domysły domysłów w nieskończoność, niczego jednak to nie da, gdyż i tak przyszłość jest w jakiejś swej części zawsze nieprzenikniona jak los Edypa.

Emil narodził się w dwa lata po pierworodnej Elżbiecie, zwanej później Lieschen, a na rok przed przyjściem na świat ostatniej z rodzeństwa, Ber-nadetty. zwanej familiarnie Dettą.

21

O niej - z konieczności - najkrócej, najzwyczajniej. Stało się to jej poczęcie w



okolicznościach mało sprecyzowanych, niełatwych do zapamiętania, gdyż codziennych i raczej bezbarwnych. Od niechcenia, z nawyku spełniania od czasu do czasu coraz mniej atrakcyjnych obowiązków małżeńskich przewidzianych przez prawo, obyczaj oraz zasady religijne, uważanych przez mecenasa w tym czasie za coś w rodzaju dodatkowych prac kancelaryjnych, a zatem niemal wymuszonych, zwłaszcza że w tym czasie pan R. zainteresował się niejaką K., mecenasowa zaś przeżywała okres życia niezbyt szczęśliwy i mało korzystny, wzięwszy pod uwagę chroniczną przypadłość nerkową i jednocześnie trapiącą ją fluksję, którą zawdzięczała przeciągom tej zimy. Chodziła regularnie do dentysty S.N. przy Hartenaugasse 9, pierwsze piętro od frontu, drzwi na lewo, lecząc jednocześnie nerki u miejscowej sławy medycznej, doktora Maxa Fl. Zima tego roku była wyjątkowo przykra. Wiało nieprzerwanie od rzeki Mur, mgła, która tam się rodziła, miała tendencje wnikania w korytarze ulic, wypełniając je mroźną duchotą, śnieżyce następowały po odwilżach, w ogródku domu przy Seebachergasse 3 stały kałuże, to pokryte lodem, to lśniące czarno błotnistym dnem. Bywały dni, kiedy ponad morzem mgieł wznosiła się tylko Góra Zamkowa. Melonik mecenasa spoczywał od jesieni w szafie, kokieterijną laseczkę zastąpił mało efektowny parasol, pan R. zaś posługiwał się na co dzień futrzaną karakułową czapką, noszoną do szuby z takiegoż futra. Wszystko to ma swoje znaczenie, i dlatego nie należało chyba zapomnieć o tych pozornie błahych szczegółach. Dla ścisłości: Gdy mała E. (Elisabeth-Lieschen-Liselotte) miała pięć lat i stawiała się chudym stworzeniem o lisiej twarzyczce i jasnych włosach, nie chcących ku str-

22

pieniu matki dostatecznie szybko rosnąć, jej brat Emil kończył trzy latka, B. zaś (Bernadetta, zwana w rodzinie Dettą) dwa. Zaczynała dopiero gaworzyć. Był

to tłustawy, pogodny brzdąc, nieco, niestety, opóźniony w rozwoju. Z biegiem lat to się na szczęście jakoś wyrównało. Wyróżniała się, trzeba to przyznać, i później pewną uległością, biernością nieco senną i ślamazarną, a jej bezradność sprawi, że to ona właśnie stanie się z czasem (należy poczekać cierpliwie jeszcze kilka lat) obiektem różnego rodzaju eksperymentów ze strony swej starszej siostry, zdradzającej od wczesnego dzieciństwa skłonności do samowoli,

ekstrawagancji i perfidii, a obdarzonej sporą dozą fantazji i wyobraźni.

Wyprzedzając czas, nadmieniamy już teraz, że w czasie realnym, dziejącym się aktualnie (idzie, rzecz jasna, o koniec lipca i początek sierpnia 1914), Detta jest już od dwu lat zamężna z obiecującym młodym bankowcem, który dzięki poparciu teścia I jest dziś u progu kariery w Bodenkreditanstalt, ; a może sięgnie i wyżej. Bernadetta urodziła na wiosnę roku 1913 córeczkę, której po matce nadała imię Ethel.

I to byłoby niemal wszystko. A prawda - idzie przecież o te „zabawy” dzie-

cinne. A zatem tak. Trudno będzie jednak ustalić ściśle datę, kiedy się zaczęły. Podjęła je niewątpliwie pewnego dnia Lieschen, a był to chyba zimo-;

wy wieczór w salonie-poczekalni pana mecenasa .j R., ojca, który już od roku czy dwóch przeniósł się } z Grazu, z ulicy Seebacher numer 3, gdzie rodzina | będzie spędzać letnie miesiące, do Wiednia, wynaj-5 mując spory apartament przy Stubenringu. Lecz mogło się to przecież wydarzyć i rankiem, na przykład w sobotę, po generalnym myciu trójki rodzeństwa przez tak zwaną Fraulein, w porze gdy matka 23 wyszła do kawiarni na spotkanie z przyjaciółkami, pan mecenas zaś przebywa w sądzie.

Nie data wszakże ani pora dnia jest ważna, lecz przebieg, a raczej typ czy też model tej zabawy. Jej inicjatorką będzie Lieschen, obiektem eksperymentów posłuszna i zgodna Detta, pilnym zaś obserwatorem, odbiorcą, czyli medium -

Emil. Będą te gry w swej zasadzie, w swym założeniu i barwie niezmiennie, a w każdym razie bardzo do siebie podobne. Mogą się zmieniać szczegóły, nie ich treść. O wariantach zdecyduje fantazja i pomysłowość Lieschen. Do akcji (pośrednio, rzecz oczywista) wkroczy kiedyś i spowiednik, ojciec

Cornelius Blatt. I on pozostanie w jakiejś mierze świadkiem. Wkraczamy zatem na palcach do salonu przy Stubenringu i stajemy w kącie.

Możemy zachować własną osobowość, by pod własnym kątem widzenia obserwować wypadki, lub też przybierzemy postać Emila R. Lecz wówczas trudno nam będzie świadczyć obiektywnie o czymkolwiek. W braku czegoś lepszego zawsze pozostaną nam jeszcze domysły wysnute z zapisków oraz niektórych listów (przeważnie nigdy nie wysłanych) Emila. Poza tym zgoła nic.

Wchodzimy zatem niepostrzeżeni pewnego dnia do salonu oświetlonego lampą w różowym abażurze z matowego karbowanego szkła w kształcie rozchylonego kielicha nenufaru. Spiralne wgłębienia i wykrętne elipsy różowej umbrzy rzucają na ściany oraz sufit również pokrętne i różowopłowe, nieco rozmazane i ulotne cienie i smugi. W oknach salonu, wychodzących na Stubenring, wiszą ciężkie kotary spięte plecionymi grubymi sznurami zakończonymi sutymi chwastami. Może się zdarzyć, iż kotary te będą już zasunięte na noc, wiszące zaś poza nimi, tuż przy szybach, ażurowe firanki niewi-24 doczne. Przez jakąś szparę najwyżej od czasu do czasu przeplynie blask latarni

fiakra przejeżdżającego z klekotem kopyt po bruku. I jeszcze warto by wspomnieć o dywanie zaścielającym posadzkę. Z pięciu foteli jeden będzie odsunięty w cień ku szerokiej kanapie w stylu biedermeier.

Jesteśmy w epoce przekwitającej secesji, podstarzałej moderny, warto zatem dorzucić dla podmalowania tła tytuły kilku książek w bibliotece oszklonej, mahoniowej, bliższej stylu Marii Teresy niż epoce biedermeier. Podeszliśmy na palcach, przez oszklone drzwi pozwalające widzieć trzy górne rzędy książek

będziemy mogli odnaleźć obok innych dzieł ostatnie wydania dramatów Franka Wedekinda, kilka zeszytów czasopisma „Die Fackel”, Die Farben Hofmannsthal, Biały dwór Hermana Banga, oraz roczniki „Revue des Deux Mondes”, a także najnowsze powieści Marcela Schwoba i Barresa, jako że państwo mecenasostwo zaliczają się do osób oświeconych i podążających za ostatnią modą i najnowszymi prądami w kulturze. Bardziej pani R. niż mecenas, co prawda. Gdzieś w sąsiedztwie ktoś gra na pianinie. Mury, dywany i meble tłumią te dźwięki, niemniej, wsłuchawszy się, można je rozróżnić. Chopin? Może i tak. Lecz kto by wolał przy tej okazji Brahmsa lub fortepianową transkrypcję którejś z arii operowych, na przykład z Toski Pucciniego, nikt mu tego nie wzbrania. A oto Emil. Ktoś orzekł (może pani radczyni Marta Jacobi, a może ktoś inny), iż przypomina zewnątrz Schuberta w jego młodzieńczej postaci. A zatem moglibyśmy idąc od tego podobieństwa do źródła, do melodii - wybrać jakąś pieśń autora Niedokończonej. Chociażby serenadę *Leise fliehen mütne Lieder*. I już ta z dala napływająca fala muzyczna nie opuści nas, będzie nam towarzyszyć obok uparcie natrętnej woni perfum pani R. - „*Yiolettes Imperiales*”. Jako tło, a po 25 części - w miarę trwania - jako składnik i akompaniament niezbędny i nierozzerwalnie związany z aurą i salonu przy Stubenringu, i młodzieńczych zabaw rodzeństwa R. Jeden z foteli krytych pompejańskim brokatem odsunięto na bok. Noga fotela zagarnęła naroże dywanu, tak że ten odwinął się, ukazując kawałek parkietu nieco jaśniejszego, a także bardziej matowego w tym miejscu, gdyż stale zakryty, bywa mniej pastowany i froterowany do połysku. W tym właśnie odkrytym miejscu klęczy maleńka B. Ma opuszczoną głowę. Nie patrzy na starszą siostrę, która stoi w tej chwili nad nią na szeroko rozstawionych nogach i władczo spogląda. Lieschen marszczy wąziutkie,

jasne, prawie w różowym oświetleniu niewidoczne brwi. Oczy też ma bardzo jasne, szarawopłowe. Kocie, jak twierdzi pokojówka, a także pater

Blatt.

- Muu! Jak krowa, no? - i Detta usiłuje wydać z siebie, stosownie do rozkazu

siostry, odpowiednie nauczenie. Emil stoi z boku, niby to w tej sytuacji

nieważny, nie brany pod uwagę przez obie dziewczynki. Ale to tylko pozór. Stoi

niemal ukryty w fałdach ciężkiej kotary. I ona wydziela z siebie duszną,

zestarzałą woń, „Violettes Imperiales”.

- A teraz: bee! Jak baranek! No?.' - i Lieschen tupie nogą w zniecierpliwieniu,

bo tamtej nie wychodzi, mimo iż stara się ze wszystkich sił. Za

chwilę, być może, szpicem pantofelka na pół jeszcze dzieciennego, z

kokardką lub pomponem na nosku, Liza trąci siostrę w czoło lub ramię. A

może nastąpi to już po naszym wyjściu z salonu państwa R. przy Stubenringu.

Wyjdziemy na palcach, niosąc z sobą duszną i zetlałą woń cesarskich fiołków i

wspomnienie melodii wciąż nadpływającej kolejnymi nawrotami, falami, obsesją

natrętną, snującą się z dala, z innego, być może, piętra, innego zapewne

mieszkania. Wstąpimy na czerwony chodnik 26

pokrywający marmurowe<sup>^</sup> schody. Na podeście, na zakręcie schodów - figura

gipsowa, driada albo też inna nimfa, unosząca w górę lampę o kloszu

przypominającym lilię, a może jest to gladiolus. I powiemy sobie, wychodząc na

ulicę: dalszy ciąg nastąpi. Na wszystko przyjdzie właściwa pora.

Po Supiciciu winiarnię przy Kiralyi utca objęła wdowa po nim, gruba i wciąż

hałaśliwie śmiejąca się, lubiana przez klientelę, Supicic Erzsika. Niektórzy

zwracają się do niej pieszczotliwie per Bezi. Niegdyś stała podobno w tym

miejscu stara łaźnia turecka, z czasów chyba wypraw naddunaj-skich księcia

Eugeniusza Sabaudzkiego, a może jeszcze starsza, nie jest to jednak aż tak

pewne. Tutaj zachodzą często oficerowie miejscowego garnizonu na szklaneczkę

wina.

Przede wszystkim panowie oficerowie c.k. dwunastego pułku ułanów, dziś imienia

generała kawalerii ekscelencji Bothmera - niegdyś imienia Króla Obojga Sycylii.

Późnym wieczorem feralnego dnia dwudziestego ósmego lipca 1914 siedzieli

jeszcze niektórzy z nich w bocznej salce winiarni matki Bezsi Supicić, i od

niej to właśnie dowiedzieli się o znalezieniu w jednej z pobliskich starych

glinianek zwłok młodej, piętnastoletniej Cyganki. Matce Supicić doniósł o tym

fakcie chłopak, który z kolei dowiedział się od koronnego świadka, tego, który

pierwszy odnalazł zwłoki i, biegnąc na posterunek żandarmerii, zdołał po drodze

wszystko opowiedzieć koledze.

Matka Bezsi podeszła do stołu, za którym biesiadowali oficerowie, i

przystanąwszy przy nich skrzyżowała na bujnym biuście grube ramiona obnażone po

łokcie. Wygłosiła kilka maksym na temat śmierci młodej Cyganki, jej

niechwalebego jakoby życia, kiwając głową w zatroskanym zdziwieniu. Snuła domysły, na których podstawie oficerowie wszczełi między sobą

hałaśliwą rozmowę. Jak się okazało, zmarłą, a może zamordowaną - kto to wie? -

niektórzy z obecnych znali. Żandarmerię już zawiadomiono i najpóźniej jutro z

rana wszyscy dowiedzą się, jak to naprawdę wyglądało. Pierwszy odchrząknął,

unosząc krzaczaste czarne brwi, rotmistrz Peter Malaterna, a w ślad za nim

uczynił podobny gest zdziwienia porucznik baron Viranyi Lajos, zwany w

pułku „Pięknym Ludwi-siem”, porucznik rezerwy zaś, świeżo zmobilizowany i

przybyły tu wczoraj wprost z Wiednia Kott-fuss Freiherr von Kottvizza

wybuchnął nagle głośnym i niefrasobliwym śmiechem. Potem poprawiając monokl

podkręcił wąsa i łyknął wina z wysokiej szklanki.

Była chyba dziesiąta piętnaście, około jedenastej zaś oficerowie opuszczają

gromadnie i hałaśliwie lokal matki Supicić. Baron Kottfuss zadziera głowę i

spogląda w niebo. Jest w tej chwili jednolicie czarne, wysokie i usiane

rojem gwiazd. Najjaśniejsza i największa, zielonawomodra,  
szmaragdowo-srebrna, świeci nad samym horyzontem w stronie Dunaju. Może to  
Wenus? Porucznik szuka nazwy w pamięci nadaremnie. Nie potrafi jej nazwać. Jego  
koledzy rozmawiają w tym czasie na tematy nie mające nic wspólnego z gwiazdami.  
Wieść o wypowiedzeniu wojny królestwu Serbii i mobilizacji kilku  
korpusów armii dominuje w rozmowach, co wydaje się najzupełniej  
usprawiedliwione i zrozumiałe.  
Kanonierka rzeczna „Bodrog” przestała już o tej porze ostrzeliwać Belgrad. A  
gdyby nawet w dalszym ciągu oddawała w regularnych odstępach salwę za salwą ze  
swych dział pokładowych, okrytych pancernymi wieżyczkami z matowej blachy,  
lśniące teraz marsowo w poświęcie wschodniego serbskiego miesiąca, nie byłoby  
ich słychać w ciem-28  
nej i zapyłonej uliczce Kiralyi. Wiadomo bowiem wszystkim, że-miasto  
Fehertemplom dzieli od stolicy królestwa Serbii co najmniej siedemdziesiąt pięć  
kilometrów w linii powietrznej.  
Wachmistrz żandarmerii Vilajcié Istvan podnosi się ciężko spoza stołu, na  
którym stoi nie dopita szklanka wina, i zaczyna bez pośpiechu zapinać pas. Jest  
nieco senny. Upał i dodatkowe czynności związane z faktem ogłoszonej właśnie  
mobilizacji korpusów czwartego i siódmego zmęczyły go. Prze-pasawszy się,  
wachmistrz Yilajcié wkłada kapelusz żandarmski i węgierski, ustrojony pękiem  
zielonych kogucich piór. Wychodzi z młodym przewodnikiem, niejakim Jano, tym,  
który pierwszy doniósł o odkryciu w starej gliniance na skraju Csi-gan-varos.  
Jest noc lipcowa, parna i bardzo ciemna. Idąc wachmistrz nie traci jeszcze  
nadziei, iż, być może, młoda Cyganka utopiła się przypadkowo w sadzawce  
pozostającej po niedawnych ulewnych deszczach. Może wpadła tam w stanie upojenia  
alkoholowego. Takie fakty zdarzają się nie tak rzadko. Niedawno, na przykład,

znaleziono tuż za miejską cegielnią zmarłego Cygana imieniem Metko. Obdukcja stwierdziła stan krańcowego opilstwa. Upadł, potknąwszy się o jakiś kamień, i nie wstał więcej. Protokół, raport, i po kłopotcie. A co do Cyganek... Inna rzecz, że panowie oficerowie pozwalają sobie od czasu do czasu na zbytki. Nie wszyscy, ale niektórzy. Potrafią wlać na siłę całe litry wina napraszającej się nachalnie o datek dziewczynie, albo i kwartę śliwowicy. Nie u matki Rozsa, tam nie, matka Rozsa potrafi utrzymać porządek w swoim lokalu, są u niej zresztą miejscowe panienki, porządne i w miarę grzeczne, Cyganki nie mają wstępu, a w razie czego Rozsa sama umie sobie poradzić. Rzadko, nader rzadko zdarza się tam jakaś awantura. Ale w innych lokalach i winiarniach, licznych zwłaszcza na tak zwanym Uj-

29

-vsros i na krańcach Kiralyi utca oraz Kerti utca. Onegdaj chociażby znaleziono w tamtych stronach, w krzakach za ustronnym placem targowym, aż trzy zupełnie nieprzytomne z upicia cygańskie dziewczyny. Jedna z nich miała na sobie wyłącznie oficerski pas, do którego nikt się później nie chciał przyznać. Wisi do dzisiaj na wieszadle w kącie kancelarii posterunku jako corpus delicti. Vilajćić pamięta też inny fakt, gdy do nogi pijanej i śpiącej pod płótem dziewczyny jakiś dowcipniś przywiązał żywego kota. Wachmistrz żywił skrytą i zastarzałą niechęć do wszystkich stacjonujących w Fehertemplom oficerów. Byli w jakiejś mierze poza zasięgiem jego władzy, odnosili się do niego, jak i do całej żandarmerii, z lekceważeniem; większość, co tu ukrywać, nie zauważała go w ogóle. Toteż na karb „oficerskich, pańskich żartów i zarcików” składał wszystkie zbrodnie, zwłaszcza z dziedziny obyczajowej. Pas, wiszący beżpańsko na szaragach, był namacalnym dowodem



zbrodni, z kotem trudno było upierać się przy swoim, świadków nie było, mógł go pijanej dziewczynie przywiązać z zemsty jakiś cygański wyrostek albo zwykły żołnierz w przystępie dobrego humoru. Lecz Yilajcié upierał się przy swoim: na pewno jeden z tych paniczyków w białych rękawiczkach był sprawcą tego kolejnego żartu. Gdyby nie tak liczny garnizon, w Fehertemplom panowałby święty spokój. Ludzie chodziliby na palcach, kłaniając się nisko panu w kapeluszu z kogucimi piórami. Poprzednio wachmistrz - podówczas jeszcze kapral królewskiej węgierskiej żandarmerii - Yilajcié Istvan pełnił służbę w małej prowincjonalnej mieścinie Kiskunfelegyhaza na południe od Kecse-metu. Nie było tam żadnego wojskowego garnizonu, spokój, porządek, dyscyplina. Wystarczyło, żeby zmarszczył brew - a brwi u Vilajicia czarne, gęste, groźne - żeby poruszył wąsami - wąsy zaś 30 podkręcone, smoliste, słynne nawet w tak wąsatej formacji jak węgierska żandarmeria - żeby ludzie drżeli i schodzili z drogi. Każdy: chłop, Żyd, Cygan. Nawet większość uboższych i podrzędniejszych mieszczan, kupców, rzemieślników. Tylko jeden zarządca dóbr hrabiego Andrassy... Ale on się nie liczył. No i sam hrabia, lecz któż go miał okazję oglądać choć raz w życiu na własne oczy? W Fehertemplom zaś - policzmy tylko: koszary Franciszka Józefa - pierwszy batalion czwartego królewskiego pułku honwedów piechoty, koszary zwane „Na Blachowni”, oficjalnie imienia Arcy-księcia Józefa - zakłady trenu przynależne do czwartej brygady kawalerii wraz z magazynami, kuźniami i kancelariami tej jednostki; koszary imienia Cesarza Ferdynanda: dwunasty pułk ułanów (z nim najwięcej kłopotów), a należałoby dodać ostatnio, przed dwoma tygodniami zaledwie, przeniesione tu z Aradu trzy baterie artylerii polowej honwedów (też niezłe gagatki, Boże drogi!). Tak rozmyślając, złoścąc się w duchu i popluwając w ciemnościach, wachmistrz Yilajcié idzie w ślad za młodym Cyganem

Jano, czeladnikiem rzeźnika z Kiralyi utca (obok apteki), wciąż pocieszając się, iż odnaleziona przez chłopaka Cyganka utopiła się przypadkowo i skończy się na zwykłym protokole bez szczegółowego kłopotliwego śledztwa. Lecz okazuje się, że nic mu nie zostanie oszczędzone. Jano (żeby go wszyscy diabli wzięli!) po drodze już oznajmia, że cygańskiej dziewczynie ktoś prawdopodobnie poderżnął gardło. Wachmistrz klnie brzydko. Zsunawszy kapelusz na bok, drapie się w skroń, a następnie spluwa. Panowie oficerowie zaś są już daleko. Idąc, przystając dla zapalenia cygara, gwarząc o tym i owym, zbliżają się już do koszar imienia Cesarza Ferdynanda.

Większość z nich mieszka w koszarach. Całe lewe obszerne skrzydło bloku

kasarnianego zaj-

31

mują ich mieszkania. Tylko dwu, a może trzech zdołało znaleźć

odpowiednie kwatery w mieście. Na przykład stojący na progu emerytury

major Marković. Mieszka wraz z żoną na pierwszym piętrze domu aptekarza

Smugicia. Ale on od niepamiętnych czasów służy w naszym pułku, i tu, w

Fe-hertemplom, jak przynajmniej utrzymuje, ma zamiar pozostać po przejściu w

stan spoczynku. Także weterynarz pułkowy zamieszkał prywatnie, ale on się nie

liczy ani towarzysko, ani zawodowo. Pochodzi zresztą stąd, posiada prywatną

klientelę, jest ponadto zapalonym myśliwym.

Sizilien-Ulanen.' Boże kochany! I pomyśleć tylko: „Czwartego marca 1854

(czytamy w kronice pułku) jednostka ta otrzymuje („mit allerhochstem

Be-fehl") swą nazwę oraz zasięg terytorialny rekrutacji - będzie nim odtąd na

stałe teren trzynastego korpusu z miejscem dowodzenia w Agram." Inna rzecz, że

w miarę upływu lat pułk był przerzucany w różne kąty rozległej monarchii i

przydzielany do różnych jednostek. Stacjonował w Lombardii w

składzie piątego, a następnie ósmego ówczesnego korpusu (co to były za czasy!

jakie piękne garnizony - wystarczy wyliczyć: Piacenza, Cremona, Mantua...  
- gdy jeszcze Lombardia stanowiła jeden z najcenniejszych klejnotów  
cesarskiej korony Habsburgów! - tempi passati...), potem w Va-raždin, w  
Banialuce i Mostarze (w czasie okupacji Bośni i Hercegowiny), w Arad (niezły  
garnizon!) i w końcu w Fehertemplom, w składzie ósmej brygady kawalerii, do  
której, oprócz naszego pułku, należy również dziewiąty pułk huzarów.  
W teŹe kronice, wydanej ozdobnie przez Cesar-sko-Królewski Wojskowy  
Instytut Historyczny, można wyczytać, iż kolejnymi honorowymi patronami  
pułku byli: od roku 1854 - Ferdynand II, król Obojga Sycylii,

„Król-Bomba” (jego portret wisi w kasynie oficerskim na honorowym miejscu,

32

na wprost drzwi wejściowych, na prawo od bufetu: różowa, jak gdyby lekko  
przypudrowana twarz, bujne siwe faworyty, majestat pokryty  
nikłą mgiełką melancholii i dobrotliwej jowialności zarazem; w gruncie rzeczy,  
gdy się lepiej przyjrzeć, monarcha neapolitański przypomina nieco  
Offen-bacha - zwrócił na to podobieństwo uwagę Emilowi R., nazajutrz po  
przybyciu tegoŹ do garnizonu, podporucznik rezerwy Kocourek, jego dawny  
przyjaciel i kolega jeszcze z Wiednia. Nie jest wszelako wykluczone, iż ulegamy  
złudzeniu: może ten jowialny uśmiezek pierwszego patrona pułku zrodził się  
nie z dobrodusności, lecz przeciwnie, z nieco otępałego wiekiem,  
wrodzonego i przewrotnego okrucieństwa; należałoby jednak wpierw lepiej poznać  
szczegóły życia i obyczaje przedostatniego władcy Neapolu i Palerma wraz z  
Syrazu-zami i Taorminą. W swej podróży do Włoch, latem roku 1911, Emil R. nie  
pominie ani Syrazu, ani Taorminy, ani Agrygentu. Być może przelotnie pomyśli  
zwiedzając pałac w Neapolu i o królu Ferdynandzie, nie przewidując, iż  
kiedykolwiek przyjdzie mu uznać go za pierwszego patrona i że pod jego

auspicjami i poniekąd z jego pozagrobowym błogosławieństwem wyruszy na wielką wojnę narodów).

Drugim na liście patronów i honorowych właścicieli pułku będzie Franciszek II

Burbon, ostatni już nieodwołalnie król Obojga Sycylii.

(Przyglądając się jego podobiznie w kasynie oficerskim w Fehertemplom - na lewo

od króla Ferdynanda, bliżej okna - Emil R. pomyśli: „obojna-kość w nazwie

zmarłego przed laty królestwa zawiera w sobie zarodek, przeczucie i wyrok

śmierci; nasza monarchia jest również obojnaka w nazwie: austro-węgierska, i w

rodzie cesarskim: habsbur-sko-lotaryńska, a i ja sam..." - tu przerwie te

rozmyślenia i podejdzie do bufetu wezwany tam przez

3 - Król Obojga Sycylii

przyjaciela. Podporucznik Zdenek Kocourek czeka nań z kieliszkiem śliwownicy w

ręku. Kilku innych oficerów rezerwy, zmobilizowanych od paru dni i przybyłych

tu z różnych stron monarchii, również przywołuje go, a zatem trzeba

podejść...).

W tej właśnie chwili, gdy Emil R. myślami jeszcze hen-hen - w Neapolu, może w

Reggio di Cala-bria, jest noc i na redzie Palermo stoi zakotwiczony pancernik

królewskiej floty włoskiej „Dante Alighieri". Na jego dziobie, w pobliżu wieży

przedniej, z której wyzierają, okryte u wylotów pokrowcami, lufy dwu potężnych

dział kalibru 386 milimetrów, krząta się kilku marynarzy. Po świeżo umyтым,

zlanym wodą pokładzie płaszczą bosa ich stopy. Jeden zapala w tej chwili

papierosa podchodząc do burty. I mruga zawieszona na przedniej rei światełko.

Widać je wyraźnie w mieście, na nadbrzeżu, gdzie opustoszały stragany. Włóczy

się jeszcze tamtędy, wężąc, jakiś pies. Latarnia rzuca wydłużoną, kołysaną

łagodnym chłupotem fali świetlistą smugę. Orientalne kopuły kościoła San

Giovanni degli Eremiti wyglądają w białym świetle księżyca jak . j fragmenty

dekoracji do Szeherazady. j Później - ale należałoby zaczekać

jeszcze I chwilę - jeden z majtków zacznie śpiewać. Oparty zaś o murek nadbrzeża starszy brzuchaty pan w chesuczowych spodniach i słomkowym kapeluszu panama rzuci do morza cygaro, które zgaśnie z nikłym sykiem. Poza tym nic godnego uwagi. Może jeszcze tylko samotna zielonkawa gwiazda, ta sama, którą przed chwilą oglądali wracający od matki Bezsi oficerowie sycylijskich ułanów, tyle że nie w stronie Belgradu, lecz chyba Tunisu i Pantellerii. Rok 1859: rok Magenty i Solferina. Złowróźbny rok. Potem dłuższa przerwa w historii pułku, nie i licząc dat związanych z udziałem w manewrach, \* zmianami w obsadzie oficerskiej, przemarszami z garnizonu do garnizonu. I dopiero pod datą 1895 34 jako prawy patron pułku widnieje nowy dygnitarz godny tego zaszczytu: jest nim generał kawalerii Jego Ekscelencja Otto Freiherr von Gagern. I jego portret naturalnej wielkości wisi w kasynie oficerskim, na lewo od bufetu. Generał w pełnej gali trzyma dłoń w białej rękawicy wspartą na gardzie szabli i uśmiecha się do swoich monarszych poprzedników, królów Obojga Sycylii. Może wskutek sąsiedztwa portretu z bufetem, może zapatrzenia przez szereg lat, działającego w sposób natrętny i trudny do odparcia, kierownik tegoż bufetu, mistrz i duma kasyna oficerskiego oraz jego słynnej kuchni (zwłaszcza zupy rybnej po węgiersku, zwanej „szegedyńską”, nie mającej równej sobie w całej monarchii), Barabas Istvan, upodobił się tak dalece do byłego honorowego właściciela i patrona pułku barona Gagerna, iż chwilami, gdy Istvan serwuje młode dalmatyńskie wino lub starą banacką śliwownicę, można ulec złudzeniu, iż c. k. oficerów obsługuje łaskawie we własnej osobie sam Ekscelencja, świętej pamięci już niestety. - A zatem prosit, Excellenz! - i kielichy unoszą się w górę.

A oto i ostatni, aktualny inhaber pułku: jest nim od roku 1902 generał

kawalerii Jego Ekscelencja Wilhelm Freiherr von Bothmer. Wszyscy niemal znają go tutaj. Goszczono go przecież wielokrotnie z różnych okazji. Uczestniczył konno w cesarskich manewrach w roku 1904 na północ od Temesvaru i w kolejnych ćwiczeniach taktycznych brygady kawalerii, galopując równo z trzecim szwadronem, strzemię w strzemię z majorem Emerykiem von Magyarpecska, dowódcą pierwszego dywizjonu, po żywej, widnej i otwartej po daleki horyzont równinie banackiej od Nagy Kikinda i Berseg do Ver-sec i Pančeva, w tumanach kurzu wzniesianego przez tysiące kopyt, w parskaniu koni, w brzękaniu strzemion i pochw pałaszów, w błyskaniu okuć

35

uprząży i ostróg, daleko, daleko, po tropach wypraw księcia Eugeniusza - w niziny Dunaju i Sa-wy - aż hen, skąd można ujrzeć wysoki serbski brzeg, wzgórze Kalamegdanu i krzyże cerkwi prawosławnych Belgradu, i jego królewski konak. Nie byle jaki ten nasz pułk, wciąż zwyczajowo nazywany w dalszym ciągu „Die Sizilien-Ulanen, Nummer Zwolf” - mimo iż tamci władcy dawno pomarli, ich obojnakie królestwo, Herkulesa i Pro-zerpiny, również, lecz zachowała się po nich pamięć i legenda. „Die Sizilien-Ulanen” to brzmi piękniej niż „Bothmer-Ulanen”, każdy to przyzna, i Przez okno pokoju „gościnnego” w koszarach ; imienia Cesarza Ferdynanda widać, jak major X przerzuci za chwilę nogę przez grzbiet karego konia. Oparł już obie dłonie w niepokalanie białych rękawicach o łęk siodła i usiłuje trafić na oślepi stopą w strzemię. Niestety strzemię kołysze się, czy to trącone szpicem buta majora X, czy też wskutek podrzutów łba konia, opędzającego się od utrapionych bąków. Pełno ich zawsze tutaj - nie licząc zwyczajnych much - w pobliżu ułańskich stajen, z których w tej chwili żołnierze w białych letnich bluzach i czerwonych spodniach wyprowadzają osiodłane już konie. Przyglądając się przez okno majorowi X, można od biedy uciec w muzykę,

podobnie jak istnieje pojęcie „ucieczki w chorobę” od utrapień dnia. Emil R. zatem, wciąż patrząc w okno, myślami od niego odchodzi - i chociażby: a że wkrótce nastąpi wymarsz - może jutro o świcie, może dopiero wieczorem lub nocą, jeśli pierwszy dywizjon na czas nie zdąży się zawagonować, a należy wziąć pod uwagę i komplikacje wynikłe z powodu jednoczesnego przybycia na kolejową rampę trzynastego pułku huzarów, któremu nie wiadomo czemu zmieniono w ostatniej chwili marszrutę - już zaczyna się, na samym początku mobilizacji, komple-36 tną zamieszanie, co to będzie później, gdy ruszą całe korpusy? - zatem należy co prędzej uciec w muzykę przywoływaną w rozpaczy wyczekiwania i nudów tego wyczekiwania - na co właściwie? - Na co ja czekam? Na nic - a zatem w imaginacyjne obrazy wojny, a raczej różnych wojen, jakiejś syntezy wojowania z różnych epok: Tak jak to sobie już wielokrotnie w różnych wersjach tworzyłem. A więc wymieszane z sobą bitwy i zmagania, różnorakie, chaotycznie sprzężone w gamy, akordy i zaczątki niby to etiud, niby to symfonii skonstruowanych na oczekaniu ze zbitek barw i dźwięków, istne muzyczno-wyobrażeniowe „images d'Epi-nal” ze szpalt tygodników ilustrowanych, rycin, fotografii i stalorytów: Cesarz Wilhelm II na manewrach gdzieś w Meklemburgii: kirasjerski hełm z orłem, zadarte wąsy, rozłożona na składanym taborecie mapa, obok sztab. Generalicja francuska - chyba również gdzieś kiedyś na manewrach - czerwone kepi opasane haftami, luźne pantalone z szerokimi lampasami - obserwująca, z zadartymi głowami, balon na uwięzi, Epernay, a może Saint-Quintin. Eskadra pancerników wpływająca z Wilhelmsha-ven, a tuż obok wskakują nagle w ten obraz Japończycy wdzierający się na forty Portu Arthura. I Boerzy. Generał Botha pod Pietermaritzburgiem a może Bloemfontein. Rok chyba 1901. „Wiener Illustrierte Zeitung”, „Leipziger Illustrierte Zeitung”, i tak dalej. Istna rewia

kostiumowa, barwna, lecz i nieco demoniczna. Karnawał i egzekwie. „Yiolettes Imperiales” i dusząca woń środków dezynfekcyjnych. Karbol. Od paru dni cuchnie nim cała stacja tutejsza, sanitariat bowiem polecił spryskać wnętrza wagonów przygotowanych do załadunku wojska na wypadek mobilizacji środkami dezynfekcyjnymi - karbolem i lizolem - w obawie epidemii czerwonki. Czerwonka

łączy się

37

z wojną. Czasami wybucha nawet w okresie letnich cesarskich manewrów. Podobno zeszłego roku w sierpniu, w okolicach Nagybecskerek... I to w naszym rodowitym czy też macierzystym pułku.

Obrazki jeden po drugim, jeden wyłaniający się z drugiego - generał Nogi z

lorda Kitchenera, marszałek Niel z wodza Zulusów, i tak dalej, jak słynne

rosyjskie ludowe „baby”, zabawki z drewna malowanego pstrokato, przywiezione z

podróży na Wschód, do Moskwy i Petersburga, przez jednego z wujów. Można je

wyjmować jedną z drugiej, coraz mniejsze i mniejsze moskiewskie pyzate baby o

karminowych rumieńcach w kształcie kóleczek, baby w dzwoniastych spódnicach,

mające ręce splecione skromnie na podołkach.

Nie brak w tej kolekcji i samotnej ucieczki lekkiego krążownika rosyjskiego

„Żemczug” wprost z matni i piekła Cuszimy aż na dalekie Filipiny. Wyjątkowo

jaskrawy i przekonujący obrazek rodzajowy, kiedyś oglądany w jakimś

ilustrowanym piśmie, i stąd tak mocno wbity w pamięć podbudowaną wyobraźnią.

Morze jak rezeda, wysokie strzępiaste fale ze szkarłatnymi

grzebieniami, podobnymi do kwiatów lub kogucich grzebieni, modroziłotawa,

przezroczysta głębia i na samym dnie koralowo-rybie przyczajenia.

Ach! morza południowe naszych wyśnionych żeglarskich przygód dzieciństwa!

Jak-żeście były zielone! - Więc i losy siostrzanego okrętu, nie

opancerzonego lekkiego krążownika „Izumrud”, który w ucieczce spod Cuszimy



na północ - morze żółte, chińskie, dominanta zatem barwy jaskrawosiarkowej,  
złej, kipiącej i parzącej jak roztopiony metal - rozbił się w burzliwą noc na  
podwodnych skałach u wrót Władywostoku. Tu dominuje toń czarna, pokreślona,  
pręgowana w chwilach złudnych przejaśnień - księżyc zza chmur? reflektor  
tonącego okrętu sygnałami wzywającego  
38  
pomocy? - czerń posiekana cynowymi błyskami jak cięciami noża. Czerń głęboka -  
ach, gdyby to móc namalować, ilustrując jakimś nokturnem! -czerń muzyczna i  
srebrne zygzaki również muzyczne - b-moll niezawodnie - niby haft żałobnika  
pogrzebowego rytuału. Byłby to zapewne rytuał chiński, a może mongolski, w  
każdym razie skośnooki, mistyczny w swych tajemniczych okrucieństwach, o  
których czytało się kiedyś tam, może nawet w Ogrodzie udręczeń Mirbeau. A obok  
księżyc wschodzący nad pobojowiskiem Solferina. Noc z dwudziestego czwartego na  
dwudziesty piąty czerwca 1859, sławetna noc! Lecz to już osobna, szczególnie  
ważna karta. Dziadek - tak, ojciec matki przecież - poległ tej właśnie nocy, i  
tyle opowiadań, tyle wspomnień z najwcześniejszych lat nagromadziło się wokół  
tej daty i tej nazwy: Solfe-rino! - i nie tylko to... Samotny jeździec - którym  
sam stawałem się w miarę rozrastania się obrazu w wyobraźni  
współuczestniczącej, i już wtedy - ile to lat temu? - usiłującej coś  
skomponować, mu-zycznie-niemuzycznie, obrazem i półdźwiękiem. dźwięko-obrazem.  
Nic z tego nie wyszło, lecz aura pozostała. Muzyczny staloryt? A może rodzaj  
dźwiękowej tkaniny?  
A tuż obok znany obraz Wierieszczagina, Pobojowisko Plewny: pop w ornacie,  
długowłosa, siwo-brodaty, w prawosławnej tiarze na głowie, z rozkołysaną  
kadzielnicą złotą, dym z niej, a pola aż po horyzont zasłane rzędami równo,  
szeregami poukładanych żołnierskich zwłok, szereg za szeregiem, dokąd okiem

sięgnąć, twarze ponakrywane czapkami bez daszków, niektóre nagie, odkryte,  
zbielałe.

I tenże sam Wierieszczagin - istnieje chyba jakaś konsekwencja w tym

chaotycznym niby to układzie, w tej rewii - tonący w żółtym zbełtanym morzu,

złym chińskim morzu, jak w piekiel-

39

nym garnku pełnym wrzątku. Cytrynowopapuzia kipiel dalekowschodnia i obok,

wywrócony na bok, tonący wraz z admirałem Makarowem pancernik „Pietropawłowski”.

Flaga z krzyżem błękitnym świętego Andrzeja apostoła stercząca dumnie z wody. A

w ślad za tym obrazem, również zaczerpniętym chyba z jakiejś ówczesnej

ilustracji, chóry cerkiewne i dymy kadzideł, popi śpiewający prawosławne

Requiem - jak ono brzmi?

I jeszcze - lecz to już wyraźne odbicie lektury przed zaśnięciem, nie tak dawno

temu, w Gmun-den, zakończonej w wagonie na linii Klagenfurt- Graz - rezultat

bezpośredni silnie odebranego wrażenia: wlokące się przez mokradła pełne wężów

i błotnych gadów, robaczywe bagna leśne całe w rechotach żab, pełzące stada

rannych wojny secesyjnej. Strzępy podartych, okrwawionych mundurów, bandaże

rozwleczone na kamieniach, po leśnych bezdrożach, metr po metrze, w jękach i

przekleństwach. Potrafią mnie budzić po nocach. Na pół ludzkie postacie

podciągające się\_ z trudem na kolanach i łokciach w rojach komarów w parną,

wilgotną i czarną noc Yirginii czy Caroliny. Rok temu w jednym z wiedeńskich

kinematografów oglądałem autentyczny reportaż z wojny w Trypolisie i pamiętam

każdy szczegół do dzisiaj. Postacie sanitariuszy, a może byli to uprzątacze

zwłok, ciągnący za nogi lub ramiona zwłoki towarzyszy - a może byli to ranni? -

beznamiętni pracownicy śmierci wlokący ich po piasku, na którym pozostawały

wydłużone ciemne ślady - krwi? czy tylko wyżłobienia wypełnione cieniem?

Od pewnego czasu nie potrafię odegnać przeczuc. Są to przeczucia nie

sprecyzowane dokładnie, niemniej dręczące. Układają się w niejasne muzyczne ciągi, fugi zakończone dźwiękowym znakiem zapytania, jakby ostrzeżeniem przed czyhającym czymś, niejasnym również, lecz przywołującym obraz studni lub głębokiej rozpadliny. Bitumując w sposób uproszczony, mgłbym d°Jsc d(io przekonania, iż są to przepowie^16 wróżące na^ przykład wojnę, która istotnie od d'u lat wisiała ntna włosku. Lecz wiem, że nie o t( idzie- Mysl o wojnie i o moim w niej udziale »yła i Jest ode : mnie daleka i właściwie nigdy polobne tematy n:aie zaprzętały moich myśli. Polityk i wszelkie jsej odgałęzienia, zakamarki i zwiąża^ z mml Popuszczenia i przewidywania - nudił mme- TraPMące mnie przeczucia należą bez wąpPienia do zuP%łnie innej dziedziny zjawisk. Są pr/atne 1 wyła.C!«znie moje. Od lat zżyłem się z nimi i Sdyby nagle i,mi ich zabrakło, czułbym się zuboPny ° Jeden ^Vaj:ny element. Podobnie kiedy w (teranie półtor^ roku temu stwierdziłem, iż stan podgorączkowy- minął, że mogę się uważać za wylec»oneg° : nie S^ozi mi już gruźlica, czegoś mi nagle ^brakło. Jakb>y jstoś nagle zapalił światło w mro!znym Pok°Ju> w którym drzemałem owinięty w ciepły Pled' alb(b rozsunał firanki wprost na słońecz^ dzien- Wszyvstltie zwidzenia i lęki zrodzone w mroku uleciały i zostałem sam, zubożony i oszuPny- x nieco Ośmieszony. Więc i teraz, na margil»esie Jak Sdyb,y -tamtego przywołanego antidotum pojęciowo-o^,razowego, tkwi nadal Tamto, przeci^ wiem> nie nĘkleLy okłamywać samego siebie. Powraca zastępczy ^aka sytuacja: pręgowane morsie tygrysy n^órz chińskich (różne taniutki, Fz miłe ser?i „images d'Epinal": Cuszima i tak ialeJ - rodzaj ^wątpliwej dekoracji: opakowania herbaty, lec^ przetworzone i spotworniałe do wymiarów n^uz;yCZnego largo...), przewijające się płynnymi ruc^ami> muzycznie (mógłbym nawet tutaj, przy k^szjarOwym oknie, za którym żołnie^6 wyprowadzą^ Ze sta-jen konie do

wodopoju, spróbować to jak: oś ują/ w muzyczne ciągi, w akor<sup>^</sup> i &amy> l

Jednocześnie bezgłośnie (absurd logiczny? Moze> ale Powoli, po-  
41

ór wydaje: istnieje, y napływa kolor za-symfonia mórż żół-czaną barwą, dżun-ale

poskręcane i ru-•mi akordami. Aura i z obrazu wielkich yanych kropelkami :,

widok znany mi lat. I już w ślad za  
zapachów: na poły

i górską gencjana, rażona woń oceanu ijący z tamtego po-. Wielki, obły, pod-i,

widziany równo->r otwierający pysk lółksiężyc. A wokół stada maleńkich ry-pca

na trop zdoby-um, wodne kolibry

falujące welonami iez, wodne motyle d łbami i oczami na ane szyby, powięk-  
Wianuszek białych i mnie jednym podskoczenie, korzysta-odną faunę - i już y z

tamtych histo-;nty - wlokące się

mgle, pobjowisko

na elizejskich po-)że są to ilustracje lopeja w bezkresnej : wędrowce białych

Iskie - Bach? nie,

znanych mi utwo-

rów - skrzypce i wiola, i woń natrętna cesarskich fiołków, którymi nasyciły się

moje dni i moje noce przy Stubenringu, a także wewnątrz łoży Opery Wiedeńskiej.

A więc i połyskliwo-matowy, mieniący się, fiołkowoperłowy opal sukni pani Marty

Jacobi, siedzącej tuż przy oparciu obitym purpurowym aksamitem ze złoceniami -

pani dawno nie żyje, pani Marto - porządkując przed wyjazdem z Triestu w hotelu

papiery, odnalazłem zawiadomienie w czarnych, szerokich obwódkach.

I dusząca woń fiołków (w tle, gdzieś obok, a może w samym środku zdarzeń),

fiolet szeleszczącej za każdym poruszeniem kolan i ramion sukni pani Jacobi, i

przeskok myśli - złapałem się na gorącym uczynku, jakbym zobaczył realnie i

fizycznie ten skok stąd aż tam! kiedy El. miała fioletową suknię? A prawda, na

imieninach mamy, w roku?... gdy ukradkiem patrzyłem wciąż na nią i ona to

wyczuła, mimo iż stała odwrócona twarzą ode mnie, no tak - wówczas istotnie

zauważyłem ten złamany nieco, wpadający w czerwień fiolet jej sukienki,

wracajmy, wracajmy co prędzej z tamtych stron, to wciąż boli, mimo wszystko, jeszcze teraz, teraz chyba bardziej niż kiedykolwiek, gdy wiem, gdy się spodziewam, przeczuwam, więc jakbym na pewno wiedział, że już nigdy więcej...

Płaski pysk rekina nadpływającego susem, mocnym, śliskim podrzutem sprężonego ciała, gdzieś z boku, z głębi Opery, ku otworowi prosceniowej łoży, niby oślizgła listwa w locie, od pyska po wygięty nieco wąski ogon i płetwę jak nóż tnącą powietrze, pozostawiająca za sobą niemal widoczną bruzdę, niby wydłużony korytarz, który natychmiast wypełnia się muzyką, nasycą skrzypcami, potem wiołą, a jest już inny rok, inny dzień, inna data, i balustrada zawieszona w próżni dokładnie wypełnionej światłem jakby podwodnym. Prześwietlenie czegoś, co nie istnieje, co ma barwę nie do określenia w zna-

43

m się jej nazwać sło-azic dźwiękiem. Księ-ba, nagromadzonego w zagłębieniach i fał-rnamentów, kariatyd y, światło nierzeczy-mogę na to przysiąc, rwającej muzyki, cze-' się jakoś wcielić, do tniejących lub nawet h dających się jakoś tłoczących się natrę-zykę należy odbierać jakichkolwiek analo-vyłączeniu porównań a. Lecz oto znów - l jakiegoś zamku ly i krużganki idące dźwięków. A teraz nie po szerokich górnych jak mury zam-:z wątpienia przypo-raz z El. w roku za-•ze było takie właśnie lej gamy w C-dur). :owe, natrętnie przy-sydzenia w swej do-rch obrazów, kiczów latem gwałtowne usi-go natłoku obrazów-ibierać w całkowitym nalogii! - jeszcze raz wczas, siedząc poza a więc czysty, niczym ty

- Jan Sebastian, ; na glinianej misie, popiersie zakurzone z drobnych różyczek (są to tak zwane „ramblerki" - vide cennik Mauth-nera lub zeszyty „Gartenlaube", czytywane przez matkę i z biegiem lat nagromadzone całymi warstwami na półkach), odbicie gwiazd w sadzawce otoczonej czarnymi murami albo też wyslizgana kamienna posadzka, po której kroczy ktoś niemal bezszelestnie,

powłócząc nieco nogami w trzewikach z czerwonej skóry. I balkony. Całe galerie balkonów zawieszonych w próżni, istniejących niezależnie od tła i otoczenia, czysty symbol balkonów, symfonia balkonów i nieskończonych ciągów galerii.

Kadziło? Lecz to już zbyt natrętna aluzja, iż Jan Sebastian był organistą.

Zatem nerwowe poszukiwania drogi odwrotu, wyjścia z zaułków symboli, tej nowej pułapki wizualnej. Ucieczka. Pamiętam, jakby to było wczoraj, a przecież minęło kilka lat. Dziewięć chyba od tamtej łoży i tamtego Bacha, wysłuchanego w napięciu i skupieniu, w pokorze i męce. Próby zredukowania wrażeń, oczyszczenia ich. Płaska odpływająca fala, brzęcząca łuska, powracająca wciąż i wciąż w tym samym natężeniu i barwie, jakby w oczekiwaniu na coś czy na kogoś, nie wiem.

Widok ze Świętej Góry Muzycznej - z Synaju - nareszcie, nareszcie! - aż po zupełne wyzwolenie od jakichkolwiek wyobrażeń, doznań natury pozamuzycznej, prócz tego jednego: wysokości, wznoszenia się i opadania. Falowania w stanie nieważkości. Droga skądś dokądś. Obojętny cel tej drogi, byle iść. Gdzie?

Dokąd?

Za oknem kurz i upał. Biały, oślepiający, narastający upał. Stukot kopyt

końskich o próg stajen ułańskich. Idą tam ułani, prowadząc konie za uzdy.

Zmierzają ku bramie. Lewe skrzydło otwartej bramy w cieniu, prawe jaskrawe w

słońcu. I spalona żarem słonecznym nikła akacja.

Odwracam wzrok, mrużę zmęczone blaskiem oczy, pocieram spocone czoło, oddalam

się w tamto dawne i odległe, wracające jednak natychmiast:

45

zatem już wiem: pani Marty Ja-gdy odwraca ode :ę znad warg, są-2 zielonego

szkła, czynności ssania. ; kształt ust Lies-rego języka wafel Hilmteich. Więc i

i głęboki ukłon Marta, jeśli mnie :owa refleksja: - tarła cztery lata :ach, w

głębokim .1 lansadach z in-

tamtego, o czym lusze będą znac-im. Modne toczki. liż kwiat, woalki ly węzeł,

niezbyt y, lecz stosowane ostro zakończone ydełka, barwione :za, kostiumu.

Za-towi. Długie i na-11 roku - już nie ne: lila we wszy-od rózu wanilio-z

granatem. Rów-incka czerń aksa-ił nowości w tej tango, oraz bleu-rny, lustrzane szy-Graben. Rząd ko-•jogue, osadzonych .tach z polerowa-nego jesionu lub czernionego dębu. Wykroje oczu bez źrenic robią na mnie zawsze

wrażenie nieco dziwaczne. Przystaję i przyglądam im się. Jedna z modniarskich

masek ma kształt nosa i policzków podobny do twarzy EL, lecz wyłącznie z

profilu. A może mi się na pierwszy rzut oka tylko tak zdawało. Zapewne.

Podchodzę do wystawy, by zajrzeć z ukosa, z prawa i z lewa, i sprawdzić. Potem

odchodzę, gdyż patrzy na mnie przez szybę jedna z ekspedientek czy pomocnic

madame Flory. Skrót w stronę Burgu. Kohlmarkt. Stali goście „Graben-Cafe”,

przesiadujący tu godzinami: radca dworu na emeryturze Justus Kammerrer, hofrat

Max Ja-cobi (jakżeby nie!), pułkownik Desiderius Spack, również już emeryt od

paru lat. Nikt z nich nie żyje. Kaffee mit Schlagsahne lub pilzner. Gazety

osadzone w trzciniowych oprawach, senne głosy wzywające płatniczego: - Herr

Ober, zahlen, bitte! - i starczy uśmiech przyklejony do wąskich warg kelnera

pamiętającego zapewne kilka pokoleń stałych bywalców, od czasów Sadowy po

ostatnie lata. Poufalskość hamowana znakomitym wychowaniem, wieloletnią tresurą,

dystans nieprzekraczalny.

Wszyscy dziś nieżyjący, można policzyć: rok, dwa, cztery lata - co do jednego,

łącznie ze starym płatniczym Franzem. Siedzą wciąż jednak nieprzerwanie i

uparcie obok wygasłego ogniska - stolika w lewym kącie od głównego wejścia.

Miejsce uświęcone całymi latami nie pisanego przywileju wyłączności,

zarezerwowane - fur diese Her-ren... Błat marmurowy i wygięte nóżki z lanego

żelaza, czysta secesja, lecz ta wczesna, z epoki wielkiej wystawy światowej

jeszcze chyba, a może z czasów gdy lokal odnowiono, w roku, zdaje się, 1900.

Dżdżysta, od wielu dni już ustalona, jesienna pogoda, szaruga, w której ginie

zarys wieży Stephans-

47

aloby je wytrzeć ser-zydłem, jako że prze-h kawiarnianej for-  
iokładnie skąd. Znad ;ie, z muszli na dep-?ela pułku osiemdzie-  
nów nie ma za sobą irnej ani przesadnych volić się tym, co jest. wojen

napoleońskich, pułk ułanów - wów-a, albo też drugi - nieśmiertelną chwałą spern

czy Lipska. Nie •ów i dragonów istnieje-! niektóre pamiętają co irzowej Marii

Teresy, ibaudzkiego, a nawet ? Nasz pułk ominęły latomiast w kampanii >d

Solferino. I tu tru-n pierwszym pułkiem lonarchy!), który pod nika Edlersheima

wy-irż. Stratowane kopy-r, rąbane na odlew pa-napanie zuawów i tur-Umykali

przed huza-scy barona de Riche-

na kukurydzianych we kogucie kapelusze. lombardzkich pól. Nic ń naszej tamtych

dni

cesarskich huzarów, storii. u dwunastego ułanów,

można stwierdzić natomiast, iż z woli naczelnego dowództwa pułk imienia Króla

Obojga Sycylii walczył w składzie drugiego korpusu feldmarschalleut-nanta

księcia Edwarda Liechtensteina, a częściowo w dziewiątym korpusie, dowodzonym

przez generała kawalerii hrabiego Schaafgotsche.

„Die Sizilien-Ulanen die Feuertaufe erhielt den 3-ten Mai 1859, und verdient

alles Lob" - czytamy dosłownie zaraz na trzeciej stronie kroniki opravnej w

granatowy safian.

I kolejne ważne daty kampanii włoskiej: piątego maja - Yalenza, dwudziestego

maja - Montebello. W bitwie tej pułk po raz pierwszy działa w składzie

niezależnej brygady kawalerii księcia Aleksandra von Hessen. Odznaczył się

wówczas chlubnie dywizjon majora barona von Appel, który osobiście poprowadził

trzeci szwadron do ataku. Poległo czternastu ułanów, rannych - dwudziestu dwu,

w tym jeden oficer.

„Arcyksięcia następcę tronu zabito w niedzielę, dwudziestego ósmego czerwca.

Dziś mamy wtorek, dwudziestego ósmego lipca. Zapada już wieczór. Wczoraj o tej

porze byłem jeszcze w wagonie, gdzieś pomiędzy Laibach i Agram. Świt ujrzałem w



okolicy, jak się zdaje, Brodu. Szeroko rozlana rzeka. Na peronach duży ruch. Rekruci i rezerwiści w strojach regionalnych dźwigający drewniane kufarki. Tłum bab. Potem za oknami wagonu przesunęły się liście wierzb, ocierając się niemal o lekko spotniałe szyby, i oślepiająca kula słońca barwy żółtocytrynowej wyłoniła się zza rzeki. Na jej tle wąskie listki wydały się zupełnie czarne. Jadący ze mną major honwedów, z którym przez cały czas nie zamieniłem ani słowa, odkręcił korek metalowy od płaskiej butelki i wypił spory łyk czegoś, co zapachniało najwyraźniej śliwowicą. Zerknął na mnie już zakręcając ten korek i po namyśle wykonał ku mnie ruch, jakby mi proponował napić się z nim. Odmówiłem ruchem głowy. Nie mówił żadnym językiem poza węgierskim. Wsiadł, zdaje się, w Vinkovcach."

(Pisane w koszarach kawalerii, w pokoju na pierwszym piętrze. Nieludzki upał i

kurz za oknem...)

„Fehert., dnia 30 lipca 1914.

Droga Muti!

A więc szczęśliwie, zdrów i cały na ciele i duchu, przybyłem tutaj w sam środek

upału, kurzu i zamieszania, hałasów wszelkiego rodzaju i braku jakiegokolwiek informacji odnośnie do dalszych losów. Na stacji Madziarski Bród dowiedziałem się, że jesteśmy od dzisiaj w stanie wojny z Serbią. Różnie tutaj u nas w F.

mówią na ten temat. Że skończy się na pogrózkach, najwyżej na karnej ekspedycji, i tamci ustąpią, to znowu, że z tego wyniknie wielka awantura.

Taka, rzekomo, opinia przeważa wśród tutejszych Żydków, a oni są najlepiej podobno poinformowani. W każdym razie tak zwany «duch bojowy» jest u nas bez zarzutu, o czym Ci lojalnie, acz z pewnym zażenowaniem donoszę, droga Mamo.

Twój syn, mimo długiej podróży i pewnych związanych z nią niewygód, trzyma się nad wyraz dziarsko, jak na podporucznika rezerwy przystało. Chyba znasz mnie na tyle, żeby wiedzieć, co o tym wszystkim sądzę. Na peronie w Brodzie zdołałem

się umyć pod kranem w tłumie innych również myjących się, gdyż w naszym wagonie wody nie było. Dopiero tutaj w koszarach wykąpałem się i ogoliłem. Na całe szczęście kawa w kasynie niezła. Jakiś wąsaty Madziar, w wagonie jeszcze, starał się nakłonić mnie do wypicia śliwownicy, której łyknął sam parokrotnie na czczo tyle, że ja na jego miejscu umarłbym chyba, za-nimbym dojechał na

miejsce. Radca L., którego

50

widziałem w Trieście tuż przed wyjazdem, twierdził uparcie, starając się mnie na siłę przekonać, mimo iż przez cały czas nie zabierałem głosu, że wszystko rozejdzie się po kościach, na gadaniu i pogrózkach, najwyżej wejdziemy do Belgradu celem zaznaczenia naszych racji i naszej siły. Potem - wciąż wedle niego, jakoby świetnie poinformowanego - będą interwencje mocarstw, konferencje pojednawcze i tak dalej - i w końcu Serbowie przestraszą się, gdyż Rosja ich nie poprze. Być może, że miał rację. A gdyby nawet nie, to i tak wojna, której nie sposób wykluczyć, nie może trwać dłużej niż kilka tygodni przy dzisiejszym wyposażeniu technicznym. Skoro - pomyśl sama - w 1859 trwała zaledwie dwa miesiące, ta zaś w 1866 niewiele dłużej, to obecna, gdyby wybuchła, przy artylerii, jaką posiadają dzisiejsze armie, karabinach maszynowych i tak dalej, nawet sterowcach i aeroplanach, bo i one mogą wejść do akcji, nie może trwać dłużej, tylko o wiele krócej. Któż bowiem wytrzymałby taką okropność? Piszę o tym, bo z Twego wyraźnie zaniepokojonego listu, jaki otrzymałem w Trieście tuż przed wyjazdem tutaj, zrozumiałem, iż pod wpływem niewątpliwie pani-karskich plotek, jakie muszą krążyć w Wiedniu, niepokoisz się o mnie. Błagam Cię, Mamo, nie bój się! Twój Emil wróci zdrow i cały, prędzej, niż się spodziewasz, zmęźniały, opalony tutejszym słońcem, zahartowany trudami kampanii, i w dodatku w chwale bohatera. Już widzę na swym czole wianuszek lauru. Tak, tak, na pewno.

Wejść do przedpokoju, powieszę na wieszadle mój ciężki bojowy pałasz i uściskam Cię serdecznie, mówiąc: «No, to już po wszystkim!» Nie masz wyobrażenia, jaki ciężki jest polowy pałasz! Nigdy bym nie przypuszczał. Dostałem go tutaj, na miejscu, i próbowałem wyjąć z pochwy pomalowanej na szary kolor ochronny. Ledwo dał się wyciągnąć, a gdy usiło-

51

wałem się nim zamachnąć, ręka mi opadła, omal nie uciąłem głowy poczciwemu

Zdenkowi. Na szczęście, na czas odskoczył. Bo Zdenek - chyba go sobie

przypominasz z Wiednia, taki szczupły blondynek, poeta, czytałem ci jego

wiersze przed rokiem, te drukowane w zeszycie «Moderni Revue» z Pragi, nazywa

się Kocourek, przychodził do nas na Stubenring zeszłego roku - otóż on, na całe

szczęście, dostał kwaterę razem ze mną, postarał się o to, no i mieszkamy

razem, a wiesz, jak ja nie znoszę dzielić pokoju z kimś obcym.

Ściskam Cię, i ręce najserdeczniej całuję. Twój na zawsze, E.

PS Ciepłą bieliznę wręczył mi, gdy tylko przybyłem do Triestu z Grado, poczciwy

Schani, który czekał na mnie na dworcu. Mam ją w walizce, mimo iż jestem

pewien, że okaże się zbyteczna. Do zimy daleko, a wszystko, jeśli się zacznie

nawet, to skończy przed zimą. Inaczej byłby to absurd przeciwny naturze,

przewidywaniom polityków i strategii oraz jeszcze paru równie rozsądnym i

realnym motywom. Wziąłem jednak te wełniane koszule, mimo iż korciło mnie oddać

je na przechowanie Schaniemu, żebyś była spokojna i żeby Ci nie sprawiać

przykrości, Muti moja jedyna."

(List ten został wrzucony na poczcie w Feher-templom i doszedł do rąk pani R.

dopiero w dniu piątego sierpnia, w chwili gdy nadzwyczajne dodatki obwieszczały

o wybuchu wojny z Rosją, powszechnej mobilizacji w wielu krajach i manifeście

monarchy.)Montebello! Rotmistrz William baron von Hammerstein w ataku na nasyp

kolejowy obsadzony przez francuską tyralierę (jej szerokie czerwone spodnie i

białe kamasze), trafiony kulą, spada z konia i umiera. Nadchodzi noc po bitwie.

Castel Ven-zago. Chmurna lombardzka noc, duszna i niesamowicie czarna. Opary wznoszą się z kanałów przecinających równinę. Osłona odwrotu. Rżenie koni w ciemności.

A potem mamy dzień Solferina. Odznaczyli się w bitwie i figurują po wsze czasy

na złotych kartach kroniki pułku ułanów sycylijskich: rotmistrz Karol baron von

Skrbensky (bohater! bohater!), Johann baron von Appel (ten sam, chlubnie już

odznaczony pod Montebello, uwieczniony na akwareli) - otrzymują obaj

Maria-Therezien Orden (ho! ho!), rotmistrz zaś Ludwik Miiller oraz major

Fryderyk Barres, Edler von Perez - Eiserne Krone. Wyróżnił się także rotmistrz

rezerwy Bela von Schonberger.

Straty pułku w tym dniu: ponad stu ułanów zabitych, drugie tyle rannych i

zaginionych.

Można by na tym zamknąć wielką księgę pamiątkową oprawną w ciemnogrnatowy

safian, barwę dzisiejszą pułku. Warto jednak rzucić jeszcze raz okiem na dalsze

karty albumu, złożone na brzegach, ciężkie i dostojnie śliskie. Szeleszczą

swoistym poważnym poszumem historii, gdy się je z szacunkiem odwraca. Są na

nich wypisane nazwiska osób, które z różnych okazji i w różnych latach raczyły

zaszczycić swą obecnością i uświetnić kasyno pułku.

55

Czytamy: gratulacje za postawę bojową na manewrach cesarskich w roku 1862

- Erzherzog Al-brecht (ten spod Custozy!), a za nim dwaj inni z rodu

panującego Habsburgów, w latach następnych odwiedzający garnizon i

kasyno oficerskie. Na następnych kartach, w należyтым dystansie od Ich

Wysokości - podpis ministra wojny, generała barona von Schoneich. Na kolejnej -

kilka łaskawie skreślonych słów zamasztytym pismem: „Gruss Gott -

Sizilien-Ulanen!" - i podpis arcyksięcia Franciszka Ferdynanda oraz data i

miejsce postoju w czasie manewrów: 7 lipca 1902, Uj-Bela. A dalej - pod tą samą datą - podpis: „K. und K. Kriegsminister Feldzeugmeister Heinrich von Pitreich." Mijamy kilka nie zapisanych kart i odnajdujemy parę niewielkich, lecz pięknych utworów wierszowanych, płodów patriotycznych uczuć poetyckiej muzy militarnej, a nawet i fraszki wierszowane, wpisane tu przy okazji czyichś imienin, oraz karykatury - niektóre celne i dowcipne - różnych oficerów z różnych epok i lat. A także powklejane fotografie amatorskie z manewrów, jubileuszów, imienin i tym podobnych okazji. I zasuszony kwiat, całkiem już zeschnięty i płaski jak bibułka, niemniej tak silnie i starannie przyklejony, łz wygląda wcale świeżo. Jest to duży polny mak.

Dokonawszy przeglądu archiwaliów pułku, obaj młodzi podporucznicy rezerwy podchodzą do okna otwartego na wewnątrz koszarowego podwórza. Przy bufecie jeden z chłopaków kuchennych czyści serwetą kieliszki i ustawia je rzędem na półce.

Za oknem otwartym szeroko widać, jak porucznik z pierwszego szwadronu Klement Okoliczny idzie bez pośpiechu przez kolisko rajtżuli, mija drewniane poręcze do skoków, pochyla się pod nimi, wyprostowuje, ociera pot z czoła, trzymając zdjętą furażerkę w lewej ręce, otrzepuje następnie rękawicą zapyłone spodnie. Są to tak zwane „spodnie salonowe", ciemnopopielate, niemal czarne, ze fc-„rzemiączkami do bucików i cienką czerwoną wypustką wzdłuż szwów. Porucznik znika za murem na lewo.

Zmierza, jak należy sądzić, do winiarni Zoltan Kató, czyli Katerinchen. Jej mąż, Zoltan-ur Lajos utopił się w zeszłym roku w studni za miejskim cmentarzem, niemal już w czystym polu, nocą z trzeciego na czwarty sierpnia. Panie, świeć jego pamięci, mimo iż nie był to człek świętobliwy! U mamy Katerinchen można napić się zimnego wina nie tylko we wspólnej sali winiarni, lecz i wprost z

beczki, siedząc na ławce pod rozłożystym kasztanem, tuż przy wykopanej w ziemi piwnicy. Można również zejść kilkanaście stopni pod ziemię, by tam, przysiadłszy na jednej z kadzi, czerpać z niej wino blaszanym półkwatkiem. Kató-ne podaje znakomitą słoninę krajaną w paski i paprykowaną na czerwono oraz zieloną paprykę na surowo. Są amatorzy słoniny surowej, są tacy, którzy wolą lekko przypieczoną nad ogniem. Wieczorami grywa tu czasami cygańska kapela. Idzie się do Zoltan Kató-ne, skręcając od koszar na lewo, mija targowicę końską, i potem wystarczy trzymać się długiej, na pół wiejskiej ulicy

Munkacsiego.

Teraz na podwórzu ordynans majora Franckla czyści do połysku sześć par wysokich butów swego szefa i sześć par niskich, z krótkimi cholewkami i wszytymi gumkami po bokach. Do nich przynależą salonowe spodnie i lekkie ostrogi bez zębatego kółka na końcu. Na jego miejscu widnieje tam rodzaj półokrągłego tępawego zakończenia. Ordynans, czyszcząc kolejną parę, nuci. W powietrzu panuje, mimo porannej godziny, upał i duchota. Żadnego przewiewu.

Ordynans majora Franckla trzepie teraz garderobę swego szefa na trzepaku

pomalowanym na kolor szczawiowej zupy. Po dwu ułankach, płaszczu

57

doi dwu parach spodni przychodzi kolej na szare ciepłe pledy. Kurz wzniesany przez ordynansa wisi w powietrzu i nie zdradza najmniejszej tendencji do rozwiania się. Powoli, po chwili dopiero, opada na zakurzone trawy. Kurz szaropłowy, barwy wielbłądziej, a może nawet lwiej, prawie pustynnej, zawisł nad Fehertemplom i wielką równiną w prawo i w lewo, sięgając Dunaju 1 Nery, wzgórz odległych w stronie wschodniej, zwanych Górami Pasterskimi, skąd można by przy bardziej przejrzystym powietrzu ujrzeć może Bazias nad Dunajem, a nawet - lecz to już chyba za daleko - prawosławny monastyr w Kostolacu po serbskiej stronie. I tamtejsze lasy. Na folwarkach hrabiego Festetics de Tolna ukończono

żniwa pszeniczne, kończy się zbiór tytoniu i kukurydzy, huczą lokomobile i młockarnie. Można je zliczyć na niezmierzonej równinie, poznając po chmurach pyłu unoszącego się nad nimi. Około godziny ósmej z rana dnia dwudziestego czwartego czerwca 1859 cesarz wyruszył konno, w białym generalskim uniformie tamtej epoki, w kapeluszu z pękiem zielonych piór kogucich, ze swej kwatery głównej w Yaleggio, udając się do Cavriana. O godzinie dziewiątej wstąpił po drodze do wsi Volta, gdzie znajdowało się dowództwo pierwszej armii. Generała Wimpffena nie było na miejscu. Odjechał o świcie w stronę Guidizzolo. Od wczesnych godzin rannych trwała bezładna strzelanina w zaroślach i winnicach, jak sądzono - walka spotkaniowa pierwszych straży. Słońce lombardzkie wybieliło i zaróżowiło okoliczne kamienne wzgórza. Biły dzwony w Medole, a może w Castel Goffredo. Na płaskiej równinie koło Medole korpusy trzeci i dziewiąty walczyły już od godziny z nadciągającym od zachodu czwartym francuskim korpusem generała Niela.

Można było nawet gołym okiem

58

dojrzeć z niewielkiego kopulastego wzgórka koło Campo di Medole, a cóż dopiero ze wzgórz pod Cavriana, wydłużone pasma pyłu wzniesionego przez tysiące maszerujących Francuzów, idących kolumnami i w bezładnej strzelaninie rozwijających się w luźne szyki w dolinie. Można było obserwować pierwszą dywizję generała de Luzy, margrabiego de Pellissac, formującą się w pośpiechu w czworoboki. Czerwone spodnie, wysokie lakierowane kepi, nawet błyski poszczególnych bagnatów. Nieco zaś w lewo - poza kępami krzewów - trzecia dywizja generała de Failly. A tuż za nią - co to? To spoza piechoty wyłaniają się klusem strzelcy konni z brygady kawalerii barona de Richepanse. Cesarz spogląda teraz przez perspektywę podaną mu usłużnie przez szefa sztabu, generała Hessa. Obserwuje pole bitwy siedząc na koniu, gdy generał Hess stoi

obok, a jego konia trzyma za uzdę or-dynans w granatowej szamerowanej żółto  
huzarskiej atylli, przerzuconej przez lewe ramię i spiętej sznurem.  
W powiększeniu lunety, w kole obwiedzionym mosiądzem, niemal na  
wyciągnięcie monarszej ręki, widać gęste zarośla, szarosrebrne winnice, każdy  
listek z osobna obrysowany światłem słonecznym jak aureolą, każdą bruzdę  
spalonej czerwonej ziemi, każdy głaz murków rozgraniczających małe  
poletka. A dalej - białe uniformy piechoty tylekroć okrytej chwałą, tej spod  
Aspern i Esslingen, spod Custozy i Mortary, tej przed paru dniami zaledwie  
skrwawionej pod Magentą i Melegnano. Plecy w białych bluzach  
przekreślone na krzyż czarnymi pasami ładownic i ładownice z blaszanymi  
dwugłowymi orłami na klapach, i siwe spodnie naszych piechurów idących  
w tyralierze naprzeciw śmierci. Sztandary pułkowe. Cesarz poznaje:

to żołnierze trzeciego korpusu księcia Schwarzenberga, zapewne z  
pierwszej, okrytej chwałą przed  
Schonberga. Nastać się dojrzyć barwę  
idących w długiej idziestego siódmego Stefana. Nad nimi, zpryskują się szrap-  
•zucają grudy ziemi niemal zupełnie białe tuje lunetę od oczu 3 coś generała

Hessa, y. W tym momencie m siwym koniu, ze-Ldunek. Generał Sta-uska naciera w  
tej ) przeważającymi si-udem odeprzeć ataki tartino na skrajnym' . wciąż na

baczność, strzępach, prawy zaś :h krwi.  
i zbiera rozrzucone  
w porządku i obju-  
aom na prawo. Dwaj  
rzybyli pociągiem od  
• bufecie kasyna, piją może jest to koniak, ien z nich, w randze >aj zapalają

cygara. :, wreszcie przysiada i II, władcy Neapolu wilę, a gdy major re-Eet, po  
raz trzeci już ąc na tę chwilę cy:-ha zaczyna maszero-ija brodę królewską,

ardliwie-sceptycznym rłazi w końcu na nos przysiąc, że król wy-  
konuje w tej chwili nerwowy ruch wargami i nosem, a jego prawa brew wygina się  
w górę. Potem, gdy mucha schodzi z dostojnej twarzy, przysiadając w pobliżu



grubej złoconej ramy portretu, twarz króla martwieje w swym sceptycznym półśmiechu. Zastyga i spogląda nieco drwiąco na obu oficerów wciąż palących cygara obok bufetu. Ze wzgórza pod Cavriana cesarz widzi w tej chwili gołym okiem rozwijające się do szturm kolumny Francuzów. W lewo - naprzeciw Guidizzolo, bronionego przez jedenasty korpus generała Yeigla oraz przez trzeci księcia Schwarzenberga - zmasowane bataliony gwardii francuskiej, a także cały niemal korpus Mac-Mahona. Aż tu, na cesarski wzgórek, dochodzą krzyki idących ławą do ataku, słowa komendy, łomot bębnow, palba karabinowa. Wskroś chmury pyłu i dymu widnieją wysokie bermyce francuskiej gwardii, szamerowane bluzy, czerwone kamizelki żuawów generała Mellineta, ich szeszje i białe kamasze. Prą niewstrzymanie na Casa Morino i na Campo di Medole. Migają tam nasze białe mundury, płaszcze pozwijane i przewieszzone ukośnie przez plecy, regularne ruchy ramion w górę i w dół przybijających stemplami naboje w lufach, trzaski salw. Gdzieś na lewo, w dymach i kurzu wzbitym wysoko nad zieleń winnic, walczą dywizje pierwszego korpusu hrabiego Clam--Gallasa z wdzierającymi się już w uliczki Solfe-rina tyralierami francuskimi. Lekki podmuch zwiewa stamtąd ciemne i gęste dymy ku zarośniętym parowom. Zapaliły się jakieś domy w ciasnych uliczkach. Ktoś wybiegł z wąskiej bramy, przystaje, potyka się i pada. Słysząc aż na cesarskim wzgórzu dzwon bijący na trwogę w wysokiej cam-panilli. Po skłonie wzgórza oświetlonego jaskrawym słońcem galopuje koń bez jeźdźca i znika z tętentem w zaroślach.

61

Ordynans majora Franckla wyłania się z bramy i przystaje. Podchodzi do niego inny ułan w białej przybrudzonej letniej bluzie. Chwilę rozmawiają z ożywieniem. Potem tamten drugi odchodzi, ordynans zaś pana majora będzie stać jeszcze przez dłuższą chwilę zagapiony nieruchomo, niedaleko pustego już

jaskrawozielonego trzepaka.

Wieści od Benedeka i Stadiona: Benedek utrzymał wprawdzie w swym ręku San Martino, lecz nie może wspomóc centrum w walce o Solferino, gdyż zwała się na niego cała niemal armia sardyńska. Bersalierzy wdarli się przed chwilą od strony San Rocca, prac brawurowo ku Pozzolengo, i tylko wysiłkowi i wyjątkowemu poświęceniu się brygady Rodena należy zawdzięczać odparcie ataku Włochów.

Odnaczył się chlubnie - donosi generał Benedek - zwłaszcza jedenasty pułk

piechoty imienia saskiego następcy tronu, ponosząc jednak poważne straty. Meldunek generała hrabiego Stadiona również nie brzmi pocieszająco: sytuacja w

centrum, pod Solferino, jest krytyczna.

Narasta upał. Pył dławi w gardle. Słońce stoi wysoko, niemal w zenicie, na

bezhmurnym niebie, gdzieś nad domami Yaleggio. Kilka gołębi kołuje tam, to

zniżając się, to wzbijając wysoko nad dachy kryte karbowaną dachówką. Tylko nad

głębokim jarem rzeki Mincio wisi nieruchomo samotny biały obłok.

Teraz jest to już wyraźnie szachownica, której białe pola są raczej barwy

słoniowej kości, kościane figury zaś wyglądają na mocno sfatygowane, wyslizgane

od palców i nieco przybrukane. Zwłaszcza prawa wieża wygląda nieszczerólnie,

jak również lewy koń. Gracze, niestety, zastanawiając się nad każdym kolejnym

ruchem, mają zwyczaj raczej przykry i męczący, mianowicie nawyk długotrwałego

trzymania figury w powietrzu, a nawet mięto-

62

szenia jej czy też masowania końcami palców. Być może, iż taki zabieg wywiera

nawet pewien wpływ na losy gry. Istnieją różne poglądy na to zagadnienie.

Niemniej koń w tej chwili wiszący wszystkimi czterema kopytami wysoko nad

czarnym polem, wyglądającym z jego perspektywy jak ciemna studnia, wyraźnie się

niecierpliwi i niepokoi, usiłując się wyzwolić. Nawet leciutko i żałośnie rzy.

Gracz jednak tego nie słyszy, zamyślony i chmurny. Jego przeciwnik ma czas

przeczytać nagłówki artykułów w gazecie porannej. Jest to „Wiener Tageblatt”,

nasadzony na trzciniową ramę z drewnianą rączką. Piana w nie dopitym kuflu piwa zastygła i zwisa na zewnątrz niby galaretowaty, lecz nieprzezroczysty pysk podmorskiego zwierzęcia.

Mecenas Emanuel R. i jego stały od wielu lat partner, radca ministerstwa finansów w stanie spoczynku, Max Jacobi, grają już dziś szóstą partię. Dwie z nich wygrał mecenas, trzy radca Jacobi. Idzie zatem w tej chwili o poważną stawkę - może być remis, może triumf radcy. W ostatnich czasach miewał przewagę mecenas R. Czyżby od dzisiaj opuściło go szczęście? Nie należy się zatem zbyt dziwić, iż zanim przesunie konia, musi się nieco dłużej namyślić. Koń wywija nogami i wygina kark, ze strachem spoglądając pod siebie, w dół. Lecz czarna kwadratowa czeluść znikła, odpłynęła w bok, pod rumakiem zaś rozłożyła się biała kościana pustynia. Koń wydaje więc krótkie rzenie wyrażające nadzieję przeżycia bodaj do następnego ruchu. Nie widzi grożącego mu laufra, ukrytego chytrze i podstępnie za szeregiem karłowatych, pękatych pionków. Niektóre z nich, wyraźnie drwiąc, pokazują sobie palcami konia wiszącego wciąż jeszcze w powietrzu. Jeden, wyjątkowo grubiański i w dodatku brodaty, wysunął język w jego stronę. Laufer dyskretnie przymruża oczy młodego .amanta. Ale jednocześnie dystyngowanym ruchem torea-

f 1 • 63szenia jej czy też masowania końcami palców. Być może, iż taki zabieg wywiera nawet pewien wpływ na losy gry. Istnieją różne poglądy na to zagadnienie. Niemniej koń w tej chwili wiszący wszystkimi czterema kopytami wysoko nad czarnym polem, wyglądającym z jego perspektywy jak ciemna studnia, wyraźnie się niecierpliwi i niepokoi, usiłując się wyzwolić. Nawet leciutko i żałośnie rzy. Gracz jednak tego nie słyszy, zamyślony i chmurny. Jego przeciwnik ma czas przeczytać nagłówki artykułów w gazecie porannej. Jest to „Wiener Tageblatt”, nasadzony na trzciniową ramę z drewnianą rączką. Piana w nie

dopitym kuflu piwa zastygła i zwisa na zewnątrz niby galaretowaty, lecz  
nieprzeźroczysty pysk podmorskiego zwierzęcia.  
Mecenas Emanuel R. i jego stały od wielu lat partner, radca ministerstwa  
finansów w stanie spoczynku, Max Jacobi, grają już dziś szóstą partię. Dwie z  
nich wygrał mecenas, trzy radca Jacobi. Idzie zatem w tej chwili o  
poważną stawkę - może być remis, może triumf radcy. W ostatnich czasach miewał  
przewagę mecenas R. Czyżby od dzisiaj opuściło go szczęście? Nie  
należy się zatem zbyt dziwić, iż zanim przesunie konia, musi się nieco  
dłużej namyślić. Koń wywija nogami i wygina kark, ze strachem spoglądając pod  
siebie, w dół. Lecz czarna kwadratowa czeluść znikła, odpłynęła w bok, pod  
rumakiem zaś rozłożyła się biała kościana pustynia. Koń wydaje więc krótkie  
rzenie wyrażające nadzieję przeżycia bodaj do następnego ruchu. Nie widzi  
grożącego mu laufra, ukrytego chytrze i podstępnie za szeregiem karłowatych,  
pękatych pionków. Niektóre z nich, wyraźnie drwiąc, pokazują sobie palcami  
konia wiszącego wciąż jeszcze w powietrzu. Jeden, wyjątkowo grubiański i w  
dodatku brodaty, wysunął język w jego stronę. Laufer dyskretnie przymruża  
oczy młodego amanta. Ale jednocześnie dystyngowanym ruchem torea-  
Ł • • M 63  
ta . u  
V f "••• •\*' |  
od pelerynę, by zma-  
jakoby nieco podobny igo lat młodzieńczych, secnie trudno by już > mówić. Twarz  
mece-oszerzając się, straciły iek tonie w wycięciu ;zac zeń obwisłe. Nie-;asu  
wspominają o by-klą uprzejmość. Wów-enigmatycznie, jakby  
polu, rozglądając się rętwiąle nogi, potrzą-l. Teraz ruch radcy J. ni o  
marmurowy blat ijne faworyty, chytrze trefione, jedwabiste iuu pieszcząc. Od  
czasu lierzany jest kolejnymi iciwnika i trwa od pię-iktowany pociągnięcia-  
- radca przy chwytu j e e pasemka bokobrodów i. Nakręca je na palce, Czeka na  
kolejny ruch :padą laufra, spoczywa murowym blacie u stóp

•ubym szkłe spływa po-;j piany. Gmeranie palie się nam, jest u radcy ;ym i  
bynajmniej nie :oafiurze pani radczyni. y nie tak dawno czter-łzie figurę i  
ruchy mło-awet podobno zauważyć sarz Indii, Edward VIT,  
gdy ją przed dwoma laty spotkał w alejkach Ma-rienbadu, lecz od dawna przestała  
odgrywać rolę zapładniającą wyobraźnię erotyczną hofrata. Jego zabiegi wokół  
bokobrodów, łącznie z pieszczotli-wym gładzeniem i nakręcaniem kosmyków na  
wskazujący palec, są z samej natury najzupełniej neutralne, bezpłciowe, rzecz by  
można - wyłącznie szachowe i strategiczne. Można by je włączyć w serię  
podobnych im magicznych machinacji w odniesieniu do figur szachowych.  
Radca prawą ręką gmerając w kędziorach porastających prawy policzek, lewą  
masuje jednocześnie wieżę. Oba te ruchy są skoordynowane, niemal jednakowe.  
Podobne czynności przygotowawcze wykonują zgodnie i jednocześnie palce prawej i  
lewej ręki hofrata. Mecenasa spod oka czujnie obserwuje partnera. Wieża bowiem  
może wykonać albo ruch zwany roszadą, na co mecenas ma już gotową ripostę, albo  
też przesunąć się na pole iks lub ypsilon. A wtedy zrobimy z kolei ruch królową  
z pola... na pole... I wówczas...  
Jak wszystkim wiadomo, tuż po czwartej po południu czarne, gęste chmury  
podszyte siarczanym złym blaskiem nadpłynęły nagle z jeziora Garda, sponad  
twierdzy w Peschierze, z Alp, i rączo szybując zasłoniły słońce. Mrok padł  
na dolinę rzeki Mincio. Nastąpiła niemal noc rozświetlana błyskawicami, ulewa,  
istne urwanie chmury. W potokach zimnego deszczu i w całkowitych ciemnościach  
armia cesarska rozpoczęła odwrót za Mincio.  
Tylko generał Wimpffen, dowódca pierwszej armii, mimo nakazu odwrotu w kierunku  
na Mon-zambano, Yaleggio i Peschierę, walczył jeszcze samotnie i beznadziejnie  
w strugach ulewy i błyskach piorunów. Czterdzieści tysięcy zabitych zaległo

pola Solferina w dniu dwudziestego czwartego czerwca 1859.

O tym można wyczytać w kronice pułku. Są tam

5 - Król Obojga Sycylii

65

sególnym uwzględnie-Iwunastego regimentu ii. Przerzucając karty Emil R. wraz ze swym m Zdenkiem Kocour-muje z kieszonki na i podsuwa ją koledze. ;ojąc w dalszym ciągu rskim, na którym spo-oprawny tom z wytło-Iwugłowym orłem oraz wa dwunastego pułku obny do generała von wkracza za stół bufeto-aeliszków. Niektóre, nie isynowemu, ogląda kry-lewe oko. Nad nim

na-

•ew. Wąsy Istvana, ster-, sięgające ostrymi jak jfa kasyna, są najzupel-autentycznie smoliście ieństwa do generała-in-)owodem do dumy. Gdy rezerwy, których Istvan za ostatecznie od bufetu, tnę. Spogląda w okno, za

'omocnik mistrza nakry-raii obrusami, ustawiając .sz Istvan obserwuje go

najmniejszej niedokła-arazem sprawiedliwy jak msomme z diablotkami,

• barani. Na deser - wym, czarna kawa i śli- :znicy rezerwy - Emil znaleźli się w dwunastym pułku ułanów w sposób szczególny, który ktoś mało zorientowany mógłby poczytać

za kaprys lub fa-naberie. Mając, jako jednoroczni ochotnicy, prawo wyboru,

wybrali ten właśnie pułk kawalerii, daleko stacjonowany od Wiednia i Pragi,

nie znany im dotychczas, złożony w większości z Węgrów i Kroatów,

mimo iż przysługiwało im prawo odbycia służby w każdym innym. Na przykład w

siódmym ułanów z garnizonem w bliskim Wiednia Stockerau lub w

piątym dragonów w Grazu. Zde-nek Kocourek czułby się na pewno lepiej w praskim

pułku dragonów Liechtensteina lub chociażby w ósmym, chlubiącym się

pochodzeniem aż z czasów wojny trzydziestoletniej. Lecz oni przybyli aż tu, nad

granice serbską, do Fehertemplom, szukając śladów przeszłości, w pogoni za

złudną, romantyczną pamięcią czegoś, co w istocie już dawno nie istniało.

Zdecydował Emil R., Zdenek Kocourek zaś uległ, jak zwykle, fanaberiom

przyjaciela. Emil szukał legendy. Legendy pułku, w którym przed laty służył

jego dziadek, bohater i ofiara bitwy na polach Solferina. Solferino -

oznacza klęskę, zgon, czarną noc przesyconą poczuciem katastrofy, wypełnioną jękami rannych, korowodami białych widm wlokących się przez pobożowisko. Solferino - to jednocześnie suma tamtych obrazów - muzyczne Requiem. I ten fakt ma swoje znaczenie. Oznacza kres, zagładę i zarazem ukojenie. Brzmienie nazwy Solferino wyrosło niby łodyga muzycznego kwiatu, lili, a może orchidei o barwie cmentarnej, ciemnoliliowej. Wydziela swoistą woń ba-gienno-upalną. Posiada również płatki jak kielich kwiatu, mięsiste i delikatne niby ludzkie ciało.

Siostra zaś Emila R., Elżbieta, pewnego letniego dnia przed laty otrzymała na urodziny od chrzestnej matki, radczyni Marty Jacobi, pierwszą suk' nie niemal dorosłą, gdyż sięgającą do kostek. Emil zapamiętał tę suknię. I modną wówczas nazwę: kolor solferino. Jest to ciemny fiolet, który nasiąknął krwią. I w ślad za nazwą zrodziła się fraza muzyczna. Trzy, cztery najwyżej tony wróźebne.

Matka Emila, wzruszona darem dla starszej córki, dziękuje przyjaciółce, podczas gdy mała Liesbeth, bez zbytniego zachwyty, pozwoli za chwilę przymierzyć tę istotnie „dorosłą” suknię, a pani Marta Jacobi będzie opowiadać, że kolor fioletu, być może nieco za ciemny i za poważny na wiek obdarowanej, stał się ostatnio modny w Paryżu i że nazwano go tam „solferino”. Na wystawach Wortha i Lan-vina widuje się całe komplety w tej właśnie barwie, jak i różne dodatki - na przykład kokardy - uznane za dernier cri. Pani Jacobi, mając na względzie młody wiek chrzestnej córki, wybrała wyjątkowo jasny odcień solferina, bliski rouge-Bourgo-gne, niemal różowy, wpadający w lila - prawda, że ładny?

Liesbeth, odziana w gotowalnię pani Jacobi, która całą rodzinę mecenasostwa R. zaprosiła na kolację, przybrana w suknię solferino, wejdzie do małego narożnego saloniku i pozwoli łaskawie obracać sobą obu paniom - matce i pani Marcie - podczas gdy Emil, wówczas czternastoletni, w szkolnym mundurku, bardzo szczupły

i anemiczny, stanie w uchylonych drzwiach balkonu, wieczór bowiem jest łagodny, niemal ciepły, cienką firanką nie poruszy żaden powiew. Liesbeth nowa suknia pasuje na kobietę, podobnie jak pasowano na rycerzy młodych giermków o jasnych twarzach okolonych blond lokami, równo przyciętymi na czole, tworzącymi coś w rodzaju chłopięcej grzywki. Twarz Liesbeth, oglądana pod światło stojącej lampy z szerokim abażurem, wydaje się ciemna i chłopięca w tej chwili uroczystej.

Tylko jej kocie oczy błyszczą, rzucając na boki sprytne, rozbiegane i drwiące spojrzenia. Lies-chen co chwila parska pogardliwie. Emil wtedy właśnie pomyśli:

„Oto symboliczny

68

wyrok na nas oboje: na mnie i na nią." I doda (a może ten dodatek pochodzi z okresu znacznie późniejszego, chociażby z epoki Gmunden lub Gra-do): „Nous

sommes maudits, tous les deux."

Byłby zapewne niełatwy do uzasadnienia w sposób racjonalny tok myśli młodego człowieka w mundurku konwentu ojców jezuitów z Kalksburga, stojącego w uchylonych na balkon drzwiach mieszkania państwa Jacobi przy Alserstrasse. Są to jednak dalsze ciągi, konsekwencja spraw zrodzonych dawno temu. W łoży Burgtheater, nazajutrz po tym wieczorze u państwa Jacobi, dozna świadomie i uzmysłowi sobie z całą jaskrawością szczęście, jakie dane mu jest przez los, fatum, Ananke - własną swoją odrębność i osobność, wyrastającą niby smukłą łodygą trującego storczyka bagiennego (Emila własne przyrównanie ówczesne) z zatajenia grzechu śmiertelnego, w którym tkwi, za życia już potępiony nieodwracalnie, i wtedy, w łoży, siedząc za plecami matki i siostry, szepnie niemal na głos: - Teraz już wiem, już wiem! - powtarzając tamten okrzyk z poprzedniego wieczoru. W ciemności łoży, nie patrząc na scenę, ujrzy płonące oczy



spowiednika, jezuita, ojca Corneliusa Blatta. I jego drżące ze zgrozy,  
poblądle wąskie wargi: - Synu mój?!... - I dłoń wczepioną palcami w barierkę  
konfesjonu, zbiele, suche palce ręki, wreszcie wskazujący palec uniesiony  
gestem potępienia czy może błagania Wszchemogącego o dar łaski dla penitenta.  
Emil uświadomi sobie w loży Burgtheatru, iż żyje od pewnego czasu permanentnie  
i świadomie w stanie grzechu śmiertelnego i niewybaczalnego, a co gorsze - w  
zgodzie z tym stanem potępienia już za życia. Pojmie podstępłą radość z tego  
stanu właśnie na prezentacji Edypa króla w zaciemnionej, mrocznej loży, pełnej  
dusznego zapachu fiołków cesarskich i poświęty solferino, w kolorze zgubnym  
69  
zechem, wydobytym ;ryn, przeszczepionym  
na siostrę, Swiado-ania krótkiej bolesnej  
Emil, który wyrazi  
D przymierzaniu przez ukni solferino w ma-iętrze przy Alserstras-wany radca  
dworu Ja-|c się do swego gabi-słane przez Bodenkre-iny sceną przymierza-, która  
leży „jak ulał”, zastanowić się, czy nie ć w pasie, a zatem już lej paradzie  
wojskowej •odzeństwo przez okno . przy Stubenringu. sj kotary, Emil ujrzał  
ra maszerującą wojsko-tschmeistrów, a na jej niały człowiek, wysoki, jczyzna  
co się zowie, w granatowy paradny lierzem i mankietami, piersi, z  
batutą w rękę, , kapelmistrz ów posia-, jakby miał policzki la-)lą jeszcze nie  
obeschlą, z wąsy dyrygenta były : faworyty i podkrecone iki i jurny. Ta męskość  
ziej więc wypięcie-agre-jednak, wbrew temu po-iach krocząca zwycięsko teno  
wbije się w pamięć Lzieńca, iż trudno mu bę-  
dzie się przez dłuższy czas od jej obrazu uwolnić. Zwłaszcza że wspięta na  
palce za plecami brata Lies-chen wypowie, krztusząc się ze śmiechu, kilka uwag  
na temat otyłości kapelmistrza, jak i jego wąsów i faworytów, szczypiąc Emila  
gdzie popadnie, nie mogąc już, jak się zdaje, wytrzymać ze złej uciechy.  
Za maszerującą czwórkami orkiestrą, za lśniącym, połyskliwym wrzaskiem trąb,  
waltorni i puzonów, za kucykiem dźwigającym olbrzymi bęben pomalowany w

żółto-czarne pasy, za szeregiem fletów, jadą cesarsko-królewscy ułani, również w pełnej gali białych rękawic, białych sukiennych czapraków, wyczesanych do połysku końskich zadów, karków i kłębów, w czerwieni spodni i kołysaniu się do rytmu marsza końskiego włosia zwisającego u boku ułańskich czak z orłami na froncie, w brzęku pałaszy i migotaniu strzemion i ostróg przy wyczyszczonych jak lustra butach. Konie stawiają nogi z gracją i wdziękiem baletnic, potrząsając grzywami i podrzucając karki i łby ściągane lejcami dzierzonymi krótko przez białe niciane rękawice ułanów i skórzane glaces panów oficerów. Młody oberleut-nant jadący na przedzie stanie się później bohaterem samotnej nocnej wędrówki przez pobojowisko Solferina, będąc zarazem i samym wcielającym go w nocne widmo młodzieńcem spoglądającym nań spoza firanki z pierwszego piętra mieszczącej kamienicy przy Stubenringu. Będzie nachylony nad końskim karkiem galopować w takt nie orkiestry dyrygowanej przez dumnego wążacza z c.k. pułku Deutschmeistrów, lecz - rzecz dziwna - zasłyszanej przy innej okazji Pieśni Solveigi z suity Griega. Solveiga będzie skarżyć się w księżycowej poświacie sceny, w oparach sinawobłękitnej mgiełki, Anitra zaś, widziana z góry, z łoży prosceniowej pierwszego piętra Opery Wiedeńskiej, będzie się kołysać w takt muzyki, tej samej, która w innej rzeczywistości i w innym wymiarze wedrze się w skargę Solveigi, mącąc dysonansem groteski samotną nocną wędrówkę jeźdźca przemierzającego pobojowisko Solferina. Nieczysta zaś i zachłanna męskość kapelmistrza włączy się w bas Króla Gór, dudniący nisko i chybotliwie, powtarzany echem aż gdzieś we freskach wysokiego plafonu, a także w złoceniach i secesyjnych ornamentach łoży, stając się jednym z wielu podwójnych, a może i wieloznacznych odmian symbolu Solferina, złożonego, a w owej chwili dopiero formującego się z barw, muzyki

oraz poczucia dokonywanego równocześnie odkrycia: jestem nieodwołalnie skazany i w tym wyroku odczuwam szczęście.

Są w tym wszystkim doznania chwili sprzed lat oraz późniejsze już sprzężenia zwrotne, trudne niewątpliwie dziś do ustalenia, a tym bardziej sprecyzowania.

Gdy zapadnie czerwcową noc lombardzka po burzy i ulewie, samotny jeździec ukaże się na łysym kamiennym wzgórzu pod San Cassiano. I równocześnie wstanie księżyc wśród winnic. Niebo będzie niemal bezchmurne, wysokie i granatowoczarne, gęste od gwiazd. Daleko, na północy, świecą we wstającym miesiącu Alpy. Chłód

pachnący nocą nadpływa od jeziora Garda.

Galop, a następnie kłus konia w poprzek pustej równiny pociętej siecią rowów,

kanałów nawadniających i kamiennych zagrożeń, wśród winnic, pomiędzy rzędami wysokich topoli i cyprysów, w stronę milczącego, wymarłego miasteczka czy może wioski wyglądającej teraz jak cmentarz z campa-nillą. I milczące, posępne, łyse wzgórza.

Za jadącym kłusem jeźdźcem - rozsypany w winnicach pluton ułanów. Potem

jeździec zostanie sam w pustej przestrzeni i cmentarnej ciszy. Tamci, jadący w

ślad za nim, pogubią się w ciemnościach, będą jeszcze przez chwilę nawoływać,

potem ich głosy zamilkną.

72

Obraz jest czarno-biały niby staloryt. Wszystko, co leży w zasięgu wschodzącego

księżycy, jest jednolicie kredowobiałe. Czarne jest niebo, jak również to, co

kryje się na ziemi poza zasięgiem poświaty miesiąca. A więc czarny jest

jeździec i jego koń, i jego ułanka przewieszona przez ramię, i jego twarz w

cieniu tataraki, z której sterczy samotne czaple pióro. Tylko koniec brody, a

także, w miarę ruchów konia, i pochwa pałasza, srebrzą się w martwej poświacie.

Pałasz ten nie brzęczy. Jest zupełna cisza, w której jedynym odgłosem dudni

tętent galopującego po kamieniach konia. Kamienie są biało-czarne. Cięż

przeskakującego je konia czarny. Cień jeźdźca i cień konia płyną przez  
mglisto--srebrną przestrzeń.  
Samotny jeździec ma przed sobą wstający księżyc podobny do balonu. Przesunie  
się przez jego tarczę czarny romański kształt campanilli w San Cassiano.  
Miesiąc wpłynie w otwór wycięty na jej szczycie, wstąpi na pusty balkon i  
wówczas pociemnieją białe kamienie i biała pochwa ułańskiego pałaza, i ułamek  
muru opasującego winnicę i cmentarz. Po chwili balon wypłynie po prawej stronie  
kanciastej tępej wieży, wyjrzy spoza niej i na krótką chwilę oświetli dzwon  
zawieszony w wycięciu campanilli. Lecz będzie to może ułamek sekundy, bo oto  
dzwon już poczerniał, zgasł i znikł, wieża zaś stanie się znów jednolicie  
czarna, wtopi się w czerń nieba, na którym przygasną gwiazdy. Tylko dalekie  
szczyty Alp na horyzoncie sterczą wciąż jednak białe i lodowato zimne.  
Wówczas w stronie Solferina odezwą się ranni czołgający się gromadami,  
wspierający się na kolanach i łokciach, podciągający na brzuchach, pokryci  
krwią i kurzem. Niektórzy legną wnet twarzami w kamieniach i pyle. Ich jęki i  
nawoływania napływać zaczną falami. Będzie to jednak jak gdyby odległe, złudne  
echo, niby daleki zaśpiew,  
stłumione kwilenie dziecka, a może już tylko ciche westchnienie traw  
dotkniętych łagodnym powiewem nocnego wiatru.  
Wyniosłe strzały cyprysów sterczą w niebo własną, odrębną czernią, jeszcze  
głębszą niż czerń nieba. Pojawią się z prawa i z lewa, aby wkrótce zniknąć.  
Może nigdy ich w tej stronie nie było?  
I znów kłus przechodzący w galop. Stukot podków na kamieniach, które wybieli  
księżyc, gdy minie campanillę i wzbije się ponad dach kościoła. Campanilla  
zgięta wpool, nachylona, zmaleje, wrośnie w ciemność, zniknie. Może jej nigdy w  
tym miejscu nie było? Zostanie z niej jeszcze przez chwilę w próżni samotny,  
zawieszony w przestrzeni, bujający w powietrzu niewielki dzwon, a raczej jego  
wypukła matowa łuska, połowa spizowego owocu. I ona zniknie wkrótce.

(„Księżyc wschodzący nad pobojuwiskiem Sol-ferina.”)

Wpada przez okno sięgające niemal posadzki, rzuca deseń firanki na odsunięty skraj dywanu. Panna Elżbieta R. odbywa jak co dzień lekcję rytmiki i tańca pod okiem mistrza, pana Dufisa. Gdzieś z boku, odstawiona na krzesło pod ścianą, pali się niewielka lampka pod zielonym abażurem. Lecz jej światło pada zaledwie na skrawek podłogi. Kryształowy żyrandol pod sufitem zgaszono. - Ambiance, mademoiselle.

- Więć teraz szybko, Fraulein, pozycja za pozycją. Prószyć; uważać i patrzeć na mnie. Arabeska - fouette - pas de bourree - pas jęte - plie... Tres bien.

mademoiselle! Vous-etez delicieuse, mademoiselle!...

(„Nocne godziny tamtych okolic. Księżyc nad pobojuwiskiem Solferina.”)

- A teraz, mademoiselle, proszę, błagam o chwileczkę uwagi. Zrobimy piękne

battement, o, tak - doskonale, znakomicie! - I efface - o, tak,

73

tak, właśnie, wspaniale, znakomicie, bajkowo! - I jeszcze entrechat, i failli,

a teraz maleńka, urocza glissade - niżej, niżej, do samej podłogi nóżkami -

bien, bien! Uwaga! Uwaga! Piruecik na zakończenie - i plie... Niżej, niżej,

jeszcze odrobinę niżej, mademoiselle Elisabeth - rond de jambe, merci,

mademoiselle, grand merci... Z pani, mademoiselle, byłaby kiedyś znakomitość,

sława, primabalerina cesarskiej opery, a tak, a tak, słowo honoru, jaka szkoda,

oczywiście, wiem, wiem, rzecz jasna, że wiem, Fraulein ćwiczy wyłącznie dla

osiągnięcia wprawy, uzyskania ruchów zwinnych, płynnych jak sarenka, jak

gazela, dla ogólnej kultury ciała, tak, tak, ale szkoda, szkoda.

(„Godziny nocne tamtych stron bywają nieco dziwaczne w swym charakterze. Ten

wciąż oddalający się, a mimo to trwający nieprzerwanie tętent konia po

kamieniach, po drogach i bezdrożach lom-bardzkiej nocy bez końca, po dywanie i

parkiecie posadzki.

I nieruchomy księżyc, i nieruchoma, samotna, przyczajona w ciemnościach

romańska campanilla w San Cassiano - a może to nie San Cassiano? - istniejąca

raczej w domyśle niż w swym realnym bycie i kształcie w mrokach nocy. I campo santo ze sterczącymi w niebo pełne gwiazd cyprysami, i białe mundury piechoty snujące się jak duchy to tu, to tam, w mrocznych winnicach, zaplątane w druty zawieszane tuż nad ziemią i łączące roz-krzyżowane czarne winorośle. Widma pojawiające się, towarzyszące jękiem i nawoływaniem, żalobnym szeptem samotnemu jeźdźcowi; znikające i pojawiające się całymi gromadami białych cieni na sąsiednim łysym pagórku, by za chwilę zniknąć. I koń idący teraz stępa, z głową nachyloną ku ziemi, jakby węszył rozlaną krew. Prawa noga, lewa noga, prawa noga, lewa noga, noc, noc, noc...")  
- Griega? Dobrze, skoro młody człowiek sobie

75

tego życzy. Zagram Griega. Ma pan upodobania nieco posępne, młodzieńcze. Hm...

No tak. Dobrze, nie zapalimy górnego światła. Być może, iż muzykę Griega istotnie lepiej odbiera się przy świetle księżycowym. Teraz dopiero przyszło mi to do głowy. Gdzie pan zniknął, młody człowieku?... Aha, stoi pan pod oknem. Eh bien. Zaczynamy zatem... Ma-demoiselle raczy się teraz przebrać, gdyż jest zapewne nieco zgrzana i mogłoby ją zawiać. Mama panienki kazała mi uważać, żeby, nie daj Boże...  
Były niegdyś dwie siostry, Elżbieta i Bernadetta, oraz ich brat, Emil. Należy powtórzyć tę oczywistość, skoro sięgnąć wypadnie do źródła, do Alfy, zejść do podziemia.  
Nie jest wykluczone, iż po latach imię Emil nasunęło pod wpływem lektur temu, który je otrzymał na chrzcie świętym w kościele Świętego Leonarda w Grazu, przyrównanie do bohatera powieści Jana Jakuba Rousseau i jego losów. I że myśl ta mogła nawet wyrzucić pewien wpływ na dalszy bieg wypadków, lecz nie jest to aż tak pewne.  
Kiedyś, dawno temu, lecz nie tak dawno, by można było zapomnieć, istniała moda

przebieranek w pewnych środowiskach. Nawet matka, piękna matka, pani mecenasowa Ethel R., wiecznie młoda i lekkomyślna wedle zdania jej mężonka, lubiła swoje dzieci przebierać przy każdej nadarzającej się okazji zabaw, festynów i kinderbalów. Cofnąć się wypadnie do przełomu dwu dat - 1899 i 1900 - z pozoru stanowiących jakąś granicę, nastanie nowej ery, świtu i przesilenia, gdy są to wyłącznie pozory: nic się nie zmieniło i nie zmieni; wiek dziewiętnasty przetrwa w pełnej swej, aczkolwiek więdnącej już krasie aż do niedzieli dnia dwudziestego ósmego czerwca 1914, gdy rażony nagłym paraliżem, wylewem mózgu czy apopleksją, padnie na bruk skrzyżowania Kaiser Franz-Josef-  
76  
-Strasse i Appel-Quai w Sarajewie, na samym końcu świata, u stóp bałkańskiego wulkanu, o którym od lat już pisywała snując różne przypuszczenia prasa całego świata, że wciąż groźnie dymi. A zatem wracamy w piękne lata 1899-1900, w autentyczny „fin-de-siecle”, zaznaczony piętnem dekadencji, dumy i radosnej rozpaczki poniektórych. Wyjmowali niewielkie chusteczki z kieszonek wciętych marynarek, batyst pachnący perfumami epoki - a mogła to być „Trefle Incarnat”, „Cuir de Russie” lub „Quelques Pleurs” firmy Houbigant w Paryżu lub też „Czarne Maki” Atkinsona w Londynie, i przykładali do nozdrzy. Modne bywało „smutne zmęczenie” i przekwit. Istotnie - coś tam za kulisami przekwitało, lecz, jak to bywa w naturze, i zakwitało zarazem. Czytano wiersze Alfreda Momberta i francuskich symbolistów. Entuzjasta moderny w najświeższym wydaniu, ubiegający w tym wyścigu stołeczny Wiedeń, a idący krok w krok za Berlinem, Jifi Kara-sek ukończył lat dwadzieścia sześć, jego zaś „Mo-derni Revue” - sześć. W naddunajskiej stolicy Kraus wydaje „Die Fackel”. Rzeźby Yigelanda w oryginale i reprodukcjach gorszą i radują serca. Firmy De Dion-Bouton i Gobron-Brillie święcą tryumfy w salonie samochodowym Paryża anno

1899, w Londynie zaś słynny Napier prezentuje model pomysłu Kennarda, dziewięciokonny wóz o genialnych, wedle znawców, zaletach konstrukcji małowitrazowego wozu dla amatorów. „Section Regionale de l'Amicale de la Rasse Felne" w Yichy, w hallu hotelu „Sanct-Petersbourg", użyczonym na ten cel przez dyrekcję, sprezentowała wystawę kotów rasowych, zwłaszcza pięknej kolekcji przywiezionej z Anatolii oraz Persji. Miasto Fehertemplom w ko-mitacie Temes, które kiedyś odegra jeszcze pewną rolę w sprawach nas obchodzących, wedle ostatniego spisu ludności zamieszkiwało 10 107 miesz-  
77  
kańców, z przewagą Niemców - około 65 procent, gdy inne grupy ludnościowe można podzielić następująco: Izraelitów - około 6 procent, Węgrów obrządku ewangelickiego i rzymskokatolickiego - 21 procent, Kroatów, Serbów oraz Cyganów - reszta, to jest około 8 procent. Jeśli idzie o austro--węgierskie siły zbrojne, które również w czasie późniejszym staną się jednym z motywów głównych u samego kresu, czyli finale „la belle epoąue", to odnotowujemy, co następuje: ministrem wojny był jego ekscelencja generał Kriegshammer, na czele zaś czwartego korpusu armii stał generał von Pittera. Bona, panna Traut, uczyła rodzeństwo R. przed ułożeniem do snu wierszyka deklamowanego wspólnie: „Eins, zwei - Polizei, drei, vier - Offi-zier... fiinf, sechs - eine Hex... sieben, acht - gute Nacht... neun, zehn - schlafen gehen...". Palły się na Stubenringu łukowe lampy, drzewa w parku Schwarzenbergów rzucały cienie na gazony i kwietniki. Potem opadły liście kasztanów i lip i spadł oierwszy śnieg w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziesty listopada. Pokojówka pani R., Greta, wyrzawszy przez okno, zobaczyła go pierwsza, wyszła na balkon i zgarnęła miotełką spod drzwi bielutką zaspę. W domu wszyscy jeszcze spali prócz pana domu, mecenasa R., który zaczynał właśnie golić się w łazience. Spieszył się do



sądu, gdzie w dniu tym o dziewiątej rano występował w sprawie N. Rappaport  
contra Bodenkreditanstalt. Mecenas występował w imieniu strony oskarżonej -  
banku.  
Lieschen przebierano zazwyczaj za pазia. Po raz pierwszy pamiętamy ją w tym  
stroju w dzień urodzin kogoś z rodziny i urządzanych z tej okazji modnych  
wówczas „żywych obrazów”. Niestety, Lieschen wierciła się przez cały czas, mimo  
solennych obietnic, iż będzie stać jak mur, mimo napomnień panny Traut, i  
popsuła nieco efekt przed-  
78  
stawienia. Gdy rozsunięto kurtynę sporządzoną z kotary zawieszanej na drucie  
przez któregoś ze starszych kuzynów, oddzielającą scenę od reszty salonu, gdzie  
zasiedli widzowie, Lieschen odwróciła się na pięcie i pokazała język swej  
młodszej siostrze, siedzącej jako królowna w kącie na poduszce. Detta, o ile  
wiemy, rozpląkała się, lecz cichutko, nie ruszywszy się ani o centymetr z  
wyznaczonego jej miejsca, za co ją później pochwalono.  
Po pewnym czasie mogliśmy zobaczyć Emila przebranego za wróżkę z baśni  
Grimma, Lieschen zaś jako czarownicę. I tu niesforna dziewczynka nie wytrzymała  
do końca i gdy kurtynę zasuwano, wbiła ukrytą w garści szpilkę w ramię wróżki i  
Emil-wrózka doznał po raz pierwszy w życiu uczucia dość osobliwego: uczuwszy  
ból w ramieniu, pohamował się i zamiast rozpląkać się lub krzyknąć, uśmiechnął  
się do siostry, jakby dziękował lub wyczyn jej uznawał za znakomity żart, tak  
iż tym nawet rozczarował Lizę, która oczekiwała głośnego skandalu, płaczu i  
awantury, do czego skrycie, jak się zdaje, dążyła. Emil zaś, niby święty  
Sebastian, w duchu wystawiał nie tylko ramię, lecz całe ciało na strzały  
siostry, pragnąc ich, oczekując i z niejakim przestachem stwierdzając, iż jest  
uszcześliwiony jej wyborem na żywy cel i przedmiot.  
Z okazji następnej zapamiętanej uroczystości, urodzin pani Cecylii Babo,

przyjaciółki państwa R., osoby bliskiej biskupa, damy nad wyraz zacnej i czcigodnej, trudniącej się od wielu lat dobroczynnością, mały Emil wystąpił w gronie dzieci-aniołków jako święta Cecylia. Wybór padł podobno na niego ze względu na -uduchowioną twarzyczkę, okoloną podówczas blond kędziorkami uciętymi po paziowsku, a w tym czasie mawiało się w rodzinie, iż kto wie - może Emilek zostanie księdzem, jezuitą chociażby - a i on sam nie był daleki od takich projektów.

Na małej scenie, urządzonej tym razem w obszer-

79  
riach salonach pani Babo przy Elisabethgasse, Emil wystąpił w żywym obrazie, dzierżąc w lewej ręce harfę wyciętą z kartonu oklejonego pozłótką od czekoladek - dzieci zbierały ją i gromadziły już od kilku tygodni - na głowie zaś umocowano mu maleńką aureolę, również z pozłacanego kartonu. Wstydził się bardzo i bronił do ostatka, na tyle jednak uprzejmie, słabo i cichutko, że z łatwością dało się go przekonać, „iż tak trzeba”. Wstydził się, gdyż na próbach, których było kilka, dziewczynki stojące po kątach, przebrane za aniołki, wyśmiewały się z niego w sposób niecny i okrutny. Może dlatego, iż były zazdrosne, że żadnej z nich nie wybrano do tej roli. Wśród nich najstarszą była Lieschen, ubrana w rodzaj komeżki lila, ze skrzydełkami u ramion, wciąż poruszającymi się przy jej ruchliwości, Detta zaś, tłustawa i nieco niemrawa, stała nieruchomo w białych pończochach i w białej sukience do samej ziemi, tak jak ją ustawiła wśród innych aniołków panna Traut, reżyser całości.

Emil - przypominamy sobie - popłakiwał w kącie, odwrócony twarzą do ściany, i dopiero na samą premierę uspokoił się i mężnie wytrwał do końca. Ksiądz kanonik Pflaum bił mu brawo, a nawet, przywoławszy do siebie, pogładził po płowej główce, strącając z niej aureolę. Ofiarował mu w zamian obrazek ze świętą Cecylią. Na obrazku święta była dorosłą dziewczyną i, niosąc harfę, szła

z przymkniętymi oczami jakby po omacku. Ojciec Pflaum powiedział: - Oto twoja patronka,"dziecinko. A jak ci na imię, dziewczynko? - gdyż, jak się później wyjaśniło, wziął Emila za autentyczną dziewczynkę. - Podejdź no bliżej, malutka... Jakież ty masz niebieskie oczęta, prawdziwe niezabudki... - I tak dalej, coś w tym rodzaju.

Inne dzieci-aniółki chichotały po kątach. W pokoiku służącej, zaimprovizowanej

garderobie, zaczęła go potem kuksać i boleśnie podszczypywać. Mała

80

Irma Ludolff, córka pułkownika artylerii, starsza od Emila, zrobiła mu „syfona”,

gniotąc do bólu nos. Zostanie uwieczniona w jego pamięci. Jest, jak się

domyślamy, jednym z potępionych aniołów spadających w roju innych na ścianie

Sykstyny. Emil odnajdzie po latach jej portret. Stojąc z zadartą głową w tłumie

turystów, ujrzy ją bardzo wyraźnie. To ona spada od kilku stuleci w tłumie

potępionych, lecz jakby osobno, nieco inaczej i na własny rachunek. Jej ramiona

wyglądają jak szeroko rozpostarte skrzydła, żeglujące dłońmi-piórami o

rozchylonych, bladych palcach, oczy zaś, zmrużone i wąskie, uśmiechają się

dwuznacznie.

W roku 1909 wyjdzie za męża za majora von Rot-tenhahn, dowódcę garnizonu w

którymś z małych miast słowackich koło miasta Eperies na terenie c.k. szóstego

korpusu w Koszycach. Emil straci ją z oczu.

Lieschen powie nazajutrz: „Cecylka nie dostanie dzisiaj baumkuchena, tylko

migdałek. Podaruje go jej w nagrodę za posłuszeństwo jej braciszek

Teu-felchen." Będzie to aluzja i do występu brata w roli świętej Cecylii, i do

uprzedniej własnej, przy jakiejś innej okazji, jako diabełka.

I Lieschen, wydłubując migdałek z tortu, mrużąc oczy, doda, żeby się upewnić:

„Cecylka chyba wie, kto to taki?... Bo gdyby nie, to on mógłby jej pokazać jako

dowód sam koniuszek czegoś kosmatego... Niech się Cecylka sama domyśli, o co tu

chodzi...”, po czym, unosząc brwi, ściśnie w dwu palcach uwalanych atramentem

po rannej lekcji z panną Traut nadgryziony, biały i śliski, obłuskany  
paznokciem z brunatnej łupinki kawałek migdała. „No?...” Emil zaciśnie  
odruchowo wargi. Zacznie się nagle bać. Migdałek dorosnie do wymiarów  
diabelskiej hostii. A odbywa się ta scena w-niecałe pół roku po pierwszej  
komunii. Żrenice siostry migocą pośród jasnych, rzadkich rzęs i zmrużonych,  
nieco zawsze na-  
81  
puchniętych, czerwonych powiek. Lieschen chorowała niedawno na zapalenie  
spojówek. W jej wzroku brat odczyta zachętę i oczekiwanie, a może i pogroźkę:  
„Spróbuj tylko mi się sprzeciwić, nno!...” Więc w poczuciu grzechu śmiertelnego  
przyjmie ze skurczonym sercem migdałowo-diabelską hostię z powalanych  
atramentem palców siostry. Ona wytrze je potem w skraj obrusa.  
Latem Emil zostanie przy jakiejś parkowej okazji greckim pasterzem; pomyśl tym  
razem Lieschen. Zdarzy się to w parku zdrojowym w Baden koło Wiednia. W takim  
zakolu z wysokich i cienistych lip, na strzyżonym trawniku. Lieschen przeobrazi  
się w rodzaj leśnego duszka z jakiejś wówczas czytanej wspólnie bajki. Będzie  
sylenem, a może nimfą. Lecz byłaby to nimfa tuż przed przeobrażeniem się w  
postać kozłonogiego satyra. A może to już późniejsze wrażenie Emila, odnotowane  
w zeszycie oprawnym w zielony półskórek. Nikomu nie pokaże go za życia.  
Nie odczytując kart tego pamiętnika, a raczej szkicownika - zawiera bowiem  
obok brulionów nie wysłanych listów oraz dziennika prowadzonego z dnia na  
dzień, jednak bez zachowania ścisłego porządku, także próby utworów na  
fortepian i skrzypce - niełatwo nam będzie rozwikłać liczne krzyżujące się i  
zawężające sploty uczuć i ich odbić wtórnych. Lieschen będzie miała w scenie  
wśród lip w zdrojowym parku ramiona oplecione bluszczem. A może było w istocie  
inaczej? Może to wytwór fantazji jej brata?  
Zwoje bluszczu wyrosną jej z ramion, spiętrzając się znad karku niby wiązka

lian, i wplecione przemyślnie we włosy, opadną festonami aż na policzki... I

czy to wówczas właśnie Lieschen skaleczy się w palec - a byłby to palec

wskazujący lewej ręki - i ona będzie go ssać zawzięcie, marszcząc brwi i tupiąc

nogą, zanim Fraulein Traut obwiąże

82

go jakąś szmatką. Płótno przesiąknie krwią i wtedy Emil będzie walczyć z chęcią

wzięcia do ust zabandażowanego palca siostry, by poczuć - jak sobie wyobraził -

słodkawy smak jej krwi. I czy to wszystko nie zrodziło się znacznie już

później, w jakimś na przykład śnie, gdy, gorączkując po przebytych wiosną 1909

zapaleniu płuc, zagrożony procesem gruźliczym, przebywał przez dłuższy czas w

Meranie?

Z tej perspektywy ujrzelibyśmy morze, kołysane leciutkim sirocco nadlatującym

falami spoza cypla skalnego bezludnej wyspy. Jaka to będzie wyspa? Jedna z nie

nazwanych na mapie raf skalnych sterczących samotnie z morza w pobliżu wyspy

Krk? To niewykluczone. Istnieją tam całe archipelagi podobnych wysepek bez

nazwy. Moglibyśmy odczytać w zielonym zeszycie Emila: „Abbazia, dnia...

września 1913. Na pokładzie niewielkiego okrętu wojennego, którego nazwy nie

zapamiętałem. Dzięki uprzejmości kapitana fregaty, Maxa N., kolegi narzeczonego

L. To on na prośbę L. zezwolił nam, wbrew, jak się zdaje, jakimś tam

regulaminom, na tę niewielką wycieczkę na torpedowcu. Abbazia-Krk-Pola i z

powrotem. To «z powrotem» nastąpiło po krótkiej przerwie... «Une petite

excursion pour s'amuser...» Tak! stojąc nieco niżej, prawie u stóp L., która

ulołowawszy się na rufie, na metalowym kole czy raczej walcu z nawiniętą grubą

stalową linę, patrzyła w morze poza nami, zwierzyłem się jej z mojej niemocy, z

mego Wielkiego Strapienia, nieco w gruncie rzeczy żenującego i niełatwego do

obwieszczenia na głos, i dodałem, że to jej вина - a ona wysłuchiwała mnie bez

cienia zdziwienia, jakby się tego od dawna spodziewała, nie odezwawszy się przez cały czas moich wstydliwych i rozpaczliwych zwierzeń, tej mojej spowiedzi. Po chwili zamilkłem, urwałem wpół zdania. Ona wciąż stała na rufie płynącego szybko okrętu, patrząc w morze. Potem powiedziała: \*«Biedny Emil...» Pomyślałem sobie, iż być może, moje słowa zgłuszył szum fali, wirów przetwarzających się bez przerwy w brzdęk piany za rufą, i ona nie wszystko z mojej spowiedzi zrozumiała. A później, ale to już był wieczór, słońce zachodziło za skały na maleńkiej wysepce, w drodze powrotnej..."

Więc i my podchodzimy na palcach do linowej poręczy na rufie okrętu. Abbazia ucieka w tył, wykręcając się w lewo, wnet przesłonią ją występy skalne półwyspu, które łukiem opływamy. Ciemne gąszcze drzew, wąskie pasemko kamienistej plaży, hotele w zieleni, wszystko to kryje się za wysuniętym cypłem.

Nachylony na lewą burtę torpedowiec „S. M. S. Scharfschutze” zatacza wielki łuk, idąc w pełne morze wprost w tarczę słoneczną, nachyloną już nisko za przybrzeżne skały istrijskie. Zatoka Quarnero jest spokojna, dopiero poza półwyspem, który właśnie minęliśmy, uderza w nas frontalnie mocny oddech ciepłego sirocca. Można obserwować w miejscu oddzielającym dość wyraźną granicą sferę sirocca i strefę ciszy, jak morze przybiera tam inną barwę, marszcząc się drobną szafirową łuską, po której przelatują łukowate błyskawice jaskrawożółte. Za nami pozostała modrozielona, chłodna i surowa płaszczyna, niemal z tej perspektywy nieruchoma.

Nachylony na burtę, „S.M.S. Scharfschutze” płynie wprost w tarczę słoneczną. Horyzont wodny powyginany w łagodne pagórki i doliny, prawie muzyczne w swym rytmicznym kołysaniu się, unoszeniu i zapadaniu kolejnym. Tak zapewne pomyśli

Emil R. Zbliża się w tej chwili w ślad za siostrą ku rufie okrętu. Za nim w stronę Lovrany ciągnie się pienista bruzda. Zatacza szeroki łuk, ślad przebytej drogi torpedowca. Dwie barki rybackie uniosą się za chwilę i zakołyszą na boki potrącone lekko. Potem

84

szersza już fala podbije ich dzioby, tak iż wykonają jednocześnie ruch podrzutu dziobami w górę i w dół. Ich maszty ze zwiniętymi żaglami wykonają w tym samym rytmie ten sam gest pokłonu. Na maszcie jednej z łodzi świeci już wcześniej zapalona latarnia. I ktoś zawoła po chorwacku w stronę mijającego szybko torpedowca, zwijając dłonie przy ustach. Dym buchający z niskich kominów zatacza nieco szerszy łuk niż bruzda wodna za rufą. Czarny warkocz opada na fale, tańczy na nich, rzędzie rozrzucony na boki, podskakuje na wodzie, wreszcie zanika. Na pierwszej fali tuż za cypłem, na sporym wale wodnym nagnanym tu przez sirocco, dziób okrętu uniesie się, a następnie przetnie jak ostry nóż szmaragdową zieleń. I jednocześnie wykona ruch zapadania się. A białe bryzgi zwałą się z szumem i łomotem na stalowy pokład, spływając szelestem cofającej się piany po metalowych płytach usianych guzami nitów. I zaraz, tuż, tuż - następna fala. Druga, trzecia, dziesiąta. Kilka płytkich wodnych języków obrzeżonych listewką nikłej przezroczystej piany dociera aż tam, gdzie stoją tamci dwoje, na rufę okrętu, gdzie łopoce w podmuchach sirocca czerwono-biało-czerwona flaga.

Rok temu, na wiosnę w 1912, niedaleko stąd, w Yolosce, panna Elisabeth R. galopowała na czarnej klaczy państwa Reisach, odziana w amazonkę również czarną, Emil zaś, stojąc z boku, drżał, żeby przypadkiem nie spadła. Podjechała do niego tak blisko, iż koń ściągnięty mocno lejcami zarył kopyta o pół metra zaledwie od miejsca, w którym stał. I wtedy podszedł do nich, również odziany w strój do konnej jazdy, baron Reisach senior. Jego syn, młody chłopak w mundurku

szkolnym, grał w tenisa na sąsiednim placu. Drżały listki tamaryszku od lekkiego powiewu idącego od zatoki. W stronie Ab-bazii lśniło jaskrawe słońce, tutaj, pod rzędem wyso-  
85  
kich drzew, leżał cień. Twarz L. nachylonej i poklepującej kark konia pamięć utrwaliła w tym cieniu. Teraz z pokładu można było dostrzec jeszcze tamtą wysoką kępę drzew i nawet ogrodzenie placu do gry w tenisa, po którym wówczas biegał z rakiętą młody Reisach. I kilka sterczących z wody, białych skał, układających się, gdy się je widziało z perspektywy, w kształt jakiegoś przyczajonego do skoku zwierzęcia. Patrząc na profil siostry stojącej wciąż na rufie torpedowca, ledwo widoczny, gdy wiatr odchyłał woalkę, zwiewając ją w bok, to znów na moment obnażony, kiedy kolejny podmuch oklejał jej rysy popielatą pajęczyną, Emil R. myślał zapewne: ..Patrz, patrz, oto ją masz, korzystaj z okazji i nie odrywaj od niej oczu, nie trać ani jednej chwili, żeby ją utrwalić na całą wieczność pamięci..."  
Więc zaciskając palce na zimnej i wilgotnej barierce, patrzył na zarys jej ściągniętych brwi, owal policzka, na wargi widoczne teraz poprzez tiul wo-alki, niemal w tym oświetleniu czarne, zapewne wilgotne i słone od pyłu wodnego unoszącego się w powietrzu, tak dalece namacalne i fizycznie materialne jak nigdy dotąd, nawet wówczas gdy miai je blisko w chwili jakiejś rozmowy, zwierzeń, kiedy nie były niczym osłonięte i jak najbardziej znane mu do najdrobniejszych szczegółów od tylu lat.  
„Boże - pomyśli nagle - daj mi jedno tylko: umrzeć patrząc wciąż na nią! Niczego innego nie pragnę, o nic innego cię nie proszę!..." - i ogarnie go nagle przecucie śmierci, tak mocne, iż będzie zmuszony przytrzymać się mocniej stalowej bariery.  
„Gdybym teraz nagle skoczył do morza, ona, wciąż patrząc w stronę Lovrany, nie



zauważyłaby tego nawet... Dopiero po chwili, kiedy któryś z marynarzy...

Wyłowiono by mnie zapewne, lecz o moment za późno. Co by pomyślała nachylając

się nad topielcem....

Nad oślizgłym, leżącym na wznak, podobnym do zdechłej ryby? Że przeczuła, że

się tego mogła od dawna spodziewać?... Że trzeba będzie jakoś upozorować przed

obcymi ten przykry wypadek? Jej brat miewał zawroty głowy, a w ogóle

lekkomyślna była ta wyprawa, i że ona... Coś w tym rodzaju zapewne."

A potem, bez związku z tamtymi myślami, nadpływa wspomnienie sprzed kilkunastu

lat. Kot w Kreuzbach, którego Lieschen usiłowała za wszelką cenę wyuczyć

różnych sztuk akrobatycznych, stosując wymyślne metody wychowawcze, a gdy

zawodziły, bo kocur był mało pojętny, a może zbyt leniwy, uszyła wraz z Dettą

dla niego fraczek ze starej czerwonej sukni matki i nałożyła go na siłę, kot

zaś, zrazu zdziwiony i jakby zgorzony, po chwili parszcząc gniewnie uciekł na

strych willi i trzeba było włączyć po drabinie, by go zwabić. To on, Emil,

trzymał na dole za szczeble, gdy Lieschen, wspiąwszy się na górę, wsadziła

głowę w wąski otwór strychowego okienka, udając różne głosy, od cienkiego

przymilnego miauczenia po groźny pomruk, wygłaszając nawet fragmenty

przemówienia, a potem wierszyk ułożony na poczekaniu pod adresem uciekiniera,

by go namówić do powrotu. W tej odzie kocur figurował jako „pan kot” i Lieschen

udało się go w końcu przejednać. W ślad za tamtym wspomnieniem, wraz z którym

napływa fala czułości, Emil przypomina sobie, jak w zeszłym roku baron Erich

von Reisach, pomagając Elżbiecie zeskoczyć z konia, przytrzymując go za uzdę,

oświadczył, iż z Liesbeth jest materiał na znakomitą amazonkę, Emil zaś, stojąc

obok, odczuł ten komplement starszego pana jako niewytłumaczenie przykry i

wysoce niewłaściwy. Odwrócił głowę, nie chcąc widzieć siostry, otrzępującej

krótkim pejcem cholewy butów do konnej jazdy i spód czarnej amazonki i

mówiącej coś do barona na temat za-  
87

let karego konia, na którym odbyła przed chwilą przejażdżkę aż do Yoloski  
wzdłuż wybrzeża. Nie chciał oglądać ogorzałej twarzy siostry, odgarniającej  
palcami znad brwi jasny kosmyk, i słuchać jej głosu, w którym wyczuwał ton  
przechwałek i dumy.

Czytał wówczas wieczorami Inferno Strindberga i doskonale przypomina sobie  
teraz jeszcze wrażenie, jakie na nim wywarła ta lektura. Lieschen zabrała mu  
książkę i, jak się zdaje, przeczytała jednym tchem, lecz Emil nie może sobie  
przypomnieć, czy rozmawiał z nią na ten temat.

To było rok temu, a teraz...

„Patrzyłem wciąż w ślad za jej wzrokiem w morze za nami, w pianistą bruzdę  
rozszerzającą się jak ogon komety i na wodne bryzgi wytryskujące gdzieś z

boku i spadające z chlustem i łoskotem na pokład, spływające płytką strugą w  
szpary i złącza blach, którymi pokryty był pokład torpedowca. Niektóre

podpływały pod moje nogi, inne cofały się z syrkim szelestem niby piasek na

pustyni zwiewany wiatrem. Tuż za nami płynął pełną parą następny okręt, czarny

i niski, przyczajony i drapieżny w swej sylwetce przypominającej kształtem

wiosłującego krótkimi łapami jaszczura. Wrzynał się dziobem w bałwany

pozostawiane przez nasz okręt, rozcinał je, unosząc się nieco na fali, po czym

opadał, by znów, ociekając wodą, unieść się w górę wskakując na następny

zielony wał wodny. Rozrywał całe konstelacje wodnych koronek, pękających

pęcherzyków pian, rozgarniając je na boki. Wiatr dmący spoza przylądka zwiewał

w bok, daleko w morze, czarny dym buchający z dwu niskich i nachylonych do tyłu

kominów. Widziałem to wszystko, nie widząc w istocie niczego poza stojącą na

rufie L., a przecież musiałem zauważyć te wszystkie błaha szczegóły, skoro tak

je zapamiętałem. O nędzo i perfidio ludzkiej pamięci!

88

Marynarz, który wciąż kręcił się w pobliżu, majstrując coś wokół metalowego płaskiego bloku z nawiniętą stalową liną, mocny bosy drab w białych letnich spodniach przemoczonych do kolan i wydających na wietrze blaszany klekot czy mlaskanie jak żagiel, coś do nas zagadał, śmiejąc się. Ujrzałem w rozchyleniu jego bluzy, na owłosionej szerokiej piersi, wytatuowanego rekina i dokoła niego jakiś napis, jak się zdaje, w języku kroackim. Nachylony nad żelaznym, blokiem, wciąż coś do nas obojga zagadywał, lecz huk morza nie pozwalał mi zrozumieć ani słowa. Na jego muskularnym ramieniu dostrzegłem również spory tatuaż wykonany błękitną farbą.

I oczy L., odwróconej wciąż ku morzu, lecz przez krótki moment śledzącej ruchy majtka manipulującego przy linie tuż u jej stóp. Musiała także zauważyć rekina na piersi tego muskularnego draba. Wyduła wargi i odwróciła twarz ku morzu, obserwując płynący wciąż za nami okręt, a ja znów widziałem wyłącznie jej profil, wyraźny teraz poprzez nawianą na twarz cienką woalkę. Zarys jej karku.

Nieco uniesione ramiona, gdy się wychylała, wsparta mocno na szeroko rozstawionych rękach. Nadleciało kilka mew, krążąc nad nami i kwiląc, a wówczas L. uniosła ramię, jakby pragnęła je odegnąć, a może złowić którąś z nich w locie."

(Datowane w Trieście, tego samego roku, zapewne kilka dni po tamtej przejażdżce torpedowcem drugiej klasy, należącym do eskadry obrony wybrzeża stacjonowanej w

Lussinpiccolo):

„Gdy mijaliśmy port wojenny w Poli, zauważyłem na redzie kilka okrętów.

Podszedł do nas podporucznik F. z załogi torpedowca i zaczął objaśniać L. -

mnie to nic a nic nie obchodziło, ona zaś słuchała z zainteresowaniem, a może

tylko udawała przez uprzejmość - że stoją tam rzędem na redzie trzy pancerniki

obrony brzegów, mianowicie «Mo-

narch», «Offenpest» i jeszcze jakiś, a za nimi - już w basenie portu - nasz najnowszy pancernik pierwszej klasy, duma całej floty, niedawno spuszczonej na wodę olbrzym «Viribus Unitis». I jeszcze ustawiona ukośnie obok, nieco bliżej nas, tak że widzieliśmy stojących przy burcie marynarzy w białych letnich mundurach, szkolna fregata żaglowa, pomalowana w podłużne białoczerwone pasy. I że to na niej właśnie przed dwoma laty odbywał praktykę nasz informator, jak się zdaje, na serio tym faktem wzruszony i przejęty. Potem cała przestrzeń wraz z dokami, magazynami, basenami portu w Poli przesunęła się na prawo. Widziałem jeszcze poprzez las masztów i lin oraz portowe dźwigi ledwo widoczny zarys areny rzymskiej i wieżę jakiegoś kościoła. Nasz okręt wziął kurs - tak się to podobno nazywa po marynarsku - na port triesteński i Pola znikła nam ostatecznie za cyplem półwyspu. Po jakimś czasie minęliśmy pałacyk Miramare. Pomyślałem: samotny i tragiczny duch cesarzo\vej Elżbiety, imienniczki L., stoi tam wciąż w cieniu dwu czarnych cyprysów, cmentarnych w swym zarysie, i spogląda ku nam obojgu. I może błogosławi nas oboje, przesłaniając przezroczystą dłonią o ługich palcach źrenice od słońca, które leżało nisko nad falami, kołysząc się wraz z nimi, to wychylając, to nikiąc, tak że poszczególne bałwany były prześwietlone na wylot tarczą słoneczną, mieniając się purpurą przetykaną nieoczekiwanie zielenią i złotem, a potem stawały się rdzawolila, gasnąc w granacie niemal czarnym, by za chwilę przybrać ponownie barwę butelkowego szkła..." (i bez daty, po krótkiej przerwie - pół strony pustej, potem kilka linijek zamazanych tak dokładnie, iż niczego nie da się odczytać - dalszy ciąg:)

„...gdy łódź z torpedowca odpłynęła, znikając poza cyplem skalnym, L. powiedziała, stojąc na ka-

90

mieniach nadbrzeżnych, zasłaniając oczy od słońca: - No to już... - i po

chwili, prostując się i otrzepując spódnicę z wody, która, gdyśmy wyskakiwali z łodzi na ląd, opryskała nas nieco, dodała, nie patrząc na mnie:  
- A teraz rzuć zegarek do morza. Widzisz, ja również rzucam mój - i istotnie odpięła złotą Omegę od paska przy spódnicy i wraz z łańcuszkiem i pękiem breloków cisnęła daleko od siebie w fale między skały. - I portfel... Ja, o, popatrz, też rzucam moją torebkę. No to już. Chodź! Zobaczymy, jak wygląda ta wyspa, nasze bezludne królestwo.  
Ruszyła po głazach w górę, a ja za nią, wdzierając się na strome puste zbocze, porośłe kępami ostrej i wysokiej morskiej trawy i jakimś kolczastym krzewem. Zapadał zmrok. Lekkie podmuchy nadlatywały tu znad morza, szeleszcząc w badyłach. Potem nastawała na chwilę cisza zupełna, i znów narastający szum traw. Mówiła, nie oglądając się za siebie, nie zauważając, czy za nią nadażam:  
- Nie ma już zegarków, a więc jakby przestał istnieć czas. Nie będzie ani minut, ani godzin, ani dnia, ani nocy. Nic, rozumiesz mnie? Pór roku chyba również nie będzie. O to mi właśnie szło, żeby nic nie zostało. Żadnego tła, żadnych kulis. Nic. Tylko my dwoje. Ty i ja.  
Milczałem. Słońce skryło się za występem skalnym, było dokoła pusto i granatowo. Gdzieś w dole, pod nami, szumiało morze. Regularne uderzenia fal o brzeg. Nie widziałem nad sobą ani księżyca, ani gwiazd. Znad zatoki Quarnero nadleciała samotna mewa, a może był to jastrząb. Unosił się nad nami niemal nieruchomy w powietrzu, z szeroko rozstawionymi skrzydłami, wydając co chwila ostry i gniewny okrzyk.  
A potem...  
Zagarnęła dłonią pęk wysokich i ostrych traw.  
91Jedną z nich przesunęła po nagiej skórze, tam gdzie po odsunięciu rękawa widnieją delikatne błękitne żyły. Było tak ciemno, iż raczej domyśliłem się tego, niż zdołałem dojrzeć. Tylko jej bliski nachylony profil, gdy tak leżała obok mnie. Podmuchy sirocca wdzierały się aż tutaj pomiędzy skały, sycząc,

jakby w pobliżu przemykał się wąż. Podąłem jej bez słowa moje ramię. Odwinęła na nim rękaw, nachylona, milcząca i skupiona. - Widzisz - szepnęła - one się wymieszają i ściekają teraz jednym wspólnym strumieniem... Popatrz, jeśli się nie boisz."

Około dziewiątej pięć wieczorem, ze sporym opóźnieniem spowodowanym zatłoczeniem linii kolejowej Arad-Temesvar-Mora vita-Yersecs-Fehertemplom, oraz drugiej: Nagy Beckerek-Zrinyi- Orlovat-Pančevo-Yersecs-Fehertemplom, przybył na stację transport wiozący drugi dywizjon trzynastego pułku c.k.

huzarów, noszącego dumną i starożytną nazwę „lazygier und Kumanier". Nim jeszcze długi skład pociągu zahamował z łomotem i zgrzytem na pustym i źle oświetlonym peronie stacji Fehertemplom, żołnierze zaczęli wyskakiwać z wagonów, biegnąc ku stacyjnej pompie. Byli spragnieni i zgrzani, droga bowiem okazała się uciążliwa w upale dnia, zwłaszcza częste postoje na małych stacyjkach, a nawet i w pustym polu, woda zaś w manierkach i wiadrach przegrzana i mętna, w dodatku cuchnąca jakimś środkiem dezynfekcyjnym. Upał

przekroczył w południe, podobno, czterdzieści stopni w cieniu. Jest w tej chwili zupełnie ciemno na peronach i obok drewnianej rampy do wyładowywania koni tuż za magazynami, spoza których ukazuje się żołnierz z karabinem przewieszonym przez ramię. Stoi i przygląda się huzarom, którzy

tłoczą się obok pompy, przekrzykując się i ochlapując wodą. Roz-  
92

brzmiewają okrzyki w języku węgierskim, tupot nóg, śmiechy i przekleństwa, wyścig przez tory ku pompie z coraz dalszych wagonów długiego składu pociągu.

Czerwone furazerki, także spodnie, szamerowane żółtymi sznurami granatowe dolmany tłoczące się tam, gdzie z krótkiej, lecz grubej rury wytryska grzmiący strumień. Dalekie lampy naftowe na stacji nadają wodzie barwę migotliwą,

upodobniającą ją do sopła lodu prześwietlonego na różowo w godzinie zimowego

świtu. Potem zgaśnie, zasłonią ją bowiem całkowicie plecy, ramiona i nachylone głowy huzarów. Utworzy się wnet spora kałuża pod ich nogami. Ktoś właśnie wyskakuje z wagonu i biegnie z wiadrami w rękach, tupiąc po kamieniach, ślizgając się w rozlanej wodzie przy studni. W wagonach zaczynają rzeć konie.

Ktoś klnie.

Po chwili wychodzą na peron z trzech osobowych wagonów pierwszej i drugiej

klasy panowie oficerowie. Lokomotywa oddycha jak zgonione zwierzę. Daleko na przodzie mającą w świetle jej latarni zarysy krzewów, a jeszcze dalej - na

zupełnie czarnym tle nieba - świeci czerwone oko semaforu.

Panowie oficerowie przeciągają się, otrzepują z kurzu, rozpytują o nazwę

stacji, zapalają papierosy. Niektórzy patrzą w niebo, na którym widać tysiące

gwiazd zawieszonych bardzo wysoko w całkowitej czerni. Mleczna Droga, wyraźnie

widoczna, szerokim łukiem skręca, ginąc za kępą akacji i dachem magazynu.

Jeden z oficerów, pobrzękując ostrogami, idzie wzdłuż bydłych wagonów w

stronę biura zawiadowcy stacji. Ten, zmobilizowany od dwu dni, w polowym

mundurze, na którym znać jeszcze fałdy i zaprasowania po długim przechowywaniu

w magazynach mobilizacyjnych, podbiega i staje wyprężony na baczność przed

grubym majorem huzarów, pytającym o coś głośno po węgiersku.

93

zjawi się kilku zaciekawionych oficerów miejscowego pułku ułanów sycylijskich,

zwabionych hałasem. Pili piwo w dworcowym bufecie. Będzie wśród nich również

regimentsarzt, doktor Oplustil, były huzar tego sławetnego pułku, przybyłego w

tej właśnie chwili na stację w Fehertemplom. Były huzar, a następnie z tegoż

pułku uciekinier przed dwoma niespełna laty. Stanie na peronie u wyjścia z

bufetu, dopytując się jakiegoś kaprała o nazwę jednostki, która właśnie

przybyła, by tejże samej jeszcze nocy odjechać w dalszą drogę w stronę

Mi-trovicy. Z nie tak odległego Aradu jechali aż czternaście godzin.

Nie jest wykluczone, że któryś z dawnych kolegów lekarza pozna go mimo ciemności zalegającej perony. I że zawoła na jego widok, rozkładając szeroko ramiona, krzyżąc po węgiersku, a potem ze słowami popularnej w c. k. armii piosenki: „Servus, Bfezina! Du bist da!?” — schwyci w ramiona doktora Antonina Oplustila, nie widzianego od kilkunastu miesięcy.

A w ślad za nim przytoczy się gruby feldkurat w polowym uniformie na pół duchownym, na pół militarnym, ojciec, czyli pater Karinat Geza. Będzie rechotał, poprawiając na swym waffenrocku szeroki polowy pas, do którego nie zdołał jeszcze przywyknąć. I, jak się zdaje, pater Karinat Geza, podpiwszy już po drodze, wykrzyknie na widok bezbożnika Oplustila, z którym wiódł dawniej niezbyt zresztą poważną wojnę podjazdową, słowa wyrażające zarazem radość, jakiej nie potrafi ukryć, i jednocześnie dumę pułkową, najzupełniej zrozumiałą w takiej właśnie chwili dziejowej, gdy patronem staje się bożek Mars. Krzyknie swą łamaną niemczyzną, akcentem nabytym w Temesvárs-rze: — Schau, mein lieber, ich bin ein echter lazy-gier, nicht wahr? — i może nawet podchodząc do lekarza pułkowego Oplustila zatoczy się nieco,

94

chwytnąjąc ręką za słup latarni. Nie jest wykluczone, że całe towarzystwo nie ograniczy się do wypicia powitalnych szklaneczek znakomitej śliwowicy banackiej, zabranej przezornie na drogę, lecz uda się dorożkami, powożonymi przeważnie przez miejscowych Żydów, wprost do zakładu matki Ro-za. Będzie można oprócz oficerów trzynastego pułku huzarów zobaczyć wśród jadących także kilku sycylijskich ułanów, jak porucznika Alojzego Cvje-tićianina, podporuczników Istvana Bihara de Ba-rabas oraz Lazara von Magyarpecska, nie licząc majora Emanuela Vidos de Kolta.

Pojadą głośno rozmawiając, śmiejąc się i poklepując wzajemnie po plecach i ramionach, lokując się, jak się da — po trzech, czterech, a nawet pięciu w



jednym fiakrze terkocącym po kocich łbach Munkacsi utca. Po jakimś czasie będzie można usłyszeć ich głośnie chóralne śpiewy, wiwaty i śmiechy dochodzące z lokalu matki Rozsa.

Będziemy mieli okazję ujrzeć ojca Karinata tańczącego nad ranem czardasza solo na niewielkim stole, obok primosza cygańskiej kapeli, czarnego i smagłego Jozsy, tego samego, którego niektórzy widzieli na wiosnę, gdy szedł jako pierwszy w pochodzie cygańskich orkiestr z całej okolicy — jedenastu skrzypków, i to jakich! — w kondukcje pogrzebowym tuż za trumną zmarłego w maju starego mistrza Jotki, za wozem drabiniastym zaprzężonym w parę białych długorogich wołów z wieńcami na łbach, za trumną, na której złożono osierocone skrzypki zmarłego. Po bokach zaś kroczyły, zawodząc i drapiąc do krwi policzki, płaczki w chustkach czarnych narzuconych na głowy. Konduktowi temu, idącemu polnymi drogami wśród dojrzewających zbóż, przewodził właśnie następca zmarłego — młody Jozsa Gyorgy.

Nim jednak pater Karinat wejdzie na stół, by na nim odtńczyć czardasza, zakasawszy poły na pół

95

wojskowego, na pół duchownego waffenrocka, a taniec ten wykona w sposób mistrzowski na przestrzeni nie większej niż metr kwadratowy, i w dodatku wśród szklanek pełnych wina i śliwowicy, i nie straci żadnej z nich — nim będziemy podziwiać te pląsy, panowie oficerowie będą wiedli hałaśliwe rozmowy aż w trzech językach jednocześnie, mieszając słowa i całe zdania: po węgiersku, kroacku i niemiecku. Będą się w pijackim rozczuleniu obejmować i poklepywać, przekrzykując nawzajem i wspominając, jak to w którymś z garnizonów przed dwoma, trzema laty — gdzieś hen — aż na skraju puszy Hortobagy i dalej jeszcze, w dawniejszych miejscach postoju pułku — coś się zabawnego kiedyś wydarzyło.

Padną nazwy wywołujące samym brzmieniem westchnienia miłości i tęsknoty: — Joj, mama! — różne Hajdii-Tarabos i Hajdu-Boszormeny i Ki-svarda, i Nyirbator i Puspokladany i Nyiregy-haza — i inne jeszcze, hajduckie i czikoskie, zawadiackie i dzikie, jak dźwięki tęsknych cygańskich skrzypiec, melodii, przy których panowie oficerowie wznosili w górę puchary, a spełniwszy je, ciskali puste naczynia na ziemię, tłukli o ściany karczem i zajazdów, aż wino spływało po murze. I jak to tam, wczoraj nieomal, onegdaj — oberstleutnant Janos von Janota opuścił towarzystwo o świtaniu na czworakach, udając psa, poszczekując i warcząc, i tak pomaszerował aż do koszar. W dni zaś winobrania u graf a Karolyi — a mamy przecież w pułku jego bratanka! — w dwunastu stulitrowych kadziach dwadzieścia cztery dziewczęta z dóbr hrabiowskich, dobrane spośród najdorodniej szych, ująwszy się pod boki, parami, ugniatały nogami winne grona, aż sok tryskał im do pasa, kapela zaś cygańska przygrywała całą noc aż do świtu w dymach pieczonych na roznach baranów i cieląt — zsvdnypecse-nye, osiem jałówek i dwanaście baranów skwier-

96

czących na długich roznach! - rankiem zaś zaczęły się tańce. A znów kiedyś zimą major Csingay zarządził polowanie z nagonką na wielkiej równinie. Dwa szwadrony szerokim łukiem, w pełnym galopie, z pałaszami w dłoniach zajeżdżały zwierzynę, a do zegnanych zajęcy i lisów raczyli strzelać panowie oficerowie oraz sam pan hrabia Karolyi wraz ze swymi cywilnymi gośćmi, sproszonymi na polowanie z Wiednia, Budapesztu, a nawet aż z Paryża. — A pani Irkay Ilonka? Pamiętacie panią Irkay, niekoronowaną królową i patronkę Jacygów i Ku-manów? — Joj, mama! Jakżeby nie?! Podrzucaliśmy ją w górę na kocach, po ośmiu oficerów z prawej, po ośmiu z lewej trzymało ten koc, bo to był pled podwójny, już na

nadchodzącą wojnę zafasowany wprost z magazynów w Szeged. Joj, mama! To była prawdziwa zabawa! Kiedy Ilonka Irkay wpadła w końcu do kadzi pełnej zeszłorocznego wina, a kadź była wysoka na półtora metra co najmniej, taka na dwieście litrów — rozumiecie? — i trzeba było Ilonkę odwrócić głową do dołu, by wylać wino z jej gorsetu — joj, mama! — panowie oficerowie zrywają się zza stołu w lokalu matki Rozsa na to wspomnienie niedawne, stają wyprężeni i dobywają z pochew szerokie połowe pałasze, niemal miecze w porównaniu z tymi, noszonymi jeszcze do przedwczoraj, lekkimi, z czasów pokoju, ze złotą gardą i chwastem. Te wzniesione teraz, skrzyżowane nad zastawionym stołem, są ciężkie i wojenne, do rąbania na odlew z konia, z uniesienia w siodle dla lepszego rozmachu, z zaciśniętymi zębami błyskającymi spod czarnych podkręconych wąsów, z przekleństwem madziarskim, soczystym, albo z okrzykiem a jen! Więc teraz, u matki Rozsa, pałasze te wznoszą się zgodnie ku powale, i zapewne będzie to 3116 chwila> w której pater Karinat wskoczy mimo tuszy i wypitych litrów wina, na stół primosza Jozsę, aby mu zagrał do ucha.

7 ~ Król Obojga Sycylii  
spod serca, tęsknie, ale i skocznie, tak jak tylko Cyganie grać potrafią, na cygańskiej nucie, jak dzika, tęskna i nieokiełznana jest bezkresna puszcza Hortobagy.

Aż nadejdzie świt już sierpniowy, gdyż będzie to dzień pierwszego sierpnia 1914, i z niedalekiego dworca kolei żelaznej dobiegną przeraźliwe, przed-świtowo-zimne, wywołujące mimowolny dreszcz, alarmowe gwizdki. W zieleniejące już na wschodzie niebo wytrysną białe kłęby pary z gwizdka lokomotywy. Jej kocioł krępy i przysadzisty, lśniący od porannej rosy i tłusty od smarów, wydawać się może o tej porze niemal granatowy jak chitynowy pancerz żuka. Więc huzarzy, a wraz z nimi kilku towarzyszących im ułanów sycylijskich, wybiegną z lokalu matki Rozsa pędem, potykając się i śmiejąc, będą wydawać

okrzyki, które poderwą na nogi śpiące jeszcze o tej porze zaułki  
Fehertemplom. Urządzą wyścig, zataczając się i wznosząc pałasze w niebo, na  
którym przygasają już gwiazdy. Będą się ścigać w wąskich i krętych uliczkach  
miasteczka. W stronę dworca przez Kiralyi utca i Baranya utca, przez pełen już  
wozów z melonami i arbuzami, rojący się od Cyganów i Cyganiek oraz ba-nackich  
chłopów, Ferenc-József-ter i przez zatłoczoną straganami ulicę Kolejową  
prowadzącą obok młynów i spichrzy zbożowych aż do stacji. I skokiem, w pędzie,  
do ruszającego pociągu, na stopnie wagonów, a pociąg będzie już w pełnym biegu,  
lokomotywa wydając wciąż alarmujące gwizdki mija właśnie zwrotnice i wysoki  
semafor zielonym okiem świecący w zielonym, rezedowym niebie. Nad  
samym horyzontem, w szuwarach i kępach wikliny, leży jasnomorelowa smuga.

W smugę tę wpłynie czarna lokomotywa lśniąca od plam oleju, zagłębi się i  
jakby rozplynie. Zamażą się jej ostre kontury, komin i kocioł, koła i zderzaki,  
garb tendra, wszystko to obrzeżone jaskrawocytrynową ob-  
98  
wódka. A potem słońce wytryśnie spoza sylwetki maszyny, która utonie w  
płomieniach i jaskrawości, zmieniając się na moment w krzew gorejący lub w  
koronę kwiatu. A później w szerniałą od ognia gwiazdę. Panowie oficerowie c.k.  
trzynastego pułku huzarów wskakują jeszcze na stopnie, uczepieni poręczy  
zimnych od rosy, machając czapkami do kolegów pozostałych na stacji,  
zataczających się od wina i śliwowicy, usiłujących tańczyć nawet na cześć  
odjeżdżających czardasza na opustoszałym już peronie. Pociąg zaś będzie już  
daleko. W tumanach wzniecanego pędem pyłu, w krzykach żołnierzy wychylonych z  
wagonów, mija w stukocie kół kępy karłowatych ciernistych akacji, żółte pola,  
łany, łany, łany, aż po horyzont cały w zorzach i blaskach, aż hen, hen —  
mostek z łomotem przeleci, daleko — za rowem i budką dróżnika jakiś ptak

poderwie się z miedzy — w stronie Novo Se-la i dalej, dalej jeszcze — aż po Nagy Beckserek i Bačka Topola...  
Wtedy, o tej porannej godzinie, za stołem w miejscowym komisariacie żandarmerii zasiądzie pan podkomisarz Bogatović Ferenc i zapalając pierwsze tego dnia cygaro, zacznie się zastanawiać nad odpowiedzią na pytanie: kto zabił onegdaj młodą Cygankę Marikę Huban?  
Marika Huban jeszcze onegdaj wieczorem przechadzała się, po cygańsku kołysząc się w biodrach i paląc papierosy ofiarowane jej przez przygodnych adoratorów lub wyżebrane na ulicy — na przykład któregoś z panów oficerów zapalających właśnie wonnego Memphisa lub nawet cygaro Yirginia -Pan, daj cygaretkę! - i oko spod czarnej brwi, i po~!IS^ięcie smakowite nosem, na pół dziecinne, na PM dojrzałe i łajdackie, a dodać należy, iż Marika wy a ładna. Większość piętnastoletnich Cyganek mieście i na przedmieściach Fehertemplom jest ładna, lecz Marika Huban była wśród nich chyba najpiękniejsza. A może stała się taka dopiero po śmierci? Więc szła, kołysząc się w biodrach, ćmiąc cygaretkę, a nie gardziła i niedopalkami zbieranymi obok knajp i na targu, nachylając się zwinnie, chwytając je w dwa smagłe palce, otrzepując i wydmuchując z kurzu, kryjąc na zapas, na potem, w wycięciu podartej bluzki, ukazując w tym ruchu zanurzania dłoni oczom ciekawych śniade dziewczęce piersi pokryte zaciekami potu i smugami brudu. Lecz nawet brud cygański bywa pełen poezji.  
Marika Huban kradła również papierosy ze straganów na targu. Mówimy: paliła, żebrała, kradła — w czasie niezasłużenie przeszłym, jak niezasłużona jest jej onegdajsza śmierć w gliniance. Stwierdzamy te fakty mimo ostrożności w ocenie wzajemnego stosunku czasu, z jakim mamy do czynienia, i jego względności, ponieważ dwie sprawy jesteśmy zmuszeni uznać za pewne i nieodwracalne: śmierć Ma-riki Huban, osoby mało ważnej w znaczeniu obiektywnym i publicznym,

wszelako nader ważnej, istotnej i jedynej dla niej samej, a zapewne i jej mordercy, jako istnienie jedyne i niepowtarzalne w swym względnym ubóstwie i ostatecznie spełnione, urwane w zapowiedziach i obietnicach letnich nocy i śpiewu nocnych ptaków w czarnych zagajach, i druga śmierć — odległa już od nas o miesiąc i przez to jakby wyschła — zgon następcy tronu Austro-Węgier u zbiegu Appel-Quai i Franz-Joseph-Strasse w mieście Sarajewie w dniu dwudziestego ósmego czerwca o godzinie dziesiątej z rana, minut 47 a może 48, czyli nieco ponad miesiąc przed śmiercią swej poddanej, której dokładna godzina zgonu nie jest nam znana. Oba te fakty są niewątpliwe, jako że stwierdziły je urzędowo i protokolarnie dokumenty poświadczone przez uprawnione do tego władze cesarsko-królewskie.

100

Do konającego arcyksięcia wezwano jezuitę, ojca Antoniego Puntigama, noszącego dziwnym trafem nazwisko identyczne z nazwą jednej z dzielnic miasta Graz nad rzeką Mur. Na przedmieściu tym znajduje się słynny browar tej samej nazwy: Puntiga-mer-Brau. Piwo marki Puntigam pijała stale rodzina Emila R., jak również spora liczba panów oficerów z sycylijskiego pułku ułanów w garnizonie w Ungarisch Weisskirchen, czyli w Fehertemplom. Prócz kilkunastu Węgrów, rzecz jasna, mało obeznanych z szerszym światem, półprowincjuszów lub całkowitych prowincjuszów, którzy nie wychylając głowy poza rodzinne strony objęte jurysdykcją siódmego korpusu w Temesvarze lub trzynastego w Agram, wspaniałego smaku piwa marki Puntigam nie mieli szczęścia poznać. Na naklejce butelek piwa Puntigam widnieje, jak wszystkim wiadomo, biały styryjski lew na zielonym styryjskim tle. Tego samego lwa, tylko w nieco innej pozie, znają wszyscy, którzy kiedykolwiek zawędrowali na szczyt Góry Zamkowej w Grazu pieszo, poprzez cieniste i kręte alejki, lub, by się zbytnio nie trudzić ze względu na wiek, otyłość lub lenistwo czy też elegancję manier i stroju,

wjechali na sam szczyt kolejką zębatą, żeby stamtąd obejrzeć gołym okiem lub za pośrednictwem lornety, zaoferowanej po opłacie pięciu halerzy przez usłużnego funkcjonariusza miejskiego, wspaniałą panoramę miasta opasanego rzeką Mur. Jego rozległe, osnute mgłą oddalenia przedmieścia — na północy Andritz, na południu Puntigam, na południowy wschód — Sanct-Peter. A także opasujące Górę Zamkową zielone Ringi od Keplerstrasse po An-nenstrasse. I wówczas ujrzy się przy okazji wysokie kominy browarów w Puntigam, a nad nimi pióropusz dymu. Widok jest rozległy i godny na j wykwintniej-szych gustów najbardziej wymagających estetów.

101

Zobaczmy stąd w pogodny letni dzień — na północnym wschodzie — lesiste ciemnoszmaragdowe wzgórza ponad dzielnicą willową Kreuzbach, znaną nam wszystkim i darzoną sentymentalnym nieco uczuciem wspomnień najwcześniejszej młodości, zieloną lesistą kopułę wzniesienia i na jego szczycie białe wieże kościoła w Maria-Grtin. Nie ujrzymy, niestety, drugiego miejsca opromienionego wspomnieniem wczesnych pątniczych wypraw — dalekiego klasztoru w Maria-Trost. Możemy tylko śledzić — zwłaszcza posługując się lunetą podsunietą nam usłużnie przez jegomościa odzianego w coś w rodzaju liberii — lśniąca wąziutką wstęgę torów kolejki dojazdowej, wąskotorowego tramwaju zamiejskiego, linię zaczynającą się tuż u naszych stóp — spójrzmy w dół — przy Zinzendorfergasse i zdążającą w zakrętach i nawrotach, by zniknąć nam z oczu za dachami Kreuzbach i bujnymi kępami drzew, w stronie Maria-Trost. Odwracając wzrok lub wylot naszej lunety osadzonej na mosiężnym postumencie trójnogim nieco w prawo, możemy podziwiać cienisty park dokoła stawu, w którym pływają białe łabędzie i zielono-szare kaczki i gdzie przechadzają się na wysypanych piaskiem ścieżynach i przysiadają na ławeczkach w cieniu kasztanów

matki i piastunki z dziećmi: Hilmteich. Nasz rodzinny Hilmteich!  
A za nim — unieśmy nieco wylot lunety, nie zmieniając wszelako jej kierunku —  
zobaczymy w dużym zbliżeniu dzielnicę Sanct-Leonhard z kościołem barokowym  
godnym zwiedzenia, jego chłód w największe nawet upały, witraże i złocenia  
ołtarzy, a także — idąc na palcach po kamieniach posadzki — moglibyśmy podejść  
do jednego z konfesjonałów, przy którym szeptem wyznawaliśmy przed laty na pół  
dziecinne jeszcze grzechy czy tylko ich niepokojące, ledwo w wyobraźni

zarysowane  
przecucia. A nieco dalej ujrzymy pawilony niedawno wzniesionego szpitala  
krajowego.

Ci, dla których strony tamte nie są zupełnie obce, 'z łatwością odnajdą i  
cmentarz dzielnicy Świętego Leonarda. Pójdą dalej, nakrywszy głowy odsłonięte  
przy mijaniu furty cmentarnej, i oto już zaciszna Seebachergasse, przy której  
mieszkała lata całe w domu pod numerem trzy rodzina R. Wejdą na schody,  
przystaną, przez okno klatki schodowej zobaczą koronę wielkiego kasztana,  
usłyszą jego szum, melodię, przy której usypialiśmy, nocny śpiew ptaka w  
gałęzi, a może nic tam już po nas nie zostało. Czy stoi tam wciąż wychylony  
przez otwarte okno młody Emil R? Chyba jednak nie. To przecież już tyle lat  
minęło od możliwości tego stania we framudze i patrzenia na coś w dole, w  
ogrodzie, oczekiwania na coś, co ma się ziścić, ma nastąpić, może obawy przed  
tym czymś. Już za późno na ten strach. Więc westchnąwszy, zwrócimy wylot naszej  
lunety na południe. Ujrzymy dwie fabryki bardzo wyraźne w tym oświetleniu:

Puntigamer-Brau i Puch-Werke.

Pewien kuzyn państwa R. nabył niedawno biało malowany wspaniały samochód tej  
właśnie marki. Trąbka, umocowana z prawej strony szyby przedniej dumnego  
wehikułu wyprodukowanego przez Puch-Werke, po naciśnięciu gumowej gruszki o  
woni kauczuku wyda za chwilę melodyjny dźwięk, który każe mijającej właśnie



automobil parze ciężkich karych wałachów, ciągnących po nierównym bruku platformę załadowaną beczkami piwa marki Puntigam, nastawić bacznie uszu, a nawet wywoła u nich, powstrzymany rozsądkiem i miejskim obyciem z nowoczesnością, gest płochliwego od-skoku w bok. Wąsaty woźnica ściągnie lejce i wóz Potoczy się dalej z łomotem obręczy na potężnych kołach, beczki zaś z piwem, ułożone w dwa rzędy oraz dodatkowo zawieszane na hakach po obu bokach platformy, wydadzą bulgotliwy dźwięk, niemal odległy grzmot. Będzie słoneczny, pogodny letni dzień, a dzieci wyprowadzone przez matkę, która na tę okazję owinie lekki kapelusik sportowy gęstą woalką, wyrwą się i podbiegną do samochodu. Wuj Prohaska przy samochodzie będzie nucić, czyszcząc zamszową ściereczką szkła latarni: „Lisboa mea... mi passion", a może: „Gretchen, Gretchen, du bist mein Traum...", lecz ujrawszy dzieci, zamilknie. Pan mecenas R. wyjdzie z domu ostatni, zamykając za sobą drzwi oraz furtkę małego ogródka z wielkim kasztanem. Seebachergasse Nummer drei. I to on podejdzie jako ostatni do otwartych drzwiczek białego Pucha. Zamierza usadowić się na przednim siedzeniu obok kierowcy, aby mieć na niego oko i w razie czego pohamować jego nierozsądne zapędy. Mecenas R. kroczy godnie od furtki do auta, odziany w biały prochowiec oraz czapkę podobną do tych, jakie ostatnio noszą cykliści, ta — wedle słów mecenasa — „plaga naszych lat, wymysł nowoczesności i zarazem głupoty" — i pan R. dodaje z obrzydzeniem: „Die Strassenwanzen!" Na czapce pana R. widnieje para samochodowych okularów, które w czasie jazdy pan mecenas nałoży na oczy narażone na kurz i pęd powietrza. Przy takiej szybkości! Kuzyn Prohaska, zamożny przemysłowiec z Wiener Neustadt, utrzymuje, iż jego Puch potrafi osiągnąć szybkość przekraczającą osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, rzecz jasna, gdy szosa jest pusta i nie

ma przeszkód zmuszających do ostrożności i wytężonej uwagi.

Mecenas R. nie wierzy. Aż osiemdziesiąt kilometrów! Ze względu na żonę i dzieci, lokujące się właśnie na tylnych siedzeniach obitych czerwoną skórą, obiecana próba maksymalnej szybkości nie odbędzie się dzisiaj. Byłaby zbyt już ryzykowna.

Mały Emil, odziany również w biały prochowiec z maleńkim kapiszonem, w

czapeczce z guziczkiem

104

na ciemieniu, sadowi się na strapontenie. Jego obie siostry — obok matki — na tylnym siedzeniu. Lies-chen ma jak zwykle czerwony, zakatarzony nos. Detta siedzi spokojnie, nieruchomo, w niebieskim kubraczku, oczy ma wytrzeszczone z przejęcia, oblizuje się nerwowo. Lieschen natomiast, nie mogąc usiedzieć spokojnie na miejscu, wciąż się wierci i dopytuje o szczegóły mechanizmu samochodu. Pani mecenasowa R. poprawia włosy pod woalką. Na kolanach przytrzymuje niewielką torbę z wiktuałami. Droga bowiem wiedzie aż za Sanct-Peter i dalej, w lasy poza Sanct-Peter, u podnóża gór. Pan mecenas spogląda w niebo: co za pogoda! Ani jednej chmurki! Nawet dwa białe obłoki, którymi niepotrzebnie niepokoił się przed chwilą, gdzieś znikły. Rozpłynęły się jak cukier w szklance herbaty.

Za rzeką Mur możemy oglądać wzgórza otaczające przemysłową, zadymioną dzielnicę

Wetzelsdorf. Bliżej — tuż pod nami — Annenstrasse oraz dworzec kolei żelaznej

południowej, zaczynającej się na Siid-bahnhof w Wiedniu, a kończącej aż dwoma

rozgałęzieniami: w Trieście oraz na granicy włoskiej, w Pontebbie i w Pontafel.

Właśnie w tej chwili wtacza się na perony ekspres, Blitzzug z Wiednia do

Triestu. Podbiegają pa-kierzy, widać wyraźnie ich czerwone czapki, a przed

gmach dworca podjeżdżają, zawracając w miejscu, jedno- i dwukonne fiakry.

Ustawiają się w porządku, jeden tuż za drugim. Widać, jak kurz kręci się w

powietrzu. Mogą to być zresztą również muchy.

Ktoś obarczony liczną rodziną, mocno poirytowany, wymachując rękami, zdejmując kapelusz opasany zielonym sznurem i ozdobiony piórkiem słonki. Ociera pot chusteczką z czoła, a także z podszewki kapelusza. Rozgląda się bezradnie dokoła. Lecz oto podbiega już do niego pakier. Uspokojeni zwracamy wylot lunety nieco w lewo. Ktoś odjeżdża sprzed dworca dwukonką. Jest to, jak się zdaje, oficer z młodą damą w lila kapeluszu z piórem. Fiakier skręca w Annenstrasse. Niknie nam z oczu. Ekspres rusza z drugiego peronu. Lokomotywa, najbardziej nowoczesna, jaką rozporządzają cesar-sko-królewskie koleje, z niskim kominem i zwężającym się niby cygaro kotłem, wyrzuca w niebo krótkie grzmiące wybuchy gęstego dymu. Lśniące czerwonym lakierem wielkie koła obracają się coraz szybciej. Szprychy, zrazu wyraźnie widoczne, tworzą teraz jednolicie lśniące tarcze. Ktoś wychylony z okna przedziału pierwszej klasy kiwa ręką, powiewa chusteczką. Ostatnie wagony nikną zakryte budynkami dworca, miga jeszcze w ich oknach słońce, skacząc z dachu na dach, wreszcie niczego tam nie ma już godnego uwagi. Zawiadowca stacji odchodzi, pakierzy rozchodzą się, perony pustoszeją, a więc kierujemy lunetę bliżej, w aleje parkowe u stóp Góry Zamkowej. Mijamy w wylocie lunety gmach ratusza, przypominający do złudzenia wiedeński Rathaus, mijamy Bismarckplatz i Jakominiplatz, i Annenstrasse pełną sklepów i ludzi przystających przy wystawach, zawracających i gromadzących się z jakiejś przyczyny w innym miejscu. Kierujemy wzrok w zieleń drzew i trawników, w soczysty cień alejek pod koronami kasztanów, lip i platanów. Tuż pod Schlossbergiem jedzie stępa konno dwu oficerów w dragońskich mundurach. Nikną między drzewami i ukazują się znów w alejce ich jasnobłękitne bluzy z żółtymi wyłogami. Prawa tylna noga karego konia idącego przodem owiązana bandażem. Teraz obaj oficerowie są zupełnie wyraźnie widzialni na tle

błyszczącej w słońcu niewielkiej polany z klombem białych kwiatów pośrodku.

Stoją tam liczne ławeczki i bawią się w piasku dzieci. Prawe ręce obu oficerów

jednakim gestem unoszą się ku czapkom. Salutują kogoś idącego w alejce,

106

kogo nie widzimy. Twarze oficerów skierowane ku komuś i głowy nachylone w

geście eleganckiego pokłonu. Jeden z koni podrzuca łbem i oficer ściąga lejce

dłonią w białej rękawicy z mankietem sięgającym łokcia. I już obaj kawalerzyści

nikną nam z pola widzenia.

Tam gdzie widzieliśmy ich przed chwilą, biegnie teraz chłopak goniący toczącą

się piłkę. Po gładkim pniu wysokiego buka wbiega ruda wiewiórka. Przysiada na

gałęzi i wyraźnie obserwuje piłkę, do której zbliża się chłopiec w marynarskiej

bluzie. Odbywamy podróż widokową, zbędną i właściwie nikomu niepotrzebną: z

niczym konkretnym się nie łączy, niczemu nie służy, do niczego nie zmierza.

Jest zawieszona w próżni i najzupełniej bezinteresowna. Mogła się zdarzyć

każdemu, mogła się nigdy w tej jedynej i konkretnej formie i w tym zagęszczeniu

pozornie drobnych spraw nie zdarzyć. A mimo to jest w jakiś sposób ważna, a

może nawet niezbędna, o czymś bowiem świadczy: o swej niepowtarzalnej

jedyności. Gest bowiem zdejmowania kapelusza przez poirytowanego podróżnego na

peronie, chusteczka zmięta w palcach, którą wycierał skórzaną listewkę we

wnętrzu kapelusza z piórkiem w zestawieniu z pożegnalnym — i jednocześnie! —

gestem ramienia kogoś wymachującego energicznie chusteczką przez okno

przedziału pierwszej klasy w drugim kolejnym wagonie ekspresu Wien—Triest o tej

i o tej konkretnie godzinie i minucie i odjazd tegoż ekspresu, i jazda stępą

dwu oficerów z c.k. piątego pułku dragonów w alejce Pod Górą Zamkową —

wskazują, iż chwila taka, Jaką przeżyliśmy biernie oglądając wszystkie te

pozornie mało ważne — ale dla kogo mało ważne? — fakty, chwila o identycznym

składzie tych zdarzeń nigdy się więcej nie powtórzy. I dlatego jest równie istotna jak gest ojca Puntigama udzielającego sakramentu ostatniego namaszczenia konającemu na-  
107  
stępcy tronu Habsburgów, jak pierwszy łyk zimnego piwa marki Puntigam wypitego w tymże momencie przez kogoś siedzącego pod płóciennym daszkiem piwiarni przy Annenstrasse i szczekanie białego kudłatego pieska uganiającego się za dziecinną piłką na trawniku tuż u stóp Góry Zamkowej, na której szczycie stoimy, oparci o kamienną poręcz balustrady. I jest jeszcze jedna sprawa, która łączy tamte, dla nas pozornie nieważne: przechylona przez poręcz, niemal zawieszona na obu rękach, wspięta na czubkach palców, tak iż obawiamy się, iż za chwilę oderwie się od ziemi, istnieje w tym krajobrazie — istniała w tamtym czasie i w tamtym zespole faktów — niewątpliwa i realna Lieschen. Czy jednak istotnie była wówczas obecna, czy też my włączyliśmy ją na mocy nagłej zachcianki gwałtownego w pragnieniu przywołania jej znikąd? Bo oto balustrada jest pusta. Rzuca cień filarków na piasek i kamienne tafle promenady nieco poniżej styryjskiego lwa unoszącego się gniewnie na przednie łapy. Cień lwa leży na dalekich, rosnących już na stoku koronach drzew. Czy zatem istniała realnie w krajobrazie obserwowanym przez lunetę wynajętą za kilka centów od człowieka z siwymi wąsami i łysiejącą czaszką, zapalającego w tej chwili papierosa w cieniu rzucanym przez kamiennego lwa? Porusza się jak gdyby w tle, obok, w szczegółach zmaterializowana: sukienka obszyta falbanką przy rękawach oraz na dole spódnicy, nieco w tej chwili zadartej w geście wychylenia się przez balustradę za wysoką dla dziewczynki w jej wieku. I sam gest wychylenia się, przewieszenia niemal połową ciała poza barierę w zasięgu cienia gałęzi, zatem płowoniebieską w tym oświetleniu, jakby ją namalowali impresjoniści, a w

swej realnej istocie szarą i chropawą, pełną zadrapań i szpar, a gdy słońce

pokryje żółtą polewą

108

któryś jej fragment, kamienne złącza głazów stają się niemal czarne. Suknia

Lieschen zwłaszcza falbanki bufiastych rękawów oraz układające się w rodzaj

krynoliny fałdy spódnicy, również podlega złudnym metamorfozom barw, godnych

pędzla Maneta czy Renoira. Lecz w pobliżu nie ma żadnego artysty, który by

utrwalił i pozwolił przetrwać tej chwili.

Na co czatuje Liesbeth, co śledzi z taką zajadłą ciekawością w dole, u stóp

góry? kogoś czy też coś w alejce, w jednej z krętych ścieżyn wijących się tam w

prawo i lewo, przysłanianych koronami drzew — wiewiórkę na gałęzi? cień i plamy

słoneczne, ławeczki, na których siedzą dzieci i ich opiekunki zajęte rozmową

lub szydełkowaniem? psa z kokardą niebieską? Pies jest biały jak kłębek

włóczki. Wbiegł właśnie między krzewy wyglądające z naszej perspektywy płasko

niby granatowo-złotawa plama rozmazanej farby na malarskiej palecie.

Młoda Cyganka idzie kołysząc się w biodrach, furkoce jej spódnica wybrudzona i

naddarta u dołu, zamiata nią kurz na nierównym bruku Csi-gan-varos. Suknia

wybrudzona, lecz wciąż barwna, kwiaty na jasnym tle, granatowe na żółtym,

zielone na pomarańczowym. Opalone ramiona dziewczyny, na nich tania

bransoletka, zwyczajne kółko z jasnego metalu, raz w słońcu, raz w cieniu.

Ciemne palce ściskające papierosa, dziewczyna bowiem pali idąc. Niedopałek jest

tak krótki, iż parzy palce usiłujące go przytrzymać samymi koniuszkami.

Paznokcie są brudne, lecz palce długie i niezwykle zgrabne. Dziewczyna odrzuca

w końcu niedopałek, idzie dalej, nucąc. Zbacza z chodnika niedaleko od winiarni

matki Supicić i skręca w ścieżki na łąkach za cegielnią. Ginie z oczu jej

chustka, którą w tej chwili zdjęła z głowy, Cyganka potrząsa włosami. Opadają

jej na ramiona, czarne i gęste, zapewne

109

niecو tłuste i przykurzone. Dziewczyna powiewa chusteczką, podrzuca ją, okręca o palec, idzie ścieżką między wysoką kukurydzą, wciąż nućąc. Jest dzień dwudziestego ósmego czerwca, godzina jedenasta trzydzieści przed południem. Ciało księżnej Zofii Hohenberg leży w sypialni namiestnika Bośni i Hercegowiny, generała Oskara Potiorka. Zwłoki arcyksięcia w sąsiednim pokoju. Ojciec Puntigam jest przy zmarłym. Nachyla się, szepćąc modlitwę. Spod rozpiętego kołnierza z generalskim złotym haftem zwisa na piersi arcyksięcia złoty łańcuszek z umocowanymi amuletami. Oba rękawy zmarłego są podwinięte. Na lewym ramieniu widnieje kolorowy tatuaż przedstawiający chińskiego smoka. Ojciec Puntigam przymyka oczy. Splecione palce jego rąk drżą. Może słyszy jeszcze ostatnie słowa zmarłego przed chwilą niedoszłego władcy, gdy na pytanie hrabiego Franza Harracha: „Czy Wasza Wysokość bardzo cierpi?“, odparł: „To głupstwo!“ Przez otwarte okna słyćać dzwony. Kolejno, jeden po drugim, biją wszystkie we wszystkich sarajewskich kościołach i cerkwiach. Cyganka Marika Huban schodzi ze ścieżki ku pierwszej gliniance porośniętej na brzegach gęstymi krzewami. Na samym dnie sporej rozpadliny, między szuwarem, który zdołał już tam wyrosnąć, lśni niewielka sadzawka; przez wodę widać żółte gliniaste dno. Stado mikroskopijnych rybek, mniejszych od zapalki, szmyrgnęło pod korzenie, gdy Marika Huban, zrzućiwszy w zaroślach suknię, weszła do wody sięgającej jej zaledwie do kolan. Na jej lewym ramieniu widnieje tatuaż. Podglądając kąpiącą się spomiędzy gęstych krzaków, można by z pewnym trudem rozpoznać: jest to, jak się zdaje, jaszczurka. I chyba jakiś napis dokoła. Lecz nikt w tej chwili jej nie widzi — a jest, jak wiemy, wpół do dwunastej i upał narasta nawet w cieniu i na dnie glinianki, woda zaś jest zmętniała od ru-

110

chów nóg kąpiącej się, która stopami zgarnia i rozgarnia żółty jak wosk muł, nachylona i czujna. Nikt nie podziwia młodej Cyganki.

Dziewczyna znaleziona na dnie glinianki w Cygańskiej Dzielnicy nazywała się podobno Marika Huban. O tym zawiadamia panów oficerów raczących się chłodnym młodym winem z zeszłorocznego zbioru na werandzie ocienionej winoroślą, u matki Supicić, kelner, łysy i dziobaty Ferenc. Lekarz rezerwy, od trzech dni zmobilizowany do pułku, niejaki Karamarković, unosi brwi. Odstawia szklanekę wina, by za chwilę zapalić cygaro. Przypomina mu ono, iż onegdaj jakaś cygańska dziewczyna o szelmowskich, zalotnych oczach złodziejki wyżebrała od niego takie samo, ledwie zapalone, długie i dobrze wysuszone cygaro Yirginia ze słomką i że po krótkim wahaniu oddał jej, a ona natychmiast zaczęła palić, zaciągając się po męsku, puszczając dym nosem, wygięta w pasie, odchylona do tyłu, z wysuniętą prawą nogą. Paliła patrząc w oczy ofiarodawcy, po czym odeszła, nie oglądając się, a on śledził ją przez chwilę, gdy odchodziła kołysząc się w biodrach, taneczna i zgrabna, z kwiatem słonecznika wpiętym w czarne włosy, z których zsunęła się czerwona chustka, zwisając na kark. Szła zamiatając sięgającą do ziemi spódnicą kurz leżący grubymi warstwami na Kerti utca. Prócz doktora Karamarkovicia jest tu, na werandzie u matki Supicić, drugi lekarz, regimentsarzt, doktor Oplustil. Ten, który wkrótce będzie na stacji witać przybyłych tam dawnych kolegów z trzynastego pułku huzarów. Doktor Oplustil wytrwał u Jacygów i Kumanów w mękach i poniewierce — jego to własne wyznania — aż trzy pełne lata. W środowisku samych rasowych, ultrasasowych Madziarów. Zespół ten obrał sobie doktora Oplustila za temat stałych, nie koń-

111

czących się drwinek, żartów i krotochwil. Byli jakoby niezmordowani w tej materii. Nie znając węgierskiego, Oplustil domyślał się raczej, niż pojmował treść owych figlów słownych. Były do zniesienia przy niezupełnym ich rozumieniu i cierpliwości. Lecz koledzy przy byle okazji przechodzili na pomysły



wykraczające poza zabawę wyłącznie słowną, komentowaną wybuchami gromkiego śmiechu całego grona w kasynie pułkowym przy każdym kolejnym posiłku.

Stacjonowany wówczas na głębokiej puszczańskej prowincji, przy której ulice Fehertemplom wyglądają co najmniej jak wiedeński Prater czy Graben, pułk przeżywał całe okresy zrozumiałej nudy. — Ach, Graben! — wzdychamy wszyscy. I z tego piekła, z małego zakurzonego i nakrytego kopułą upału lub zakutego w mrozy i zasy garnizonu, lekarz Oplustil zdołał wydobyć się dzięki jakiejś wysokiej protekcji sięgającej aż K. und K. Kriegsministerium. Został skierowany do pułku tej samej dywizji, mianowicie dziesiątej, w której skład obok trzech pułków huzarskich wchodzi, jak wiadomo, i dwunasty pułk sycylijskich ułanów z garnizonem w Fehertemplom. I oto poczciwy doktor u nas. U nas, wśród nas i u matki Rozsa, i u matki Supicić. Przy winie, cygarach i miejscowych niegroźnych ploteczkach.

Tamten pułk, ta słynna trzynastka, nosząca historyczną i starodawną nazwę sięgającą epoki księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, a może i lat jeszcze dawniejszych — „lazygier und Kumanier” — wedle relacji doktora Oplustila składała się wyłącznie z chłopców dziarskich, lecz poniekąd na swój sposób dzikich, nie wyłączając wielebnego feldkurata. Okropność! Co tu dużo gadać! To był bardzo zgrany i wesoły zespół. Nuda maleńkiego garnizonu stała się zapewne główną pożywką i dodatkowym bodźcem do igraszek, których ofiarą stał się biedny doktor. Ich pomysłowość nie do wyczerpania! Otóż

112

oni, ci z trzynastki, byli niepokieszeni, iż przez niedopatrzenie nie udało im się pokrzyć planów ucieczki od nich Oplustila. Do czego to może doprowadzić nuda takiego garnizonu na terenie siódmego korpusu z siedzibą w Temesvarze!

Pewnej zimowej nocy, w zadymkę, lekarz nasz był zmuszony uciekać z kasyna nago,

po rozebraniu go przez grono pijanych kolegów z majorem na czele. Uszedł przed gronem pijanych prześladowców na czworakach po sypkim śniegu, z kokardką zawiązaną na członku, do pobliskich, na szczęście, koszar. Aż wstyd wspominać podobne sprawy.

Doktor opowiada teraz, że zaprzyjaźniony z nim fizyk miejski, niejaki Ludasz Imre, poczciwości człowiek, wedle Oplustila, zdał mu relację z wyników obdukcji zwłok znalezionej w gliniance Cyganki. Denatce, jak wykazała sekcja, nikt nie poderznął gardła, jak się zrazu zdawało, sądząc z kałuży krwi, w której leżała. Cyganka Huban miała na szyi czerwoną pręgę, to fakt. I wskutek przecięcia jednej z żył szyjnych nastąpił krwotok. Żaden nóż, skądże, zwykły cienki, lecz bardzo mocny drut, na który nanizane były koraliki.

Oplustil sięga po szklankę z winem. Ociera pot z czoła. Ach, ten upał! Relacją regimentsarzta interesuje się właściwie głównie młodszy lekarz Kara-marković.

Inni słuchają przez uprzejmość. Podchodzi natomiast do ich stolika tęga, odziana w granatowy fartuch narzucony na kolorową suknię sama matka Supicić Erzsi. Opiera ręce o blat i słucha. — Nicpotem ta mała... — stwierdza. I dodaje: — Jak one wszystkie. — Po czym wyciera rozlane wino na dębowym blacie.

Doktor Oplustil zwraca się teraz głównie do kolegi po fachu, lekarza rezerwy Karamarkovicia. Spośród innych tylko oberleutnant rezerwy Kottfuss Freiherr von Kott-vizza słucha z zainteresowaniem. Nudzi się w Fehertemplom. Onegdaj,

przerwawszy miły pobyt  
8 — Król Obojga Sycylii  
113

W Ischlu wśród wesołego, wiedeńskiego ekstraklasy towarzystwa, był zmuszony udać się via Budapeszt do pułku. Co za szczęście, że spotkał tu dawnych znajomych: między innymi i Emila R.; Kocourka również znał z Wiednia. — A zatem ta Cyganka została zaduszona za pomocą drutu, na który były ponawlekane koraliki. Ktoś, zaszedłszy dziewczynę od tyłu, pociągnął widocznie

za ten naszyjnik, i gdy upadła na plecy, włókł ją kilka kroków po dnie  
glinianki, gdzie oboje w jakimś celu zesli. Żandarm Yilajcić, którego również  
spotkałem w komisariacie, odkrył wyraźne ślady w trawie. Kurz na tych chwastach  
taki, że gdy ktoś tylko ruszy nogą, aż dymi, powiadam wam, więc ślady  
można łatwo poznać: trawa w tych miejscach jest ciemniejsza, gdyż idący  
strącili z niej pył. Są tam i ślady chłopaka, który pierwszy doniósł o  
znalezisku, ale tamte dwa dadzą się wyraźnie oddzielić. Zresztą ów  
wrostek zszedł na dół z innej strony niż denatka i jej zabójca. A  
najciekawsze, że to nie był mord seksualny, co, przyznam, podejrzewałem w  
pierwszej chwili. A jeśli nawet, to w każdym razie obyło się bez gwałtu. Może  
ktoś spłoszył zbrodniarza. Świadczy o tym sekcja. Byłem w trupiarce,  
gdzie odbywają się te rzeczy, i fizyk miejski pokazał mi to, co odnalazł.  
Istotnie — wyraźny ślad na szyi, kilka skaleczeń palców, widać, że  
dziewczyna odruchowo starała się wsunąć je pod naszyjnik, broniąc się, no i  
obejrzałem jej wyjętą i włożoną do metalowej miseczki macicę. Mówię wam, to nie  
jest zajęcie na taki upał, moi drodzy! Ileż tam much!... Wcale niezabawny  
widok, moi drodzy.  
Karamarković potakuje. Porucznik Kottfuss wzdryga się. Uczestniczył parę lat  
temu z urzędu w sekcji, gdy odsługiwał jednoroczną służbę w dragonach we  
wschodniej Galicji i jeden z żołnierzy w czasie manewrów utopił się w studni.  
Wtedy rów-  
nież panowały niesamowite upały. Oberleutnant Kottfuss zamyśla się.  
To stary znajomy Emila R., ten baron pochodzący z okolic Wiednia. Praktykant  
namiestnictwa w Grazu, licencjat nauk prawniczych, podobno były kandydat do  
seminarium duchownego w Rzymie. Zamożna rodzina wiedeńska. Stryj Willego  
Kottfus-sa jest do dzisiaj syndykiem interesów diecezji graz-kiej. Młody

Kottfuss snobuje się na koneksje w sferach wyższego duchowieństwa oraz środowiskach artystycznych stolicy. Już wiosną w 1910 kupił samochód, którym odbył podróż przez cały Półwysep Apeniński aż do Reggio di Calabria. W Rzymie uzyskał audiencję u papieża i błogosławieństwo apostolskie dla całej rodziny wraz z portretem Ojca Świętego, opatrzonym autografem Piusa X. Dowód uznania zasług rodziny Kottfussów dla spraw związanych z wiarą, między innymi również licznych darów pieniężnych i fundacji. Willy Kottfuss odbył ponadto dwie podróże do Hiszpanii, gdzie jakoby pobierał lekcje od słynnego torrera w Seville, niejakiego Fernando Puneza y Alcaro. W Maroku był gościem paszy Marrakeszu i jakoby nosił się z zamiarem poślubienia jednej z jego siostrzenic. Gdyby nawet połowa z tych wielokrotnie powtarzanych w „Graben-Cafe” i w restauracji Sa-chera relacji była prawdziwa, należałoby uznać Willego Kottfussa za jednostkę wybitną i nietuzinkową. Posiadał w Wiedniu, przy Herrengasse, gustownie urządzonej garsonierę. W niej, prócz licznych drobiazgów przywiezionych z podróży do Afryki i Hiszpanii, fotografię paszy Marrakeszu z dedykacją po arabsku oraz portret Piusa X z odręcznym błogosławieństwem. Obok kilka, jakoby autentycznych, szkiców Bouchera i dwie anonimowe barwne litografie na tematy związane z dziełami markiza de Sade. Ponadto spora kolekcja pięknej broni orientalnej. W roku 1912 Willy odsluguje jednoroczną służbę w dziewiątym pułku zielonych bukowińskich dragonów w małym garnizonie we wschodniej Galicji. I stamtąd przywozi moc wspomnień i anegdot powtarzanych później przez bywalców Sachera oraz zacisznej restauracji hotelu Meissl und Schadn przy Neuer Markt 2 na pierwszym piętrze, stolik dla stałych gości, tuż przy oknie, na lewo od wejścia. Opowiadał, że oficerowie dragonów w porze wiosennych roztopów i

jesiennych pluch chadzali po rynku małego żydowskiego miasteczka w Galicji na szrudłach, żeby dosłownie nie utonąć w błocie i nie ubrudzić butów, a także spodni, gdy udawali się z koszar na koleżeńską bibkę do jedynej w tym miasteczku traktierni. Tak oględnie nazywał Kott-fuss zwyczajną karczmę żydowską, szynk spod ciemnej gwiazdy, z którego oficerowie wyganiali wpród autochtonów. Przy słowie „traktiernia” Willy Kottfuss wzdycha melancholijnie: „Ach, oberża, jeśli wolicie, auberge, albergo, Boże drogi! gdy się pomyśli o małych zajazdach na południu Francji albo na Sycylii!” — uśmiecha się i zapala cygaro.

Stary kelner Ferenc wnosi właśnie talerz z paprykowaną słoniną pokrajaną na drobne pasemka, przypominające wielkie i śliskie ślimaki bez skorup, jakie widuje się na ścieżkach po deszczu. Słonina topi się w upale i ścieka, tworząc zacieki i smugi, jakby domniemane ślimaki ktoś rozdeptał lub na przykład rozgniół kółkiem ogrodowych tacek. Baron Kottfuss odwraca ze wstrętem oczy, czując, iż dostaje mdłości. Inni śmieją się, trącąc kieliszkami ze złotą

banacką śliwownicą: Prosit!

Willy Kottfuss zapala cygaro, a potem opowiada o jakimś zdziwaczalym

galicyjskim magnacie, mie-

116

szkającym w swoim zamku jakby na wyspie otoczonej plugawymi domkami żydowskiej

mieściny. W pałacu pełnym antyków i wyfraczonej służby, gdzie jadało się na

srebrze, a piło z kryształowych pucharów wino najwyższych francuskich gatunków,

burgunda, którego nie spotka się u Sachera w Wiedniu, ba — nawet na przyjęciach

u Liech-tensteinów i Schwarzenbergów. Hrabia miał zwyczaj zapraszania raz w

miesiącu oficerów pułku dragonów na obiad. Co za kuchnia! Hrabia szczyił się

kucharzem, który praktykował w Burgu — dacie wiarę, panowie? Bekasy i

przepiórki, kuropatwy w maladze i kwiczoły na grzankach, bażanty a la

Windischgraetz i a la Esterhazy... I pomyśleć, że ten dziwak nie płacił z zasady miejscowym kupcom za świece i sól oraz naftę, służbie zalegał z pensjami po pół roku i więcej, a same lasy należące do jego dóbr liczyły, nie pamiętam dokładnie, ale chyba ponad dziesięć tysięcy morgów! I co za lasy! — tu Willy Kottfuss zamyśla się, wpada w zadumę, nerwowo pociągając dym z cygara. Jest, wszyscy to wiemy, zamiłowanym myśliwym. Ma za sobą polowania na gazy w Ugandzie w roku którymś tam. Wyjeżdżał do Afryki jako towarzysz hrabiego Salm-Salm.

— Mioty myśliwskie tam, w Galicji, u hrabiego--dziwaka! Odwieczne dębiny, nie tknięte od pokoleń... Niektóre drzewa, słowo wam daję! takie, że trzech ludzi nie mogło ich objąć!... A dzików tyle, że aż od nich śmierdziało w lesie. No i sarny... Ale kto by liczył sarny?... Raz — posłuchajcie! — porucznik, zapomniałem już nazwiska, stał na skraju linii leśnej w dębinie i spudłował dzika, ten szarżował, mój poruczniczyna na drzewo, uczeplił się rękami gałęzi i wrzeszczy ze strachu, nogi mu wiszą tuż nad ziemią, odynec na niego, a szable miał jak — o — nie blaguję, takie długie! wiem, bo gdy zboczył nagle na mnie, zabiłem go strzałem

117

wprost w komorę i potem zmierzyłem te kły, ho, ho, ile ten bydlak ważył! — i wymienia jakąś cyfrę. Nie wszyscy znają się na wadze zwierzyny, ale śmieją się, zwłaszcza major Rukavina, też podobno zawołany myśliwy. Klepie Willego po plecach, mruży oko spod nawisłej czarnej brwi: — Daj spokój, Willy! Więc Kottfuss zmienia temat. Mówi teraz o tamtym miasteczku, gdzie sami Żydzi chałaciarze, aż czarno od nich, a także królował słynny cadyk, ra-bin-cudotwórca, który siadywał na tronie obitym czerwonym aksamitem w pustej sali audiencyjnej swego pałacu, oparcia zaś i nogi tego fotela--tronu rzeźbione i pozłacane. Stał tam podnózek, również obity aksamitem i obsyty

dokoła złotą taśmą z pięknym haftem... Być może zresztą, iż cała ta opowieść odnosiła się do innego czasu i innego miasta, na przykład do oglądanej w jakimś czasopiśmie wizyty oficjalnej ambasadora Austro-Węgier na dworze sułtana Abdulhamida albo chociażby szacha Persji, zatem i relacja następną o srebrnej brodzie rzekomego patriarchy-cadyka dwojaka, niepewna, utkana z białych nitek, lecz być może proveniencji stambulskiej, a nie zapadłej w lasy i błota miejsciny, nazywającej się jakoby Monasterzyska, a może Brody, gdzie stacjonował niegdyś dziewiąty pułk zielonych dragonów imienia Arcyksięcia Albrechta, w którym odsługiwał jednoroczną służbę świeżo upieczony podporucznik z Wiednia, Wilhelm Kottfuss Freiherr von Kottvizza. Albo też z okresu, gdy wymieniony pułk stał na Bukowinie, na przykład w Czerniowcach. A może w słynnej Sadagórze lub nawet w Kimpolung. I że to tam właśnie Willy złożył z polecenia pułkownika i w jego imieniu podziękowanie za modły odprawione przez cadyka w synagodze w dniu imienin Najjaśniejszego Pana, latem 1912. Wszedłszy do wielkiej sali dworu cadyka, zauważył, że po bo-  
118  
kach, przytuleni do ścian, stali rytualnie odziani pomocnicy czy też służba rabina, ludzie dziwaczni. Kottfuss twierdzi, że nosili białe pończochy i czarne jedwabne chałaty oraz futrzane czapy zszyte z lisich ogonów. Wkroczywszy tam, Willy staje przed tronem patriarchy i saltuje przepisowo. I w tym momencie uświadamia sobie, iż Żydzi odkrywają głowy tylko w obliczu Przedwiecznego, więc szybko nakłada dragoński kask, który dotychczas, jak nakazuje regulamin, trzymał w zgiętej lewej ręce przy boku, a następnie, stanąwszy ponownie na baczność, wygłasza krótkie przemówienie wykute na pamięć, rabin-cudotwórca zaś wysłuchuje z tronu tej perory. Siedzi milcząco, całkowicie nieruchomo, tak że gdyby nie mruganie starczych zaczerwienionych powiek pozbawionych rzęs oraz

ciche pomla-skiwanie warg, Kottfuss byłby gotów pomyśleć, iż cadyk nie żyje od wielu lat i tkwi w poręczach swego złocistego tronu w charakterze mumii czy lalki z wosku.

Część towarzystwa opuszcza lokal matki Supicić. Kottfuss zbacza w lewo. Ze zwykłej ciekawości zamierza obejrzeć tamto miejsce w gliniane. Z ciekawości, a także z nudów. Bo właściwie nic się nie dzieje. Nic prócz wojny. (Ale wojna istnieje jakby w zawieszeniu, jest zaledwie projektem, zapowiedzią, może obietnicą.) Poza masą kłopotów, ale raczej dla intendentury i służby kolejowej, a także żandarmerii. Ze względu na wzmożoną czujność. Onegdaj (mówiła o tym matka Supicić, która wszystko wie pierwsza i najdokładniej) złapano w pobliżu Dunaju (a Fehertemplom jest oddalone od tej rzeki zaledwie o dziesięć kilometrów w linii powietrznej; w Bazias nad Dunajem kończy się linia kolejowa idąca via Fehertemplom z Temesvaru, kończy się monarchia, kończy się wszystko, jest wielka rzeka, a po przeciwnym jej brzegu — królestwo Serbii), żandarmeria schwytała trzech pode j-  
119  
rżanych osobników, niewątpliwych Serbów, no i powieszono ich dziś rano opodal stodoły niejakiego. Niemmeyera, miejscowego bogacza, Niemca banackiego.

Aresztowano również dziewczynę, którą też miano stracić, lecz wobec podejrzania, iż jest studentką z Serbii przebraną i ucharakteryzowaną na chłopkę, wysłano ją pod strażą aż do Arad, gdzie już specjaliści dojdą, co to za jedna i co miała zamiar robić w naszym kraju.

Więc ktoś powiedział u matki Supicić w gospodzie (jakiś cywil chyba, którego nikt z obecnych nie znał, nawet sama oberżystka — tylu się teraz pojawiło ludzi nieznanych, a zatem podejrzanych w naszych stronach! — należy być czujnym), że może ta mała Cyganka znaleziona nie dalej niż wczoraj na dnie glinianki była wmieszana w robotę szpiegowską kierowaną przez „Czarną Rękę” wprost z Belgradu



lub Niszu. Pełno tych komitadżich! Wszędzie sięga „Czarna Ręka"! Więc i to jeszcze. Willy Kott-fuss chciał obejrzeć sobie tamto miejsce, wokół którego już rozsnuły się podejrzenia różnorakiej natury, wyrosła niemal legenda. Idą więc teraz we trzech (gdyż i Emil R. daje się namówić, mimo iż bez entuzjazmu, ze względu na narastający upał). Idą zakurzoną, aż białą od pyłu, cygańską uliczką w stronę niedalekiej cegielni miejskiej, zrazu wśród parterowych domków w ogródkach pełnych okwitających słoneczników, potem przez kukurydziane pola. Miejscami jest to ściern płowobiała, spieczona do cna, wydzielająca ostrą woń, trupią woń suszy, zaduch upału, miałki i spopielaly, niewątpliwie biały, w którym pobrzękują i podskakują jak iskielki niewielkie muszki. Może to jednak być również mikroskopijny pył kruszącej się w upale ścierni startej na miał. Idą w milczeniu, w takim skwarze bowiem odchodzi ochota do pogawędki i wszystko staje się w białej przestrzeni upału obojętne.

Nawet wybuch wojny z Serbią, na-  
120

wet perspektywa bliskiego wymarszu na front. Każde słowo, każda myśl nieważna i nużąca.

Tak więc idą przed siebie przez biały, porcelanowy upał, zaduch śmietników i kurz wzniecany każdym krokiem, idą milcząc, żałując już teraz niepotrzebnej decyzji, by się wybrać nad wyschlą gliniankę, w której nawet ślad może już nie pozostał po onegdajszej sprawie. Cóż może obchodzić ich śmierć dziewczyny nie znanej im, zabitej nie wiadomo przez kogo i z jakiej przyczyny? Ale żaden z nich nie może się zdecydować, by zawrócić. Są na to za leniwi.

Wilhelm Kottfuss idzie pierwszy. Rozgarnia przed sobą zapyłone gałazki krzewów, cierniste zagaję karłowatej akacji pełne szerniałych plamistych straków i poskręcanych od skwaru, pożółkłych listków. Za nim Zdenek Kocou-rek, ocierający pot z twarzy. Emil R. na końcu.

— Zastanawiam się — mówi Kocourek — czy jutro, pojutrze, za parę dni, gdy być

może wojna przysłoni nam wszystkie inne wrażenia, ta chwila właśnie, kiedy tak idziemy we trzech bez wyraźnej przyczyny, bez celu, w te zarośla, myśląc nie-obowiązująco o tym, co się tu stało onegdaj, o tej rzekomej zbrodni, to jedynie nie pozostanie w naszej pamięci jako najbardziej trwałe ślad... Czemu? Sam nie wiem. Tak jednak zdarza się z tą głu-Pią sprawą, jaką jest niezawodnie ludzka pamięć.

Emil R. myśli, idąc z pochyloną głową: „Hotel, w którym ostatnią noc spędził Świdrygajłow ze Zbrodni i kary, nazywał się «Adrianopol»... Dziwne, jakie ta nazwa wywiera na mnie wrażenie. Absurdalne właściwie. Bo cóż z tego, że właśnie «Adria-nopol»? A jednak... Stąd na pewno cały ten okres, który w tej chwili — wiem o tym — mija czy przesila się, nazwałem Adrianopolem... Gdy usiłowałem napisać wiersz, wtedy, w wagonie, jadąc tutaj no-C3 z Triestu: «Krażek pustych warg — zdziwienie pustych powiek — skóra zdjęta z Twojej twarzy  
121  
nocą, gdy spałaś — pusty abażur... lampion na korytarzu hotelu „Adrianopol”...»

Podarłem kartkę, na której próbowałem zanotować ten szkic wiersza, więc dobrze już nie pamiętam całości. Jeśli istniała jakaś całość... Wojna, na którą mogłem przecież nie iść z moim stanem zdrowia, nic łatwiejszego, każdy lekarz wystawiłby wystarczające świadectwo — a jednak nie skorzystałem z okazji, mimo próśb mamy, mimo rad przyjaciół, nie, właśnie taki wybór, żeby się w to zanurzyć, odejść od tamtego wszystkiego. Rodzaj ucieczki? Tak ja to przynajmniej rozumiem. Hotel «Adrianopol», z którego wyjście może być tylko jedno... Zwierzę, kiedy poczuje, iż zbliża się jego czas, podobno kryje się, ucieka z domu, zaszywa w gąszczu, w samotność, kiedy wie, że nic mu już i nikt nie potrafi dopomóc. Jeśli można uznać wojnę za taką właśnie gęstwinę absurdalnych i nic mnie w gruncie rzeczy nie obchodzących zdarzeń,

absorbujących jednak czas i myśli, no to ja wybrałem ją świadomie.

«Adriano-pol» — tylko w wydaniu bardziej współczesnym..." — Ty masz chyba rację, Zdenek, z tą pamięcią — mówi Kottfuss, przystając i rozglądając się, a dokoła sterczą suche badyle kukurydzy zasłaniając widok. — Na manewrach w Galicji dwa lata temu szliśmy z oberleutnantem Hussakiem przez takie właśnie kukurydziane pola i nagle natknęliśmy się na zwłoki psa... Leżał w miedzy, a że panowały upały prawie jak teraz tutaj, cuchnął i rozkładał się... Spłoszyliśmy roje much, takich mieniących się zielono i granatowo... Wyjąłem chusteczkę i zatkałem nos, poszliśmy dalej i — nie dacie wiary — tamten obraz, zdawałoby się bez jakiegokolwiek znaczenia, utkwiał mi w pamięci najmocniej z całego chyba okresu manewrów. Na czym to polega? Ty może mi to wyjaśnisz, Zdenek? Bo to, przyznasz, nie jest chyba przypadkowe, takie zafascynowanie byle czym? Co?

122  
— Gdybym cię lepiej nie znał, Willy, mógłbym cię łatwo posądzić o uleganie gustom dekadencckim... Istnieje w sztuce cały kierunek fascynacji śmiercią, rozumiesz mnie? Zaczęło się to chyba od Baude-laire'a. Rozkład — rozumiesz? — w ogóle makabra. Ale ty nie czytujesz na ogół wierszy, a zatem? Może zresztą wszyscy ulegamy skłonnościom do mistyfikacji. Do automistyfikacji. I wtedy łatwo popadamy w nastroje krańcowe. Ja, na przykład... Emil R. nie słucha ich rozmowy. „...Zdenek, któremu wspominałem parokrotnie o różnych moich nastrojach, jak starałem się określać mój stan delikatnie i niewinnie, a on się chyba niejednego domyśla, mimo iż nie miał okazji niczego sprawdzić na własne oczy, więc po swojemu przypisuje mój nastrój rzekomym twórczym przełomom, jakie istotnie towarzyszyły ubocznie zagadnieniu, które ochrzciłem mianem «Adrianopol»... Przyznał, acz z wahaniem, iż wojnę można by uznać za rodzaj katharsis. I że, być może, dopomogą mi te całkiem realne

trudy i fizyczny wysiłek związany z naszym wojennym zajęciem do odzyskania równowagi. On sam, jeśli o to idzie, na nic podobnego nie liczy. Wyczułem u Zdenka stan jak gdyby narastającej apatii, jakiejś rezygnacji czy poddania się losowi, czego dotąd u niego nigdy nie zauważyłem. — Pewnie zginę w tej awanturze — powiedział — ale tak czy owak, czeka nas wszystkich jednaki koniec. — Dlaczego? — spytałem. — Dlaczego tak bezwolnie przyjmujesz podobną perspektywę? ~\_ Nikogo na wojnie nie zabiję — dodał — a chyba przyznasz, że ktoś, kto z takim założeniem wybiera się, nie powinien mieć żadnych złudzeń. — Nie przeczyłem. — Natomiast tobie — dodał po chwili — taka męska przygoda może tylko wyjść na zdrowie. — Jak on jednak się słabo orientuje!" Teraz znów Willy Kottfuss. Dalszy ciąg zaczętej

rozmowy: — Może masz nieco racji, Zdenek, jeśli upierasz się, że ja wojnę uważam za jeszcze jeden sportowy wyczyn. Tak by się to przynajmniej mogło wydawać. Ale, bez przesady, mój drogi, bez przesady... Można by się od biedy zgodzić, iż są tu pewne elementy polowania, nawet, co tu gadać, w warunkach obiektywnie słuszniejszych: zwierzyzna występuje na prawach równouprawnionego partnera. Gdy byłem w Afryce... — i zaczyna opowiadać o spotkaniu w Kenii czy w Ugandzie lwa, a może był to jakiś inny groźny drapieżnik. W każdym razie, wedle słów Will ego, w tym jedynym wypadku odczuł on niejaką satysfakcję ze świadomości, iż jego przeciwnik mógł go uprzedzić i gdyby on, Kottfuss, spóźnił się o ułamek sekundy, lew mógłby skoczyć i rozszarpać go. — Ale cię nie rozszarpał? — śmieje się Zdenek Kocourek. — A nie, bo miałem znakomitą broń, Schonauera kaliber 9,6... Jeśli idzie o broń myśliwską — zapala się i zaczyna z zachwytem udowadniać

wyższość rzezonego Schonauera nad Winchesterem, jakim posługiwał się jego przyjaciel, Toni Salm-Salm. — Nie miewasz żadnych przeczuć w związku z wojną? — zagaduje Kocourek, przerywając monolog Kottfusa. Tamten waha się przez chwilę, a potem potrząsa przecząco głową: — Żadnych. Absolutnie żadnych. Ja w ogóle nie miewam nigdy przeczuć — i śmieje się. Ruszają przed siebie, a w ślad za nimi podąża stadko cygańskich bachorów, zupełnie nagich i czarnych jak Murzyniątka, Bardzo zgrabnych na ogół. Zwłaszcza jedna dziewczynka, zapewne dziesięcioletnia, szczupła i zwinna. Jej oczy patrzą dziwnie, ni to z obawą, ni to z na pół dojrzałą już zachętą czy obietnicą. — Rzućmy im coś, niech się odczepią — mówi Kottfuss i istotnie ciska na ścieżkę garść miedzianych monet. Dzieciaki rzucają się całą gromadką, powstaje zamieszanie i kłębówisko.

124

Oficerowie przyglądają się z odległości kilku kroków. Dziewczynka zawraca i śmiejąc się, biegnie z powrotem ku Kerti utca, ściskając w piąstce zdobycz, reszta Cyganiątek, odpychając się wzajemnie łokciami, przekrzykując, wyciąga ręce po następny datek. Któryś z oficerów rzuca im na odczepne kilka papierosów. Gdy oficerowie ruszą przed siebie, towarzyszyć im będzie całe to grono, skrzykując się i przeganiając. Zachowują jednak z ostrożności należyty dystans. Dzieciaki czujnie obserwują każdy ruch oficerów. W pobliżu drewnianych bud na gotową cegłę znikną. Tylko jeden cygański wyrostek, czarny i kędzierzawy, zupełnie nagi, idzie nadal w ślad za trójką oficerów. Będzie tak towarzyszyć im w odległości kilkunastu kroków, bardziej chyba z ciekawości niż w nadziei na kolejny datek. Będzie się skradał, przystając, przykucając, gdy się odwróci ku niemu, niknąc w gąszczu kukurydzy, by się znów pojawić na jakimś zakręcie ścieżki. A drożyna ta zmienia się, wymijając szerokim łukiem pierwszą z dwu glinianek, w

wyraźne pasma wydrzeń, jakie tu wiosną, po roztopach, wyłobiły koła wozów przy wywóźce cegły. Te dwa równoległe wyłobienia, porośnięte z rzadka spaloną słońcem, nikłą trawą, rozsypują się w żółtawy gruz i pył za każdym stąpieniem. Stąd, zza zakrętu, można już wyraźnie zobaczyć sterczący nad niskim budynkiem ceglany komin cegielni. Obejście, kilka szop zbitych z drewnianych wąskich łat, cały rozległy teren cegielni jest zupełnie pusty. Nikogo tam nie ma, tylko biały spory kot przechadza się po cienkiej listwie przystawionej do ściany jednej z szop na cegły. Drożyna znów się zwęża, ślady kół skręcają tutaj w bok, ku magazynom. Duszno w gęstwinie krzewów. Trzej idący wciąż przed siebie oficerowie oga-niają się od natrętnych muszek, bardzo małych, lecz zajadłych, które wyroiły się nagle z kępy ostrej, siwej od kurzu trawy.

Wysuszone kolby kukurydzy, szczerbate, wyjedzone przez wróble, odskakują z klekotem, odsuwane ramionami idących. Zsuwają się potem z suchym szelestem, prosząc pyłem. Mały chłopiec cygański idzie za oficerami ostrożnie, trzyma palec w ustach. Rozgląda się jakby ze zdziwieniem czy strachem. — To chyba gdzieś tutaj — mówi baron Kottfuss i rozchyła gałązki akacji, by spojrzeć w dół. Istotnie, widnieje tu stromy stok zarosły trawą i chwastami, usypujący się stojącym spod nóg. Na samym dole leży cień. Ostatnie słoneczniki czernieją na horyzoncie za cegielnią, na otwartych polach ciągnących się w stronę Dunaju. Upał wciąż narasta. Baron Kottfuss zdejmuje czerwoną furażerkę i wachluje się. Potem zapala papierosa. Zgaszona zapalka ukośnym płaskim lotem spada na samo dno glinianki. Na stację Fehertemplom zajeżdża właśnie w tej chwili kolejny transport wojskowy numer... łamany przez... Przybywa z Temesváru. Obsługa dworca, zmobilizowana od dwu. dni, wie, iż wskutek wykolejenia się pociągu między stacjami Yersecs i Mora-vita wszystkie transporty są od dzisiejszego ranka kierowane drogą okólną,

nie przez Yersecs — Novo Selo w stronę Panóeva, lecz via Fehertemplom. I

dlatego to całe zamieszanie.

Część transportów utknie po drodze, inne na rozkaz telegraficzny Kwatery

Główniej, dojechawszy do piątej armii nad Dunaj i Sawę, zostaną skierowane nagle

na północ — via Zenta — Szeged — Szol-nok — Hatvan, gdzieś ku Karpatom lub via

Kecs-kemet i Budapeszt. W związku z tym mówi się o nieuniknionej wojnie z

Rosją.

Pociąg, który tu dosłownie zabłądził, kierowany rozkazami i kontrrozkazami,

hamuje na stacji w Fehertemplom. Zderzaki bardzo długiego składu wa-  
126

gonów towarowych uderzają o siebie, wydając szereg następujących po sobie

metalicznych dźwięków, I gwizdże żałośnie lokomotywa z kominem nakrytym wielkim  
czarnym cylindrem, podobnym do osmolonego cygańskiego kotła czy garnka.

Dywizjon artylerii honwedów przybywa z siedmiogo-dzinnym opóźnieniem aż z

Nagyvarad. Na lorach stoją nakryte brezentem działa i jaszczce. Na kilku innych

dymią kuchnie polowe. Kręcą się tam kucharze. Honwedzi wyskakują z wagonów

szukając wody. Są zakurzeni i zmęczeni upałem. Pokrzykują i klną po madziarsku

i po rumuńsku. Jakiś tęgi oficer w polowym nowiutkim uniformie, z przewieszoną

przez piersi płataniną rzemieni, mapnikiem, lornetką i jeszcze czymś, co się

kołysze i błyszczy w słońcu, krzyczy, rozstawiwszy szeroko nogi w żółtych

skórzanych sztylpach.

Gwizd lokomotywy i metaliczny dźwięk zderzaków, niby akordów, a może rodzaj

wydłużonej gamy muzycznej, wróżącej coś czy obwieszczającej, można usłyszeć aż

tu, w kukurydzianych polach za cegielnią na Csigan-varos. Szopy zbite z

cienkich łat i listew są przezroczyste i przeważnie puste. Tylko gdzieniegdzie

widnieją zwały cegieł. Nikt nie pracuje w cegielni. Wisi nad nią rudy blask,

jakby odbicie czerwonej zorzy. I rosną tu całe zagaję piołunów i pokrzyw aż

srebrnych od kurzu.

Wtedy właśnie, jakby tworząc akompaniament do gwizdu lokomotywy z niedalekiej stacji, podporucznik rezerwy Zdenek Kocourek, w cywilu dziennikarz i poeta, zaczyna recytować z pamięci kolejność i szyk marszów polowych, garnizonowych i paradnych, przewidzianych na różne uroczystości, okazje religijne i dworskie, jeden z przedmiotów wymaganych przy egzaminie w szkole oficerskiej :

~ A zatem: Kirch-Parademarsch — eins. Para-in Eskadronen und

Zugskolonnen —

127

zwei, Parademarsch in Regimentskolonne — drei, Sturmmarsch — vier. Und fünf:

der Totenmarsch... „W czarnych strojach, a może w paradnych uniformach, trzymając czaka przepisowo w ugiętej w łokciu lewej ręce, iść należy wolnym, lecz sprężystym krokiem w takt tego marszu — myśli Emil R. — Wygalowane na srebrno, żałobne dekoracje rytuału, trumna na podeście krytym kapą, a może na lawecie działa lub też na noszach przykrytych czarnym aksamitem. Pochód w głąb labiryntu lustrzanych korytarzy, a może są to kulisy teatru lub wnętrze loży masońskiej. Wydaje mi się, że słyszę stuk młotka i jednocześnie w tle tony Bee-thovenowskiego Marsza żałobnego. Suche kolby kukurydzy wydają taki właśnie żałobny klekot, jakby powtarzaną do utrapienia frazę muzyczną, tyle że w skali pomniejszonej, poniekąd błazeńskiej, gdyż wtórnej i naśladowczej. Prześladowuje mnie od pewnego czasu obraz katafalku nakrytego czarnym całunem. Od tamtego wieczoru, gdyśmy wraz z L. płynęli ku bezludnej skalistej wysepce, by na niej spędzić noc. L. i ja, a obok w łodzi dwaj marynarze przy wiosłach. Stałem na rufie, L. zaś siedziała odwrócona ode mnie, zanurzając dłoń w wodzie. I wtedy właśnie ta nasza wysepka wydała mi się na tle wieczorniejącego nieba podobna kształtem do czarnego katafalku. Nawet dwa czy trzy samotne drzewa, zapewne cyprysy powyginane przez wichry i na pół wyschłe, upodobniły się do wygaszonych



gromnic, jak na obrazie Bocklina Wyspa umarłych. To L. uparła się, żeby wysiąść na tym skalnym odludziu, nie ja. Porucznik F. zaś, ukrywając zaskoczenie, a może nawet zgorszenie tym nieco ekstrawaganckim pomysłem L., zgodził się nader

uprzejmie, dając nam do dyspozycji łódź z dwoma majtkami i proponując dwa

ciepłe pledy. Martwił się, iż przemarzniemy, gdyż noce na morzu bywają chłodne

o tej porze roku, zwłaszcza gdy wieje bora. Obiecał, że rankiem, po nocnych ćwiczeniach koło wyspy Krk, wyśle po nas łódź i w powrotnej drodze do bazy w Lussinpiccolo wysadził nas na ląd w Lovranie.

Zapamiętałem czarną na tle zachodzącego słońca, niską sylwetkę torpedowca i porucznika F., stojącego przy trapie i kiwającego do nas ręką. A także

jaskrawozieloną wielką gwiazdę tuż nad wyspą, ku której płynęliśmy. Wpatrywałem się w nią cały czas, unikając wzroku marynarzy, z obawy, iż oni zaczynają się

czegoś domyślać... A przecież to byłby absurd. Cóż mogli wiedzieć o nas

obojgu?..."

Niosąc lokajską trumnę z naśladowczego, wtórnego obrazu, panowie oficerowie

zaczynają pogwizdywać. Słynny Totenmarsch, napisany wiele lat temu, a teraz

odtworzany przy żałobnych okazjach pogrzebów osobistości od pewnej rangi wzwyż,

rozmnożony na sto dwie orkiestry pułkowe stu dwu cesarsko-królewskich pułków

infanterii i dwadzieścia sześć orkiestr cesarsko-królewskich batalionów

strzelców i szesnaście orkiestr huzarskich, piętnaście dragońskich oraz

jedenastcie ułańskich, nie licząc kapeli pułkowych czterech regimentów

cesarskich strzelców tyrolskich, a także zespołów muzycznych

cesarsko-królewskiej Landwehry i jednostek artylerii polowej, haubic oraz

artylerii fortecznej. Totenmarsch za zmarłych ze starości generałów, za

zgrzybiałych bohaterów kampanii roku 1859 i 1866, uczestników klęsk pod

Magentą, Solferino i Sadowa oraz zwycięstw pod Novarą i Custozą, jako też ekspedycji bośniackiej, za pułkowników i podpułkowników, majorów i kapitanów oraz rotmistrzów zmarłych w stolicy jako też w prowincjonalnych garnizonach z przyczyny różnych chorób, wypadków, a także poległych w pojedynkach, wyłączwszy jednak samobójców, którym nie będzie przygryźć żadna muzyka pułkowa. Totenmarsch w powolnym pochodzie po bruku miast monarchii na obu brzegach Litawy, po gładkim Opernringu i po wy-  
9 — Król Obojga Sycylii 129  
stających z kurzu kamieniach jakiejś wyboistej uliczki wiodącej do wrót cmentarza w małej prowincjonalnej dziurze, w której jednak reprezentowana jest cesarsko-królewska armia. A zatem i w Fehertemplom, słynnym z dużego i rojnego nadgranicznego garnizonu, licznych tłoczni winnych, olejarni słonecznikowych, młynów zbożowych i wielkiej, nieobjętej — aż hen, po horyzont sięgającej — nudy czterech sezonów roku.

Ungarisch Weisskirchen, Fehertemplom, Bela Crkva. I w dalekich Brodach, a może Monasterzyskach, gdzie grano tego słynnego marsza na pogrzebie pewnego oficera zielonych arcyksiążęcych dragonów bukowińskich, który utonął w tamtejszej rzece w sam dzień świętego Szczepana męczennika, gdy to łód załamał się pod jeźdźcem i jego koniem. Szło — wedle Willego Kottfussa — o jakiś zakład, a ów oficer nazywał się podobno Kalina, był łysy, nosił długie szwarcowane wąsy i nie wymawiał litery r. Tyle zostało po nim. Dobrze i to. Requiescat in pace. O tej porze monitor floty rzecznej na Dunaju „S. M. S. Bodrog” oddał właśnie kolejny strzał w kierunku stolicy Serbii. Grzmot przeleci nad wodą i odezwie się zwielokrotnionym echem w domach Panćeva, Belgradu i Zemuna, po czym powróci nad rzekę. Odbije się echem od wzgórz Kalameg-danu. Dach jakiejś bizantyńskiej serbskiej cerkwi na tamtym brzegu załśni przez chwilę

tak jaskrawo, iż obserwujący rezultaty bombardowania młody oficer c. k. pułku artylerii będzie zmuszony zmrużyć gwałtownie oczy przytknięte do lornetki, oślepiony blaskiem. I ktoś biegnie po tamtym belgradzkim nadbrzeżu wymachując ramionami i zapewne krzyżąc. Lecz powiew znad wody zwiewa i jego wołanie, i chmurkę popielatego dymu po wystrzale. Potem marynarze załadują ponownie działo wycelowane w królewski konak. Lecz król Piotr będzie już w tym czasie w Niszu.

130

Trzej oficerowie wciąż stoją na skraju drugiej glinianki. Urwista rozpadlina porośla po brzegach karłowatą akacją, zasnuta dzikim chmielem, powojem, szara od pyłu. Gliniaste zbocze z szelestem osypuje się spod nóg. Panowie oficerowie sycylijskich ułanów nachylają się jednocześnie i nakrywszy oczy od słońca spoglądają w dół. Na samym dnie glinianki, niby kwiat w butonierce, sterczy samotny nastroszony słonecznik, jak obrażony ptak. Spod nóg nachylonych oficerów poderwie się niewielki wróbel z głośnym ćwierkaniem, w którym można wyczuć tony irytacji, i odleci falując w powietrzu w kukurydziane pola. Wówczas, ukryty w zaroślach, podniesie się z ziemi wachmistrz królewskiej żandarmerii, Yilajcić Istvan. Jest to tęgi, zażywny mężczyzna w ciasno opiętym mundurze, obdarzony parą wąsów mogących być chlubą całej węgierskiej żandarmerii. Prócz wąsów sięgających muszli usznych wachmistrz posiada jeszcze czarne jak smoła faworyty, tak zwane kotlety, jak gdyby przyklejone do obu policzków. Żandarm Yilajcić karnie saltuje stojących nad glinianką oficerów. Zdrzemnął się w upale i przeoczył ich nadejście. Jeszcze oczy mu się kleją od

snu i wy-Pitej śliwowicy. W związku z ogłoszeniem mobilizacji i nakazem

wzmoczonej czujności nie dospał tej nocy.

— To tutaj ? — spyta go porucznik rezerwy, baron Kottfuss.

— Tak jest! Wedle rozkazu! — wypręży pierś Yilajcić, nie odejmując dłoni od

ronda żandarmskiego kapelusza z kogucimi piórami. Na jego piersi widnieją dwa medale: jubileuszowy, nadany w sześćdziesiątą rocznicę miłościwego panowania Najjaśniejszego Pana, w roku 1908, oraz drugi — za wysługę lat. Teraz na obu medalach lśni promień słoneczny, rażąc oczy panów oficerów. Trzecie źródło

Wasku stanowi klamra szerokiego żandarmskiego

131

pasa wachmistrza Istvana Yilajcicia. Gdy żandarm odejmie wreszcie dłoń od czoła, wszystkie trzy ogniska zgasną nagle. Podporucznik Kocourek zamruga oczami. — To właśnie tutaj, wedle rozkazu! — powtórzy Yilajcić i doda, wskazując ręką: — O, tam. Na samym dole, koło tego krzaku dzikiej róży. — Na jego grube, wilgotne wargi, ledwo widoczne spod czarnych wąsów, zstąpi uśmiech. Zakwitnie na nich niemal jak róża, która tam, w dole glinianki, jeszcze całkowicie nie okwitła. Jest to uśmiech poniekąd zagadkowy, a może nawet nieco dwuznaczny, gdyż nietaktowny w tej sytuacji, lecz oficerowie nie zauważą go. — Ktoś ją sakramencko oporządził — dorzucą Yilajcić i nie wiadomo czemu oblizuje się. Pewnie mu wargi wyschły z upału, który wzrasta z każdą minutą. Słońce stoi w zenicie tuż nad samą glinianką, jak również nad pokładem kanonierki „Bodrog”. W tej chwili z tamtego, serbskiego brzegu, gdzieś z prawa, z nadrzecznych zarośli, chyba aż spoza ujścia Sawy, odzywa się kilka krótkich serii karabinu maszynowego. Kule, nie dolatując do pokładu kanonierki „Bodrog”, ślizgając się, pluskają na wodzie. Marynarze w pancерnej osłonie wieży pokładowej kierują wylot lufy w tamtą stronę. Młody oficer nadal spogląda przez polową lornetkę. Drugi, obok, nachylony, wpisuje coś do opartego o zgięte kolano notesu. Potem Yilajcić odchrząknie jakby zawstydzony i uśmiech zniknie z jego spęczniałej od upału twarzy. A cygański dzieciak, który szedł w ślad za oficerami, kryjąc się po zaroślach, to się z nich na zakrętach ścieżki

wynurzając, ukaże się po drugiej stronie glinianki. Wyrzy spomiędzy wysokich łodyg jakiegoś zielska, przykucnie spłoszony i znów wysunie czarną kędzierzawą głowę. Przez chwilę będzie się wydawać, że ma zamiar zbiec na dno rozpadliny.

Lecz żandarm Yilajcić dojrzy go i zakrzyknie po madziarsku coś, co w uszach nie

znających

132

języka węgierskiego oficerów zabrzmiał jak grzmot lub ryk lwa, zakończony czymś w

rodzaju terem--te-te! — wachmistrz zaś nachylił się, by podjąć kamień i cisnąć

nim w smarkacza. Ten jednak zniknie w zaroślach, które jeszcze przez chwilę

będą się kołysać prósząc pyłem, wykonując ruch wahadłowy w prawo i w lewo, by

się następnie zamknąć poszarzałą, zielonosrebrną ścianą listowia. I jakiś ptak

poderwie się wtedy z furkotem i odleci.

Niemniej Yilajcić nie potrafi odmówić sobie przyjemności rzucenia

kamyka. Gdy go nie bez trudu odnajdzie w trawie, ciśnie przed siebie, tam

gdzie przed chwilą widniała głowa chłopca. Kamień zatoczy szeroki łuk nad

rozpadliną glinianki i upadnie na jej dno, w to mniej więcej miejsce, gdzie

onegdaj znaleziono ciało Cyganki Mariki Huban. Wszyscy trzej oficerowie

spoglądają teraz w tamtą stronę. — Uciekł łajdak! — stwierdzi, otrzepując

dłonie, żandarm Istvan Yilajcić. Potem przyłoży dłoń do czoła,

zakrywając oczy od słońca, i również wpatrzy się w tamto miejsce. Kamień

wzniesie niewielki obłoczek żółtego pyłu, który wisi jeszcze w powietrzu

kilka sekund, póki nie zniknie jak przekłuty balonik lub bańka mydlana.

Wachmistrz powie po chwili, prostując się i poprawiając na biodrach pas: -

Ona miała koraliki. To dlatego -a tamci trzej domyśla się, że wachmistrz ma na

myśli chłopca, który mógł złakomić się na rozsypane w trawie paciorki z

rozerwanego naszyjnika zabitej Cyganki.

Wtedy właśnie marynarze z kanonierki „Bodrog” oddadzą celny strzał w Belgrad,

gdzie uniesie się w pogodne bładoturkusowe niebo smuga czarnego dymu podszyta czerwienią. A podporucznik baron Kottfuss w tej samej chwili sięgnie do bocznej kieszonki swej błękitnej ułanki, by wyjąć papierośnice., i nagle zdziwi się, unosząc jasne brwi, jego zaś Palce, wetknięte już w kieszeń, znieruchomieją. — 133

Co to? — zapyta sam siebie, a może tylko pomyśli. Jego palce zmacają koralowy paciorek. — Skąd u mnie? — zastanowi się, pocierając czoło. Po chwili machnie ręką: — A, prawda!...

W kwaterze południowego frontu, w zacisznym domu otoczonym kordonami straży, w Tuzli generał Oskar Potiorek zasiada za stołem pokrytym płachtami map. Są to mapy austriackie, tak zwane „specjalne”, w skali 1 : 75 000, oraz „generalne” w skali 1 : 200 000, obejmujące południowe komitaty Węgier, część Kroacji oraz Bośni, a także północne rejony królestwa Serbii, mniej więcej po linię Uzovnica—Gracjanica—Valjevo—Arandzelovac. Czerwone prostokąty i kwadraty oznaczające własne jednostki skupione są w rejonach Neusatz-Peterwardein i przesuwają się w kierunku ogólnym Ruma—Mitrovica—Jarak. Spora jednostka kawalerii formuje się na północ od Belgradu w okolicy Zemlina i Pančeva. Transporty kolejowe ósmego praskiego korpusu są w drodze, niektóre minęły już Budapeszt i zdążają do rejonu Raca—Bjelina—Janja. Cały trzynasty korpus kroacki skierowany został od wczoraj wieczór nad Drinę. Ostatnie doniesienia stwierdzają przenikanie patroli serbskich poprzez tę rzekę na terytorium Bośni i Hercegowiny. Za chwilę spodziewane jest w Tuzli przybycie dowódcy piątej armii, generała Franka. Generał artylerii Oskar Potiorek wyciera chusteczką spoczone czoło. Każe się połączyć z Główną Kwaterą. Potem odwołuje ten rozkaz. Chodzi nerwowo po dużej izbie zaścielonej miękkimi bośniackimi dywanami.

Między Klenakiem i Szabacem pionierzy piątej armii gromadzą materiał do budowy mostu pontonowego. To tu, to tam, padają poprzez rzekę pojedyncze strzały. Czasami z serbskiego brzegu zater-kocze karabin maszynowy i po chwili zamilknie. Puste czarno czółno kołysze się na środku Sawy. W chwili gdy generał

Potiorek, dowódca całego  
134

południowego frontu, uzyska połączenie z kwaterą siódmego korpusu w

Peterwardein i dowie się, iż sztab tej jednostki opuścił przed niespełną

godziną to miasto, żeby samochodami udać się do Mitrovicy, podporucznik Zdenek

Kocourek powie, zapalając papierosa:

— Słyszeliście chyba o „białej damie”?

— Jasne! — odpowie Kottfuss. — Ona pojawia się, o ile wiem, w Słowacji, w zamku

Krasna Horka czy gdzieś w pobliżu... Spotkałeś ją? — śmieje się.

— Inną. Tę, która krąży w nocnych ekspresach na linii Szolnok—Bekescsaba. I

czatuje na stacjach. To zupełnie inna „biała dama”, nowoczesna i na pozór

całkiem realna. Żadne widmo, nic z baśni. Rozumiesz mnie? Taka podróżniczka

wróżąca zgon...

— I ty ją spotkałeś? Nie mów!... — śmieje się baron Kottfuss. Emil R. stoi obok

milcząc. Żandarm Yilajčić gdzieś się zapodział.

— I tak, i nie. Widzisz, ona pojawia się tylko tym, którzy mają wkrótce umrzeć.

Komiwojazerka śmierci. Albo nowoczesna Parka. Jak wolisz.

— Gdzieś ty o tym przeczytał? Przyznaj się, Zdenek.

— Już nie pamiętam... Może i czytałem. A może ktoś mi o tym opowiadał. Sam

teraz nie wiem. Otóż, jadąc tutaj nocą przez wielkie węgierskie równiny—a wiesz

chyba, że w tamtych stronach zdarzają się różne dziwne rzeczy — zbudziłem się

na jakiejś stacji, którą mijaliśmy bez zatrzymywania, i wyjrzałem przez okno.

Byłem sam w przedziale. Ekspres nieco zwolnił i jechał powoli przez puste

zupełnie perony, jasno oświetlone, i w tym świetle, bardzo białym i widmowym,

spozregłem kobietę idącą wzdłuż wagonów, jakby kogoś szukała. Gdy j<sup>^</sup>ijał ją

nasz wagon, dostrzegła mnie i pokiwała białą rękawiczką zdjętą z dłoni. Nasze  
oczy spotkały się na krótki moment. Widziałem wyraźnie, jak 3eJ wargi poza  
białą, przezroczystą woalką poru-  
135  
szają się, potem stulają do pocałunku. Wychyliłem się przez okno. Ona szła  
wciąż po pustym peronie, kiwając rękawiczką, a potem nasz ekspres przyśpieszył,  
no i znikła mi z oczu...  
— I co z tego? Przecież to chyba jasne... Damulka szukała najwyraźniej okazji,  
myślała może, iż pociąg przystanie i ona wtedy... ja sam miałem podobną  
przygodę kilka miesięcy temu na Morawach... Posłuchajcie. To było tak...  
— Nie — przerywa Kocourek i zamyśla się. — Spojrzałem na zegarek. Było pięć po  
drugiej w nocy. O tej porze takie przygody, jak ty mówisz, nie zdarzają się.  
Potem znów zdrzemnąłem się i przyśnił mi się stary wąsaty Węgier, który  
opowiadał mi, iż ta właśnie „biała dama” pojawia się regularnie w tamtych  
stronach i że ją spotkał pewnej nocy jego dorastający syn wracający z Pesztu.  
No i wkrótce umarł. Mój Węgier ze snu, powiedziawszy to, zakrył twarz rękami, a  
jego plecy i ramiona zaczęły dygotać od płaczu. Przebudziłem się, gdy już  
świtało i ekspres zbliżał się do Bekescsaba... Pomyślałem sobie...  
— A więc widzisz. Wszystko ci się, mój drogi, przyśniło. Ja w żadne wróżby ani  
przecucia nie wierzę w ogóle. Pewna Cyganka wywróżyła mi dwa lata temu... — i  
Willy Kottfuss zaczyna opowiadać, śmiejąc się, o pewnej nocy spędzonej na  
pijatyce w towarzystwie przyjaciół po wielkim polowaniu w dobrach hrabiego  
Andrassy, mniej więcej przed dwoma laty, i o starej Cyganisze, która uparła się  
wróżyć z ręki po kolei wszystkim zebranych w winiarni gościom hrabiego. Ale  
Zdenek Kocourek go nie słucha.  
Loża prosceniowa wydziela o tej porze dziwną aurę (a jesteśmy już po drugim  
akcie i sala Burg-theatru przesiąkła mieszaniną przeróżnych zapachów — od  
perfum po dym z cygar przyniesiony aż  
136



tu na ubraniach panów z palarni i kularów), ma w sobie coś z miejsca obrzędowego zupełnie innej kategorii niż spektakl, który artyści odgrywają na scenie. Emil R., siedzący za plecami matki, widzi tylko prawą część sceny. Mógłby wprawdzie, nieco się przesunąwszy, widzieć i lewą, lecz nie zależy mu w tej chwili na tym. Tak jest dobrze właśnie jak teraz. Na jasnym tle sceny ma przed sobą zarys głowy Frau Jacobi. Radczyni siedzi przy matce w pierwszym rzędzie w łoży. Pani J. od czasu do czasu unosi machinalnie dłoń do skroni, by poprawić uczesanie. Potem jej wiotkie palce w białej, sięgającej łokcia rękawiczce zsuwają się wzdłuż policzka, jakby go muskały, i nikną w cieniu łoży, odsłaniając fragment sceny. Można patrząc w ten sposób widzieć przestrzeń oglądaną podwójnie, na zmianę, w zależności od nastawienia na ostrość wzroku: albo na pierwszym planie głowę i część lewego ramienia pani J., resztę zaś jako mgliste, niesprecyzowane tło, lub też na odwrót: wówczas ujawnią się, zmaterializują i nabiorą precyzji odległe, na pół w mroku istniejące zarysy łóż z naprzeciwka oraz scena w całej swej ruchliwej jaskrawości, natomiast pani J. wraz ze swym lewym uchem, mgiełką fryzury i szyją rozplynie się w bezkształtny stwór, majak, niemal widmo. Czasami tylko w tej mgławicy zalśni ujawniona przy kolejnym ruchu ręki unoszonej do włosów gwiazda kolczyków, by natychmiast zgasnąć.

W tym którymś tam roku — jeszcze dawne mieszkanie ówczesne przy Stubenringu, wysoki parter, ttezanin, schody frontowe, pokryte starannie co dzień czyszczonym chodnikiem karmazynowym po-Przekreślanym w zgięciach lśniącymi mosiądzem listwami, lustra w złotych oprawach oraz palmy na każdym półpiętrze, jak również, dla wygody osób starszych, otyłych lub tylko zmęczonych,

półokrągłe kanapki obite wiśniowym pluszem, takim, ja-

ki — wszystkim wiadomo — noszą na kołnierzach i mankietach bluz paradnych pułki pierwszy oraz trzeci c. k. dragonów (kirschrot), otóż tam jeszcze, przy Stubenringu, młodzieniec zwany Emilem wczytywał się niegdyś w wykradzione z biblioteki matki karty Zaratustry, przymierzając, przyrównując, drżąc z emocji nagłego odkrycia, to znów zapadając w stan upojenia bliskiego nirwanie lub zaczadzeniu: „A więc to wygląda tak. Już teraz wiem. Ktoś powiedział na mój temat wszystko, co można było powiedzieć. Finis. Tu się zaczyna requiem. Requies aeterna." Emil wrócił właśnie po przebytych ciężkim zapaleniu płuc z konwentu ojców jezuitów w Kalks-burgu.

Późno w noc, ukradkiem, kryjąc lichtarz za niewielkim chińskim parawanikiem, leżąc w kręgu migotliwego światła, młodzieniec Emil pochłaniać będzie myśli rzucone na papier przez nie znanego mu dotychczas myśliciela-poetę. Obok zaś — tuż za dwuskrzydłowymi drzwiami z mosiężną secesyjnie rzeźbioną klamką — śpi, a może nie śpi jeszcze, czuwa w ciemności jego starsza siostra Elisabeth. W jej pokoju światła wygaszono. Wielki kryształowy żyrandol odbija tylko lodowato i nikło refleksy zza okien — światła mijających dom zapóźnionych fiaków, czegoś tam jeszcze, może niesionej przez kogoś ręcznej ślepej latarki. Inaczej Emil widziałby ze swego miejsca jasną smugę w szparze pod drzwiami pokoju obu sióstr. Gdyż śpi tam i druga siostra, Bernadetta. Lecz ona się nie liczy. Jej Emil nie bierze w ogóle pod uwagę. Jak małe ciepłe zwierzątko zwinięte w kłębek tkwi fizycznie tylko, całkowicie naturalnie i biernie, w przestrzeni tamtego sąsiedniego pokoju. Natomiast Lieschen...

A zatem: „Czymże jest człowiek? — czyta młodzieniec Emil wsparty na łokciu, wychylony bokiem tak, by na kartki książki oprawnej w zielony safian

138

ze złoceniami padał krąg światła migotliwej świecy („płonącej ćmy" — dodaje w myślach). — Czymże jest człowiek? Zbiorowiskiem chorób, które poprzez duszę

wypełzają w świat, aby tam szukać zdobyczy. Kim jest ten człowiek? Kłębowiskiem węzów, które rzadko tylko spokojnie leżą jeden obok drugiego. Wychodzą, wypełzają, szukając żeru. Spójrzcie na to biedne ciało! Wszystko, od czego cierpiało i czego pożałowało, dusza tłumaczyła sobie chęcią mordy i tęsknotą do noża..."

„Tak! — wzdryga się młodzieniec Emil. — Oto objawienie! Oto prawda najprawdziwsza, straszna w swym objawieniu! Nagła jasność w mej głowie! Ktoś powiedział mi oto, mówi mi w tej godzinie z kart zaklętej książki (a jest na zegarku leżącym na nocnej szafce dokładnie dziewięć minut po północy i mamy wtorek, nazajutrz po nowiu, a za oknami czarną noc zbliżającą się odwilży), ktoś wyjawiał prawdę, której nie znałem, lecz" podświadomie przeczuwałem, bojąc się jednak zejścia w tunele i zakamarki bez nadziei na zbawienie, jak by z całą pewnością powiedział ojciec Cornelius Blatt... Tak, tak, tak! Je suis condamne et maudit! Co za niezmierna ulga zdać sobie z tego wreszcie sprawę! Moje słabe ciało emanuje z siebie to, czego dotychczas nie ośmielałem się nawet nazwać w najtajniejszych myślach... I oto znalazł się człowiek, geniusz niewątpliwy, który wyjawiał mi tę prawdę otwarcie, bez lęku, na głos..."

Piętnaście lat. Stubenring. Pierwsze piętro. Jedna z wielu nocy w miesiącu listopadzie roku 1908... A może już pierwsza dekada grudnia? Nietzsche. Tom oprawny w zielony safian ze złoceniami. Tak oprawna jest większość książek w bibliotece pani Jnecenasowej R. Tylko parę tomów, nie wiadomo — przez przeoczenie czy może kaprys — oprawiono w jasnoróżowe płótno wytłaczane na grzbiecie w przemysłne ornamenty ostatniej mody z lat dzie-

139  
wiedziesiątych. Jest jeszcze kilka, w większym formacie, czarnych. Na nich artysta umieścił Ariadnę rozplątującą zwój nici, a dokoła niej srebrne gladiolusy. Stanowi ta kompozycja rodzaj ekslibrisu, raczej supereklibrisu

pana domu, mecenasa R. Klasycy: Goethe, Schiller, Grillparzer.  
Lieschen w sąsiednim pokoju. Gdy on czyta i rozmyśla, jej się coś zapewne śni.

Coś niezawodnie — przypuszcza brat, nadsłuchując — podobnego do skrzydlatego kota, który się przeciąga i ostrzy pazury. A może wietrzy nad norą śmierć kreta. Kły zatopione w jego miękkim futerku, gdy tylko wyjrzy z nory. Oczy i uszy kota. Łapy kota. Ogon kota. W tamtym pokoju — niegdyś saloniku, dziś, gdy obie dziewczynki podrosły, ich sypialni, garderobie i bawialni — stoją obok siebie dwa łóżka malowane na biało. Panieńskie łóżeczka pełne snu i wygrzewania się, nakryte niebieskimi kapami obszytymi białym króliczym futerkiem. Przy łóżkach też skóry zwierząt, lecz każda inna. Gdy matka przywiozła je z miasta, Lieschen bez chwili wahania wybrała tę, która naśladuje futro tygrysa. Dla Detty pozostało drugie — jednolicie bure. Lieschen, gdy wstaje z łóżka, wsuwa stopy w długie, suche kudły pseudotygrysa (a może jest to autentyczny młody okaz tego drapieżcy?), i trudno jej zdecydować się na przerwanie tej zabawy. Siedząc w koszulce na brzegu łóżka, ze smakiem przymyka powieki i marszcząc nos suwa stopami w futrze tam i z powrotem. Detta, gdyby mogła, najchętniej ominęłaby wydłużonym krokiem konieczność nadeptnięcia na swoją burą skórkę tchórza — a może po prostu zwykłego kota. Stada kotów zszytych w spory prostokąt dywanika. Nim z konieczności postawi na nim stopę, namyśla się, nie może się zdecydować, siedzi skulona i nastroszona, i wtedy — zdarza się — Lieschen potrafi jednym susem poprzez dwa łóżka dopaść siostry i strącić ją wprost na koci dywanik. Detta  
140  
pada na płask i potem dźwiga się niezaradnie, w milczeniu, nie patrząc na siostrę, złazi z dywanika naburmuszona i zaczyna, nadal milcząc, w ciszy wdziewać zimowe kaftaniki.  
Na ścianie, nad łóżkiem Lieschen, wisi wschodnia makatka tkana srebrną nitką na

błękitnym, chabrowym tle. Przywiózł ją mecenas z podróży do Bośni w roku 1894.

Obok zaś, nad Dettą, wisi Matka Boska z Maria-Trost.

Przy łóżku, na którym w tej chwili leży śpiąc — nie śpiąc Lieschen, stoją ranne pantofelki. Kolor kwitnącego barwinka. Na stokach wzgórz ponad Kreuzbach oni oboje, L. i E., na przedwiośniu dwa lata temu... Wtedy on zerwał mały bukiecik bar-winków i w strachu, niemal panice i poczuciu czegoś niestosownego, ofiarował siostrze. Lieschen bez słowa przyjęła podarek, podniosła się z kucnięcia i pobiegła z barwinkiem ścieżką w dół po stromym stoku. Tam, przy piwiarni, kilku starszych panów, zdjąwszy marynarki, grało w kręgle. Stuk kuł i przewracanych kręgli rodzeństwo słyszało, bawiąc się w lesie. Lieschen, ominąwszy ojca, dygnęła przed jakimś tęgim i łysym piwoszem i wręczyła mu bukiecik. Emil obserwował ją, ukryty za pnem grubego świerku. Wówczas to, na majówce w Kreuzbach, Liesbeth przemoczyła obuwie i uwalala kolana lepką gliną. Emil zapamiętał każdy szczegół: wilgotne i przybrudzone skarpetki siostry i brązowe sandałki z naderwanym pomponikiem. Skacząc na jednej nodze, Przytrzymując się gałęzi, wytrząsnęła z nich grudki ziemi. Z pni ściekały lśniące w słońcu różańce żywicy. \_ Popatrz, całkiem jak scukrzony miód — zaciekawiała się Liesbeth i polizała oderwany od sęka sopel, po czym skrzywiła się i podała bratu: — Zjedz to natychmiast! — oświadczyła tonem nie znoszącym sprzeciwu. Więc Emil posłusznie zjadł spory kawałek, zaklejając sobie zęby, krztusząc się, bliski 141 wymiotów. — No, no, jeszcze kawałeczek! — zachęcała go. A gdy skończył, Lieschen, wycierając dłonie o trawę, powiedziała: — No to już. Resztę pozwalam ci wyrzucić — i łaskawie pogłaskała go po głowie. Czytając Nietzschego na łóżku, Emil nadśluchuje. Zagryza wargi. Co chwila podnosi głowę znad książki i wpatruje się w szczelinę pod drzwiami sypialni

sióstr. Lecz w sąsiednim pokoju panuje cisza, a szpara jest czarna. Mimo to wciąż mu się zdaje, że Lieschen wstała po cichu z łóżka i podszedłszy do drzwi, nachylona, na zgiętych kolanach, zagląda w dziurkę od klucza. Wyobraża ją sobie, jak tam stoi w nocnej koszulce, z głową w papilotach, słyszy wyraźnie jej oddech. Jakby dmuchała, wysunąwszy blade, wąskie wargi przytknięte do mosiężnego okucia.

Za oknami, w drzewach na Ringu, sadowią się, pokrakując, gawrony. Gdyby wyrzeć, można by rozpoznać je na tle śniegu. Czarne hieroglify, a może nuty porozwieszane na nagich konarach. Jeden z ptaków otwiera dziób, jakby ziewał. Potem przymyka cienką powiekę napiętą na wypukłej gałce ocznej. Cofa wielki łeb w nastroszony kołnierz piór. Pewnie mu się coś śni, gdyż wzdryga się co chwila. Gdyby mieć czas i cierpliwość, można by się doczekać, aż gawron zrezygnuje z drzemki, dręczony snami, i rozłożywszy skrzydła odleci bezszelestnie niby wielki nietoperz gdzieś nad Dunaj.

Przy lewym pantoflu Lieschen urwał się i zgubił okrągły pompon. Pantofle stykają się noskami, tworząc kąt rozwarty. Co to może oznaczać? Czy w ogóle można temu przypisać jakieś znaczenie? Nietzsche zapewne potrafiłby dać odpowiedź.

Natomiast pantofle Detty są niewymownie układne i grzeczne. Nie brak im pomponików. Oba wyglądają jak schludne, puszyste małe kotki, ustawione jeden przy drugim, niby w stajence lub w pu-

142

dełku z zabawkami przyniesionymi wprost z magazynu na Kornthnerstrasse.

Panieńska dyskrecja i umiar. A także wstydlivość oraz skromność. Okna pokoju wychodzą na potężne gmachy ce-sarsko-królewskiego Ministerium Wojny. Kaiserliches und Konigliches Kriegsministerium. Przez firanki błyskają w szparze niedokładnie zsuniętej kotary latarnie uliczne w mglistych otokach.

Jest to jednak tylko złudzenie: noc jest pogodna i mroźna, a powietrze

szkliste. To azur firanki i lekko zapotniałe szyby sprawiają wrażenie

puszystej mgły.

Niektóre okna ministerium są jeszcze o tej późnej porze oświetlone. I tam

zaciągnięto szczelne firanki. Można policzyć oświetlone okna: dwa na pierwszym

piętrze z prawa, trzy na ukos i wyżej nad nimi, na drugim, z lewa. Cisza, i

tylko z daleka, z daleka, gdzieś od strony Aspernbriicke i kanału dunaj owego

zbliża się zapóźniony fiakier. Jak się można domyślić po rytmie kopyt

klaskających na zmarzniętym bruku, jest to jednokonka, zwykły wiedeński

Einspänner. Gdyby rozchylić firankę, szybko dopadłszy okna, można by go bez

trudu ujrzeć. Właśnie mijają w tej chwili rodzinny dom przy Stubenringu. Klekot

kopyt wzmagają się. Lecz oto już cichnie. Jeszcze przez chwilę słychać nękający i

powraca cisza zupełna.

Zresztą nikt chyba nie podejrzeje już do okna tej nocy.

A jednak ktoś zbliżył się i odchylił firankę naprzeciwko, na drugim piętrze

budynku K. und K. Kriegsministerium. Oficer wyższej rangi. Odchodzi od stołu,

przy którym czytał do tej późnej godziny, gdy znad Dunaju wieją już,

przesiłekając przez mroźne powiewy, pierwsze podmuchy zwiastujące bliską odwilż.

Przeglądał zlecone mu do przestudiowania studium strategiczne pióra

podpułkownika Csicsericza von Bacsany, byłego obser-

143

watora c. k. armii w sztabie generała Kuropatkina Jutro, najdalej pojutrze wyda

druzgocący sąd o tym opracowaniu nowych zasad taktyki, wynikłych z

doświadczeń wojny japońskiej. Piechota kryjąca się w okopach? A gdzie zwarte,

pięknie maszerujące w łomocie bębnow kolumny? A kawaleria? Ba!...

Csicsericz dał się opętać mandzurskim jadom, przesycił żółtymi nocami paniki,

nasłuchiwał się wrzasków z gęstwiny gaolianu, napatrzył odwrotom w zamieć i

wichurę, kacapskim papachom pokrywającym jak ospa pola Mukdenu, a to przecież

teren wyjątkowy, inny, zarażony trądem, podczas gdy u nas, w Europie, gdyby nawet doszło do wojny!... Oficer sztabowy podchodzi do okna. Rozsuwa firanki i patrzy z góry na pusty Stubenring. Po drugiej stronie szerokiej jezdni, poza firankami domu naprzeciwko, prześwieca czerwono migotliwe światło. Ktoś jeszcze czuwa o tej późnej godzinie nocy. Na ukos w lewo widnieją szczyty drzew w parku Schwarzenbergów. Na białawym tle widnieją czarne nieruchome gawrony. Jeden z nich unosi się nieco, poprawia na gałęzi, rozchyła na moment skrzydła. Potem zapada w siebie, nieruchomieje. Oficer odchodzi od okna. Wraca do pilnej pracy.

„Kiedy naszła mnie po raz pierwszy ta pokusa? W czasie letniej wyprawy przez Grossglockner i Heiligenblut aż do Dolsach, a stamtąd w kilka powozów do Tolbach? Ja z ojcem w jednym fiakrze, mama z Lieschen w drugim, państwo Jacobi w trzecim. Detta, chora na świnkę, została w Wiedniu pod opieką panny Traut.

Wydało mi się, że istnieje jedyne wyjście, żeby się raz na zawsze wyzwolić, mimo iż nie zdawałem sobie sprawy, tak jak w rok później, co mi grozi. Wówczas w Tolbach zawędrowałem wieczorem na miejscowy cmentarz zarośnięty

wysoką górską tra-

144

Wą i ziołami wydzielającymi woń dziecięcej kąpeli. I trzmielę dokoła.

Pomyślałem, że niektóre groby zmurszały tak dalece, że zdziecinniały całkowicie. Stały się gadatliwe, wróciły w dzieciństwo do tego stopnia, iż trumny osób starych z biegiem lat zamieniły się w bielutkie lub jasnoblękitne skrzyneczki zawierające cieniutkie i kruche kosteczki niemowląt. I że nocą, gdy znad Dolomitów ukaże się pełnia, te zdziecinniałe grobki zaczynają gaworzyć, powolutku, jedno słowo na godzinę, z namysłem, po dziecinnemu. Zdania wyjęte z zasobów przemienionej pamięci, strzępki czegoś, co kiedyś było albo i nigdy się nie wydarzyło, nigdy nie powiedziało, a teraz wyrasta jak miękki biały grzyb.



Zacząłem sobie wyobrażać urywki zdań, może oświadczyń, plotek nawet — że mleko się zwarzyło albo kot-urwis złasował kawałek szynki. I po godzinie — odzew z obok. z naprzeciwka, spod murawy i zzieleniałej płyty, na której już i napisu nikt nie odczyta. Potakiwania ze zrozumieniem albo złośliwy szepcik przechodzący w zjadliwy chichot. Aż jakiś ptak się nagle przebudzi. Wtedy tamte — jedne do drugich: — cyt! — i dopiero po godzinie albo nazajutrz, a może za rok, na przyszlą wiosnę — czas się tutaj przecież nie liczy — dalszy ciąg. Wieczorem tego dnia, w gospodzie w Tolbach, próbowałem na ten temat napisać pierwszy w życiu wiersz. I wydało mi się nawet, że coś wymyśliłem, potem jednak, gdy z rana odczytałem ponownie, okazało się, że chybiłem. Więc podarłem. Tak, zatem nie w Grado rok później, lecz już wówczas, w Alpach. Tyle że nie w Tolbach, lecz Jakieś dwa dni potem, gdyśmy nocowali w hotelu Położonym na górze, bardzo wysoko — ledwo konie dociągnęły tam nasze powozy — w Pustertal. Wówczas gdy L. oparła się ramieniem o żelazną barierkę zawieszoną nad rwącym potokiem. Chyba Ze sto metrów pod nami huczał wodospad, piętrzyły 10 ~ Król Obojga Sycylii 145 się potrzaskane mokre głazy ołowianoczarne i srebr-norybie. Kaskada opadała piętrami jakby z balkonu na balkon, w grzmotach wałaca się ze śliskich skalnych ścian... Właściwie wspaniały romantyczny widok. I tak chyba pomyślałem wtedy, podchodząc w ślad za L. do barierki poniżej oszklonej werandy hotelu, gdzie siedzieli rodzice i państwo J., bo i oni byli z nami na tej alpejskiej wycieczce. I dopiero gdy stanąłem obok L., a właściwie tuż za nią, jakby w obawie, że... Wtedy właśnie. Jeszcze we mnie resztki zachwyty: oto autentyczny skalny gotyk! — kiedy ujrzałem pod sobą te spienione bryzgi rozbite w tysiące szklanych, a może lodowych sopli i iskierek w ciągłym ruchu i szumie... Taki war. A potem... Mama oświadczyła, żeby już wracać. Zrobiło się nagle zimno, wiał mocny wiatr od

lodowców, gdzieś wysoko rodzący się nad nami w chmurach i wełnistych mgłach  
sunących bezszelestnie na zachód. Gdyby mama wtedy nie zjawiała się  
niespodzianie obok nas — myślałem, że wciąż siedzi na werandzie tego górskiego  
hotelu-schroniska — gdyby nie stanęła obok mnie... Sam nie wiem...  
Zrobiło się nagle zimno, gdy tylko chmury na-pełzły na słońce i góry obok nas  
zmartwiały i zszarzały, a wodospad stał się stalowosiny i groźny, straciwszy  
część ze swej feerycznej barwności, lecz jednocześnie nabierając tonów, które  
mógłbym porównać do jakiegoś organowego Requiem... I może nawet i to przyszło  
mi do głowy dopiero teraz, po latach, nie wiem. Taki gotyk śmierci alpejskiej.  
Mama wyraźnie drżała mimo futra zarzuconego na ramiona i przytrzymywanego pod  
brodą. Ojciec, pamiętam, zszedł już z państwem J. w dół, do restauracji  
położonej niżej, gdyż tu, na górze, z jakiejś przyczyny — chyba w oczekiwaniu  
na sezon, który się jeszcze nie rozpoczął — nie podawano gorących dań. Pamiętam  
stromy, niemal czarny dach  
146  
tego zajazdu w dolinie, nisko pod nami. Stał nad rwącym potokiem, zapewne  
biorącym początek u stóp wodospadu, jakieś sto metrów poniżej skalnego balkonu,  
gdzie byliśmy przed chwilą. I jeszcze to, że gdyśmy zeszli we troje po  
kamienistych progach mokrych od mgły, zsuwającej się, spelzającej z gór,  
zakrywającej w mgnieniu oka cały ten wspaniały widok, ojciec, już na dole,  
bardzo podniecony, rozmawiał z płatniczym, który go objaśniał, że panowie  
przybyli tu przed chwilą samochodem to sam arcyksiążę Leopold Salvator wraz z  
adiutantem oraz ekscelencją feldzeugmeisterem Juliušem Latscher von Lauendorfem,  
aktualnym ministrem obrony krajowej. Pani Marta Jacobi przytknęła złote lorgnon  
do oczu i obserwowała ze stopni werandy wkraczających z brzękiem ostróg trzech  
wojskowych.  
I jeszcze jedno: absurdalnie zapamiętane fragmenty pejzażu. Widok gałązki jodły

tuż za oknem oszklonej werandy, wycinek łąki oświetlonej jaskrawo, gdy chmury odpełzły szybko gdzieś w bok i odsłoniły słońce. I na skraju tego widoczku, oglądanego przez malutkie szybki ujęte w metalowe ramy niby witraż, pies owczarek wylegujący się na trawiastym stoku naprzeciwko. A obok, a właściwie naprzeciwko, przez szerokość stołu nakrytego kraciastym obrusem, Lieschen. Jej nos zaczerwieniony z zimna, wyostrozony i spierzchnięty po bokach. Jej wąskie, przymrużone oczy, szeroko rozstawione i niewątpliwie kocie. I nawrót tamtej pokusy, po raz pierwszy tak gwałtownie zaznanej tam, nad wodospadem w górach. A wokół nas dwojga cała reszta towarzystwa, bardzo podniecona obecnością w restauracji arcyksięcia ze świtą. Cicho wymieniane informacje i domysły na ich temat. I ukłony kelnerów, gdy zbliżali się pełni szacunku do stolika tamtych dostojników. Nawet taki drobiazg bez znaczenia, jak to, iż arcyksiężę zamówił

kwaśne

147

mleko z ziemniakami, i pani Jacobi uznała fakt ten za objaw wyjątkowej dystynkcji, zamawiając natychmiast to samo. A przecież cały czas myślałem wyłącznie o jednym. Że gdyby mama nie nadeszła... Kiedy Lieschen, pragnąc dokładnie obejrzeć wodospad, wychyliła się przez oślizgłą barierkę. Myśl trwająca zaledwie pół sekundy. I jakby zaczątek czy tylko zamiar ruchu. Żeby tak razem, w dół, jak Heloiza i Abelard... Jak Romeo i Julietta... A potem wieczór w hotelu. Po emocjach związanych z odjazdem arcyksięcia wraz z asystą, po serii ukłonów kierownika hotelu i kompletu służby, po udawanej obojętności rodziców i państwa Jacobi, że niby nic ich to wszystko nie obchodzi, że ledwo raczyli zauważyć, i tak dalej, zostaliśmy na werandzie sami.

Lieschen, pamiętam, oświadczyła, że jeden z wojskowych dostojników miał krzywe nogi i spory brzuch, i została natychmiast skarcona przez matkę. Za

oknami — wieczorne mgły. Ich muzyczne, piętrowe wznoszenie się, narastanie warstw coraz bardziej kredowo białych. Spęzały z gór, wypełniając doliny, pokrywając w końcu cienką falującą warstwą polanę naprzeciw naszego hotelu. Potem zaczęło się bardzo szybko ściemniać, mgły stały się niemal błękitne, a później jednolicie stalowoszare. I daleko, na przeciwległym skłonie górskim, zapewne w jakiejś chacie, której nie zauważyłem za dnia, zabłysło żółte mrugające światełko. Wtedy Lieschen ziewnęła, oświadczając, że jest śpiąca.

Zbudziłem się w nocy, stwierdzając, że ulewa bije w spadzisty dach naszego hotelu. Jednocześnie słyszałem narastający grzmot, huk jakby lawiny zbliżającej się od górskich szczytów. Kilka przejaśnień za oknem niedokładnie zasłoniętym drewnianymi okiennicami. Może były to błyskawice nocnej burzy, niezwykłej o tej porze roku. Grzmot narastający od strony Grossglockner. Posępny i groźny.

Dzwonnik bił na trwogę, brodaty olbrzym  
148

W śnieżnym, nasuniętym na oczy kapturze. Siadłem na łóżku i słuchałem tego koncertu gór. Potem ulewa nagle ustała i ujrzałem przez szpary okiennic gwiazdy obmyte w wodzie, bardzo jasne i bardzo dalekie. Zasnąłem i przyśnił mi się

wiersz, który rankiem zdołałem zanotować w kajecie. Zaczynał się tak:

Odciąłem rękę, siostró moja,  
Żebyś nie miał czym zepchnąć Cię w przepaść.  
Wypaliłem sobie źrenice, żebyś nie grzeszył wzrokiem.  
Odrąbałem Twoje oba ramiona,  
Byś mnie nie przygarnęła nimi na wieczne potępienie..  
Jakoś tak. A może brzmiał nieco inaczej, a ja powtarzając z pamięci,

przekręciłem go nieco. Wiersz ten, bardzo naiwny i dziecinny, zapodział mi się

potem i już nie próbowałem go nigdy odtworzyć.

Kilka dni potem, już w Grazu, odwiedzając rodzinę, wysłuchałem przy okazji

Missa solemnis Beethovena w Leechkirche. Agnus Dei, a zwłaszcza wprost

zachwycające Miserere. Słuchałem w nara-' stającym podnieceniu. A obok — twarz

księdza, ; bardzo starego, sucha i średniowieczna. Nachylony w skupieniu, modlił się, słuchając jednocześnie koncertu. Widziałem go z ławki, w której klęczałem obok L., śledziłem każdy ruch jego wąskich warg i splecionych rąk za gęstą kratą konfesjonału. Staralem się przenieść siebie, Lieschen i tego księdza w wiek siedemnasty, a może aż w quattrocento, włączając w te przepływające obrazy przeinaczeń tony Beethovenowskiego Miserere śpiewanego na chórze.

A tuż potem — Hilfteich ze stawem pełnym łabędzi, dzieci i starych emerytów na ławeczkach.

Jakaś bzdurna melodia wygrywana na mandolinach przez grupę studentów:

Anne-Marie, a zaraz PO niej — i<Wenn die Husaren... I znajomy rodzi-  
149

ców, stary pułkownik. Wstał z ławeczki, gdyśmy podeszli, i usiłował nas zanudzić. Zapamiętałem nazwisko: Ferency von Franola. Jego jamnik głaskany przez mamę i odtrącony dość brutalnie przez Lieschen, która nudziła się i robiła różne miny za plecami staruszka. I w ogóle całe tamto lato. Pierwsze autentycznie i świadomie grzeszne. Wtedy to, w górskim hotelu w Pustertal, po raz pierwszy próbowałem zanotować moje uczucia, wpisać je w formę na poły muzyczną, na poły słowno-rytmiczną etiudę czy symfonię. Potem w Grado, tego samego roku, latem, w tajemnicy przed wszystkimi, napisałem kilka wierszy, prób muzycznego obrazu, jak by to można było określić. Kontrast tła: pokryte chmurami groźne szczyty alpejskie, mroźna niemal noc, mroźne, wygwieżdzone po burzy niebo, i płaska piaszczysta plaża adriatycka, dwubarwna: płowo-błękitna, kołysana dwudźwiękiem, szelestem nadbiegającej fali obrzeżonej listewką piany i jej nawrotem, cofaniem się, pękaniem małych pęcherzyków na piasku obojętnym niczym bezludna pustynia.

Te próby wierszy nie miały, dziś to wiem, żadnej wartości, lecz wówczas, w

chwili pisania, napawały mnie niewysłowionym poczuciem szczęścia. Wpadałem w uniesienie. Usiłowałem przetworzyć wrażenie muzyczne w słowa. W akordy z pogranicza dźwięków i barw. Chwilami wydawało mi się, że już, już — i osiągnę szczyt. Po chwili stwierdzałem w upadku ducha, w zniechęceniu i rozpacz — że to wciąż nie to.

Za pierwszym raem, jeszcze w Pustertal, w hotelu, nocą. Siedziałem przy świecy (elektryczność, w związku zapewne z burzą, wyłączono), za oknem, z którego wiał chłód niemal lodowy (mimo zakazu matki otworzyłem je szeroko i porządnie przemarzłem, nabawiając się kolejnego bronchitu), na rozpogodzonym już niebie

cwałowały stada srebrnych,

150

podszytych czernią obłoków. Na nich — raz po raz — refleksy błyskawic. Zapalało

się to tam gdzieś wysoko i gasło. Cała feeria barw. Pomyślałem: szeroko

otwarte, zdziwione źrenice chmur. I spróbowałem napisać na ten temat wiersz.

Wydawało mi się, że obłoki ścigane okrzykami groźnego alpejskiego czarodzieja

wydają przeciągły jęk, a może śpiew chóralny. Stałem w oknie i aż do bólu w

płucach wdychałem powietrze pachnące lodem czy śniegiem. Odczuwałem rozkosz

narastającego we mnie fizycznego bólu.

Łudziłem się, iż L. również nie śpi. Że wciąż myśli, podobnie jak ja, o tamtej

chwili, gdyśmy oboje stali na urwistym skalnym balkonie zawieszonym ponad

wodospadem.

Aż od tych myśli dostałem zawrotu głowy i musiałem mocno chwycić się framugi

okna. Podniebna facjatka płynęła wraz ze mną w chmurach, szybowała ponad

doliną, wznosiła się i opadała jak gondola balonu. Przypomniałem sobie, że

jeden z naszych znajomych opowiadał, jak z ciekawości dał się namówić i

wzleciał w koszu takiego właśnie balonu i ze zdziwieniem stwierdził, że tam, na

górze, panuje właściwie bezruch i całkowita cisza. Słyszał każde słowo

wypowiedziane przez ludzi pracujących najspokojniej na polach, nisko, pod nim, nawet to, iż jakiś chłopak pasący krowę, patrząc w górę, zawołał: — O, a cóż to takiego? — A także ryk krowy i szczekanie psa uganiającego się za cieniem, który płynął w ślad za przelotem balonu.

A nazajutrz nie bez goryczy dowiedziałem się, że L- spała znakomicie całą noc, tak iż trudno ją było mamie obudzić na śniadanie. Przespała burzę, huk idący od gór, ulewę i błyskawice, całą tę niesamowitą feerię, gdy ja nie zmrużyłem oka do świtu. Przyszła na śniadane zaspana, jeszcze poziewająca, i co gorsza — ze świetnym apetytem. Zjadła nie

151

tylko swoje dwa jajka na miękko, lecz i moją porcję szynki, której nie tknąłem.

Przyglądałem się jej, zawiedziony i rozgoryczony. Była dziecinna i roztrzepana, kapryśna i nieznośna jak zawsze. Znałem ją przecież, więc powinienem był się tego spodziewać. A mimo to odczułem do niej wyraźny żal. Wyobraziłem sobie w nocy, że jest bardziej dorosła, dojrzała, świadoma tego, co się ze mną dzieje. A zatem pewnie i wtedy, nad wodospadem, nie zdawała sobie z niczego sprawy, gdy ja sądziłem, iż czeka na moją decyzję, niecierpliwi się, ponagla mnie w pragnieniu spełnienia: — no już, zdecydujże się nareszcie! — a tylko ja byłem za słaby, może nie dość dojrzały do takiej decyzji.

Dzień był pogodny po nocnej burzy, wyiskrzony jeszcze tu i ówdzie od kropel na gałęziach jodeł i na białych gwiazdach alpejskich ostów. Widziałem przez na rozcież otwarte okna werandy, gdzie przed odjazdem jedliśmy śniadanie, dzieciaka na sąsiednim trawiastym stoku, debila, jakich wiele w tamtych okolicach alpejskich. Kołysał się na pałakowatych nogach, trzymając krowę na postronku, monotonnie zawodząc. Był to jakiś na poły zwierzęcy hymn radości na cześć słońca po burzliwej nocy. Miałki bełkot bezsłowny, lecz urzekający i przejmujący. Niby ptasia czy też owcza opera, pełna dźwiękowych niespodzianek.

I nie tylko muzycznych, bo również mimicznych, ni to przysiadów, ni to półobrotów wykonywanych w myśl jakiegoś rytuału. Jak gdyby chęć przebiccia się do czegoś nieosiągalnego i nie uświadomionego zapewne. Bałwochwalczy hymn debila na łące w pełnym słońcu obok spokojnie pasącej się łąciatej krowy. Śpiew zakończony głuchym pomrukiem czy bełkotem brzuchomówcy, wpleciony w pejzaż idylliczny, sielankowy, jak na obrazach pokornych braciszków z quattrocenta z Madonną na pierwszym planie, w pełnej glorii uwielbienia oraz zachwytu ro-  
152  
dzącego dziewicze lilie. Cała ta symfonia, której świadkiem byłem przez kilka zaledwie minut, wydała mi się symbolem czegoś bliskiego chwilom, gdy czujemy narastający przypływ twórczego natchnienia. Już zazałem minionej nocy złudnego szczęścia takiego nastroju. Kilka lat minęło, zanim zdałem sobie sprawę z ułudy tych bezkrytycznych i bezpłodnych chwil. Już w Grado, na serio w moim ówczesnym rozumieniu, zacząłem zapisywać dziesiątki stron próbami poetyckimi, w których usiłowałem — jak się wkrótce okazało, bezskutecznie — osiągnąć jedność słów, barwy i muzyki. Byłaby to hybryda, synteza sztuk dotychczas istniejących niezależnie i obok siebie, gdy ja pragnąłem stworzyć nierozdzielną jedność, monolit, jakąś nową gałąź twórczości. Cały tamten zeszyt, zapisany ołówkiem, przeważnie na plaży, w cieniu wielkiego parasola (zabroniono mi kąpieli w morzu, a nawet przebywania na słońcu), podarłem i spaliłem dopiero po ponownym przejrzaniu w sanatorium w Meranie w roku następnym. Tu, w Meranie, otrzymałem pięknie oprawny w zieloną skórę kajet, do którego zacząłem wpisywać to wszystko, co mimo skreśleń przetrwało do dziś. (Wyrwałem tylko niektóre kartki, zbyt już osobiste, z obawy, iż notatnik może dostać się w niepowołane ręce.) Kilka lat mego życia, a raczej jego



marginesów, lecz najważniejszych, w rezultacie — zdaję sobie z tego sprawę —  
śmietnik i żalosne świadectwo niespełnień, złudzeń i narastającej świadomości  
całkowitej kieski.

A zatem — data: Meran, sanatorium doktora S.K. — kwiecień — leżę otulony w  
pledy na werandzie, trzymając w ustach, pod językiem, termometr, i wbrew  
zakazowi lekarza bazgrzę pod kocem naciągniętym aż po szyję. Teraz, po  
dłuższym czasie, potrafię już należycie zanalizować mój zachwyty, gdy słuchałem  
pseudokoncertu debila na łące

153

w słońcu, tam, w Pustertal, dwa lata temu. Nie uświadomione doznanie — dziś  
wiem — szczęścia w poniżeniu, w biernym poddaniu się. Ten dzieciak bełkocący i  
tańczący na łące obok krowy nieświadomie wyrywał się z podobnego stanu, w który  
zepchnęła go sama natura, gdy ja z pełną świadomością zagłębiałem się w podziemne  
korytarze, szukając w nich kryjówek przed samym sobą. Bierny świadek  
eksperymentów mojej siostry, ale tylko pozornie stojący na uboczu obserwator.  
Gdyż L., wiem to, urządziła swoje «przedstawienia» z myślą o mnie, a Detta  
odgrywała wyłącznie rolę niezbędnego, lecz nieważnego statysty. Była  
przedmiotem doświadczeń, lecz nie ich celem. To ja, za każdym razem, stawałem  
się właściwym obiektem, na którym dokonywano eksperymentów. Nigdy się nie  
dowiem zapewne, czy Detta również odczuwała jakąś przyjemność zrodzoną z  
uległości, czy też godziła się na wszystko wyłącznie ze strachu przed siostrą?

I czy wiedziała, że to ja, per procura, biorę na siebie całe to brzemie?  
Cóż stąd? Melodia już się zrodziła, zakiełkował pierwotny okrzyk, jak u tamtego  
debila drepcącego w słońcu na górskim stoku wśród kęp gencjany i krzaków  
jałowca wydzielającego woń alchemiczną. Ze stanu gwałtownego napięcia, a  
następnie rozluźnienia, o którym wstyd mówić. Więc może każdy produkt  
autentycznej sztuki rodzi się w stanie pół- j świadomości, na krawędzi

przesilenia znaków plus i minus: prądu wstępującego, wznoszącego się do jakiegoś punktu szczytowego (okrzyk nie hamowany nawet rozsądkiem, a cóż dopiero samowiedzą wstydu!), i opadania, wyładowania napięcia. Staw pełen mętnej, letniej wody, dno, na które się opada bezwolnie, z westchnieniem ulgi godnym pogardy. Jest to niezależne od twórcy, który spełnia rolę jak gdyby przekąźnika tych sił, istniejących poza nim właściwie, w mrokach natury, i tryskających jak

154

gejzer, jak podziemne źródło, które potrafiło w końcu przebić się poprzez pokłady podziemne i ukazać ludziom (i samemu twórcy) prawdziwą twarz otchłani. W formie nawet dla twórcy niezupełnie zrozumiałej, gdyż wydobył ją z podświadomości, której sam dobrze nie zna, a cóż dopiero dla odbiorcy. Czytałem w tym czasie Maltę Rilkego. Czy on zdawał sobie należycie sprawę z tego, co pisał? Wątpię. Zstąpił do piekieł i wyniósł z nich zaledwie strzęp wiedzy o prawdziwym dnie, a przecież i to, cośmy za jego pośrednictwem poznali, wystarczy całkowicie, by zaznać smaku Niewyraźnego. Albo Bar-res'a Le jardin de Berenice...

Słyszę z daleka muzykę. Wydaje mi się, że to lód łamie się pod kopytami konia i nogami człowieka stąpającego obok, krok za krokiem, w milczeniu. Człowiek idący prowadzi konia po lodowej powłoce, pod którą na dnie śpią ryby, martwo zwrócone szklistymi oczyma ku górze. Ryby z półotwartymi .pyskami. Bezzębne pyski zasnuje szlamem, wyciekającym z bezkrwistych warg. I wciąż ten strach nieodłączny! Na białej powierzchni zamrożonej pustej rzeki o brzegach ginących w dusznej mgle idzie samotny człowiek prowadząc za oszronioną białą uzdę oszronionego białego konia. (Podobnie jak rok temu, w loży pani Marty J., tworzyłem, słuchając Bacha, wciąż zmieniające się kształty — gotyckie baszty i

kruźganki, i tym podobne elementy wizualne, których za wszelką cenę starałem się pozbyć, by osiągnąć czystą, niczym nie zmaconą wizję muzyczną.) I tylko wciąż i wciąż te wtórne odbicia. Lustrzana w samym założeniu, zawsze niepełne, kalekie w swym ostatecznym kształcie, przenikającym już w chwili rodzenia się w inny równie kaleki. Krzyk szaleńca, którego motyw zostanie na zawsze dla innych niezrozumiały. Bełkot debila tańczącego sobie i słońcu na trawiastym zboczu alpejskiej góry po-  
155

krytej plamami żółtych i fioletowych krokusów, zakwitłych w nocy po burzy. I obok twórcy tego hymnu — spokojnie pasąca się krowa na murawie przegowanej ruchomymi cieniami gałęzi poruszanych łagodnym podmuchem." Tamże: Meran, kwiecień 1909: „Sen zapisany tuż po przebudzeniu. Pochmurny poranek, zaczyna padać:  
Wnętrze antykwariatu. Czy na pewno? Chyba tak. A raczej rodzaj panopticum, graciarni i jednocześnie pracowni. Gdzie? Najpewniej w Paryżu. Byłoby to zatem odbicie, powtórzenie we śnie autentycznych myśli, zapamiętanych z okresu pobytu z ojcem w tym mieście, gdy przechodziliśmy przez ciemny i brudny kryty pasaż obok boulevard Montmartre. Zagracony tunel pełen małych sklepików o wystawach wciśniętych w różne kąty i zakamarki, w załamania krętego korytarza, pasażu--widma, pełnego rupieciarni z piekła rodem, ni to antykwariatów sprzedających dziwactwa i osobliwości dla kolekcjonerów, ni to magazynów zabawek dla osób dorosłych, lecz mających wykoszla-wioną wyobraźnię i zachcianki dziecka.  
Tam to zablądziłem w moim śnie, a raczej wróciłem, i to szybko, myśląc czujność ojca, który zatrzymał się na chwilę, aby kupić cygara. Ujrzałem za szybą twarz antykwariusza czy też maga. Jego oczy patrzące na mnie spoza okularów, wzrok przyzywający mnie do wnętrza, obiecujący nie znane mi rozkosze oka, może i

powonienia, a zapewne i dotyku. Cały bezwstydną zasób pokus wstydlwego Babilonu. Widziałem szlafmycę tego dziwadła wylęglęgo wprost z Opowieści Hoffmanna, zwisającą sflaczałym trójkątem na czoło, jego szlafrok czy chałat tabaczkowy zapinany na pętelki. Przekupień okularów, tak, lecz jakich? Te jego bezzębne szczęki, nad którymi nachylał się haczykowaty nos, te malutkie

kościane rączki, ledwo wystające

156

z przydługich rękawów w geście nieustannego ruchu zacierania. A jednocześnie

jeden z palców, wskazujący, trumienny i zakończony żółtym pazurem, oddzielał

się od reszty i sterczał w górę, kiwając najwyraźniej na mnie i wzywając czy

zachęcając, abym wszedł do sklepu.

Gdy on za szybą, a ja wciąż jeszcze na zewnątrz, we wnętrzu pasażu, ojciec

gdzieś się zapodział ze swym cygarem. Czulem tylko zapach dymu, również w jakiś

sposób nieprzystojnego, za dorosłego na mój wiek, coś tam obiecującego.

Przekupień pokazywał mi różnej wielkości słoje, a w nich pływające na wznak,

kołyszące się w spirytusie eksponaty natury anatomicznej i zarazem jarmarcznej:

dwugłowe miniaturowe ciele, płód poroniony, nie donoszony, kota, a może psa,

nie większy od zasuszonej, a następnie rozmięklej w kompocie śliwki węgierki. A

także żaby i jaszczurki, jakich dotychczas nigdy nie oglądałem, stwory

zredukowane do wielkości breloków i amuletów, jaszczurcze jaja i tym podobne

osobliwości, cały ten bric-d-brac, by następnie, lecz już na ucho, mimo

dzielącej nas szyby, wyszeptać: — Mam tu jeszcze dla kawalera inny towar...

Może pan raczy obejrzeć, kamerjun-krze! — mrugnął do mnie spoza szkieł

zsuniętych na nos, ukazując wypukłe, czerwono żyłkowane białka. Wtedy

pomyślałem, że L. kilka lat temu oświadczyła mi przy jakiejś okazji, iż gdyby

wydłubać ludzkie oko, można by je śmiało spożyć z majonezem jako jajo na

twardo, i pokazała mi wzrokiem babkę Sophie, mającą istotnie bardzo wybałuszone  
oczy. Zmartwiałem ze zgrozy i bałem się zerknąć nawet na babkę, L. zaś  
najspokojniej jadła w dalszym ciągu knedle ze śliwkami i przy każdej okazji,  
trącając mnie kolanem pod stołem, robiła miny, jednocześnie wydłubując widelcem  
śliwki z ciasta i odsuwając je na brzeg talerza. — Zupełnie jak jaja. Tyle, że

ciemnoczerwone — powie-  
157

działa. — Albo jak czyjeś oko — dodała najniewinniej ku zgorszeniu mamy i

całej reszty towarzystwa.

Ów antykwariusz ze snu, nazwawszy mnie, nie wiem czemu, kamerjunkerem, pokazał

mi na palcach figę, a ja natychmiast pojąłem, że nie jest to zwyczajna figa,

jaką sobie pokazują w zabawie dzieci, lecz zupełnie inna, i wówczas

przebudziłem się zlany potem, zgrzany jeszcze od biegu, od wyścigu, jaki

urządziłem po kamiennych tafelkach i zakrętach pasażu, uciekając w objęcia

ojca, palącego najspokojniej cygaro i czytającego afisze nalepione u wejścia do

muzeum figur woskowych.

Zmierzyłem gorączkę tuż po pierwszym śniadaniu i okazało się, że mam

trzydzieści siedem i dziewięć, a zatem o trzy kreski więcej niż poprzedniego

dnia. Więc przeleżałem cały ten dzień w łóżku, nie wychodząc na werandę,

zwłaszcza że od gór wiał chłodny i wilgotny wiatr."

„Meran, w maju 1909, szósta po południu. Od tygodnia cudowna pogoda. Góry

widoczne jak przez lekką mgłę, co wróży pogodę. Ani jednej chmurki. Od rana na

ławeczce w sanatoryjnym parku.

Przyszła mi z rana taka myśl do głowy: wydaje się, iż istnieje realna możliwość

pozbycia się raz na zawsze (a przynajmniej na dłuższy czas, dobre i to) pokus

różnego rodzaju (wolę ich nawet tutaj, w tym dzienniczku, dokładnie nie

wymieniać i nie precyzować), przelewając je na papier w formie poezji, dramatu

lub utworu muzycznego. Nazwałem nawet taką metodę: -«wysłaniem w drogę».

Onegdaj, zabłądziwszy Bóg wie po co na stację kolejową i spędziwszy tam beczynnie półtorej godziny na ławeczce, przyglądałem się, jak lokomotywa, wysłużona emerytka z niziutkim kotłem i wysokim kominem nakrytym czymś w rodzaju zakonnego kornetu czy kwefu, przesuwała tam i z powrotem wagony przeznaczone widocznie do dwu różnych składów pociągów. Popychała je pojedynczo, a czasem po dwa i trzy szczipione razem, i rozpędziwszy się, hamowała nagle wśród przeraźliwych gwizdków obsługi i syku pary, a one, raz pchnięte, toczyły się już samodzielnie do miejsca przeznaczenia, uderzając zderzakami o inne wagony. Rodziła się cała gama kolejnych dźwięków, stuk wagonu o wagon, w końcu ktoś tam, wymachując czerwoną chorągiewką, gwizdał i nastawała chwila ciszy. Potem lokomotywa zaczynała swoją pracę od początku, sapiąc i wyrzucając z głośnym hukiem z komina w czyste, przejrzyste powietrze kłęby czarnego dymu, jakby co najmniej pokonywała wzniesienia alpejskiej linii kolejowej gdzieś koło Semmeringu czy Miirzzuschlag.

Wtedy to, gdy wygrzewałem się na pustym peronie, przyszła mi do głowy ta myśl. Żeby odepchnąć od siebie czy odczepić, i w ten sposób pozbyć się. Przelawszy na papier, przełożywszy na muzykę, wyładowałbym się i uwolnił. Tamto odjedzie jak wagony pchnięte przez staruszkę lokomotywę, a ja najspokojniej pozostanę sam na pustym peronie. Utrwalone w formie utworu, zaczęłoby żyć własnym życiem. Raz spełnione, przybrane w złudne kształty dzieła sztuki, przestanie kusić i nękać.

Gdybym na przykład, nosząc się z myślą uduszenia Desdemony, napisał wpierw Otella, wyładowałbym się pośrednio i może zaspokoił. Czyn zamierzony dokonałby się w jakiś inny sposób, lecz jednak dokonał. Nawet w takiej sztucznej formie, jakby in effigie. Można by również pomyśleć o roli, jaką spełniały woskowe lalki w obrzędach czarnej magii. Nie tak dawno czytałem o tym. Różnica jednak

byłaby taka, iż zamiast osoby wyobrażonej przez lalkę ginęłaby sama lalka.

Mogłoby to wystarczyć, bodaj chwilowo. Na tym polega zapewne darcie lub palenie

fotografii osób zbyt znienawidzonych lub, odwrotnie,

159

zbyt beznadziejnie pożądanym, by można było stale mieć ich podobizny

przy sobie.

Zagłada lalki. Więc zaraz wieczorem tego samego dnia próbowałem wyobrazić sobie

L. w roli takiej woskowej figurki. Usiłowałem wybrać kształt najbardziej

odpowiedni do roli, jaką miała spełniać, i tu zaczęły się trudności.

Teraz, po dwu dniach, śmieję się sam z siebie, widząc moją naiwność czy

głupotę, lecz wówczas, leżąc przy otwartym oknie w ciemnościach, brałem

wszystko na serio. Lalka powinna być nieruchoma i przypominać możliwie

dokładnie osobę wybraną, moja wyobraźnia zaś nie potrafiła temu sprostać. Lalka

L. wierciła się, wyczyniając przeróżne gesty i miny, jakby świadoma, co ją ma

spotkać. Nie dała się unieruchomić. A zatem L. w tak zwanej «paczce» — jest to,

o ile dobrze zapamiętałem, nazwa spódniczki, jaką przywdziewają koryfejki

baletu — i w baletkach, pokazująca różne pas taneczne przy dźwiękach fortepianu

i pod czujnym okiem nauczyciela tańca. Widziałem nasz dawny salon przy

Stubenringu, a nawet fragment widoku za oknem i balustradę balkonu. Szybko

wycofując się stamtąd, wymazując w pamięci tamtą scenę, ujrzałem natychmiast L.

na młodzieżowym balu u pani B., również salon, tyle że większy od naszego, i

odmiennie rozmieszczone wielkie okna. Tłum dziewcząt i chłopców, a między

nimi L., znakomicie zapamiętana przeze mnie. W jasnoróżowej muślinowej sukni

sięgającej niemal do kostek, w białych pantofelkach i nieco zmienionym z

okazji balu uczesaniu: krótki warkocz tym razem, rozpleciony, spięty kokardą i

niby koński ogon luźno spuszczone na plecy. Gdy ją sobie z pamięci wy dobyłem i

próbowałem należycie ustawić, przystanąła istotnie, lecz, zerkając na mnie spod oka, zaczęła łakomie zajadać poziomki z kremem z płaskiego talerzyka.

Widziałem jej usta umazane kremem, a gdy podszedłem bliżej, trysnęła na

mnie spomiędzy  
160

warg, pomagając sobie językiem i marszcząc nos. Uwalany, zacząłem wycierać

twarz i ubranie, a ona znikła gdzieś, zapodziała się, tak że nie mogłem jej w

ogóle więcej odnaleźć.

Usiłowałem jeszcze wyobrazić ją sobie na plaży w Grado, ale było to tak dawno,

że prócz kolorowej piłki skaczącej po falach nie udało mi się nic innego

zobaczyć. Zdawało mi się — a już zaczynałem zapadać w sen, zmęczony pracą

wyobraźni — że wchodzę po kolana w wodę, próbując wyłowić skaczącą w morzu

piłkę, która zaczynała w miarę mego wysiłku przeobrażać się w L., lecz obraz

szybko rozplynął się w czymś letnim, ciepło-wodnistym, i wreszcie znikł."

Grado, latem 1910:

„Gdzieś daleko widnieje od paru minut niewielki statek. Zbliża się. Jest to

vaporetto płynący z Triestu. Nikiła smuga dymu w bezwietrznym przedwieczornym

niebie. Nad statkiem dwie mewy. Jedna nieco wyżej, druga z boku i niżej.

Nurkuje i za chwilę jest już wysoko, trzepocąc skrzydłami i niosąc w dziobie

wyłowioną zdobycz. Widzę teraz całkiem wyraźnie panią w słomkowym kapeluszu

owiniętym błękitną woalką. Rzuca z pokładu jakieś okruchy. Obie mewy znów

nadlatują, zniżają się nad same fale, kwiląc, i następnie wznoszą wysoko.

Patrzę pod nachylone słońce. Czarna kula i dokoła niej jasne, aż bolesne,

rażące oczy koła i kręgi. Obracają się niby Riesenrad w Praterze. Lieschen,

kilka lat temu, do mnie, patrząc w górę, zadarłszy głowę w słomkowej budce,

związanej pod szyją szafirową wstążką: - Ty byś się bał. Wiem. Nie mów mi, że

nie. Bałbyś się, bałbyś się, bał, bał, bał! — i tupie nogą. Stoję obok ze



spuszczoną głową i \_czuję, jak narasta we mnie chęć buntu. — Wcale nie —  
zaczynam niezbyt pewnym głosem, gdyż czuję, że istotnie brak mi odwagi, aby

podjąć de-

11 — Król Obojga Sycylii    ^i

III

cyzę. Ale Lieschen nie słucha. Biegnie ku karuzeli. nieruchomej w tej chwili,  
i dyga przed jakimś nieznanym panem, szykującym się wraz ze swą towarzyszką  
do zajęcia miejsca w wagoniku. Tamten — widzę to dokładnie — śmieje się i  
zagarnia L. ramieniem, pomagając wejść jej do gondoli wyglądającej jak mały  
wagonik. I ku memu przerażeniu Riesenrad zaczyna się obracać, widzę L.  
wychyloną przez okno i kiwającą ręką, nie do mnie, do matki, która nadbiega  
gdzieś z boku, niosąc zakupione ciastka, wyraźnie zaniepokojona. Więc wołam na  
cały głos: — Mamo, mammo, ona pojechała, ona pojechała, a ja zostałem!... —  
Pojedziesz następnym razem — pociesza mnie, lecz ja wciąż w stanie najwyższego  
podniecenia, wprost rozpaczy, tupię nogami, odmawiam ciastek, zachowuję się w  
ogóle nieco histerycznie, do tego stopnia, iż dopiero ojciec musi mnie wziąć  
energicznie za rękę i odprowadzić na bok. — Wstydzilibyś się. Taki duży  
chłopak... — potrząsa mną, nieco poirytowany. Bo ludzie stojący obok  
przyglądają nam się rozbawieni.  
Nade mną obroty olbrzymiego koła z uczezionymi wagonikami, w których siedzą,  
obejmując się, rozbawione pary, żołnierze i panny służące, mo-dystki i  
koncypienci, kelnerki i ekspedienci z magazynów przy Mariahilferstrasse. Obok  
nas starszy pan w meloniku patrzący w górę, w towarzystwie dwu chłopaków nieco  
młodszych ode mnie, którzy podsluchali widocznie naszą rozmowę i czynią na mój  
temat niezbyt pochlebne uwagi, trącając się łokciami. Nawet Detta, która  
trzymała się cały czas matki, patrzyła na mnie nie bez złośliwego  
zainteresowania, pytając w kółko: — Mamo, powiedz, co jemu się stało, powiedz,

dłaczego on robi takie miny...

Kiedy to było? — zastanawiam się. — Chyba w tysiąc dziewięćset szóstym... A

może w siódmym?

162

A więc miałem wówczas trzynaście lub czternaście lat a Lieschen piętnaście albo szesnaście.

Teraz morze jest zupełnie płaskie, nieruchome jak lustro, białawosrebrne, plaża

zaś pusta. Kosze rzucają ukośne wydłużone cienie. Chłopak hotelowy zbiera

porozstawiane wzdłuż brzegu kolorowe wielkie parasole. Otrzepuje je z piasku,

zamyka, odkłada na bok.

Vaporetto podchodzi do niewielkiego drewnianego mola. Na pomoście stoi kilka

osób. Marynarz w białej bluzie z granatowym kołnierzem, z brodą zwaną we

francuskich powieściach «en collier», czarną i kędzierzawą. Czeka, aż mu z

pokładu parowca rzuca linę, którą za chwilę przywiąże do oślizgłego, pokrytego

zielonym szlamem słupa. Statek wydaje przeraźliwy gwizd. Jeden, a potem drugi,

krótszy. Ten drugi wesoły, jakby powitalny. Parowiec niesie na dziobie,

odgarnia burtą, gdy zawraca, ustawiając się bokiem do mola, wał białej piany.

Kilka krótkich, łagodnych fal uderza o pale pomostu. Półkoliste zatoki rozlane

na mokrym piasku. I liczne głosy. Kobieta, ta sama, która przed chwilą karmiła

mewy, i dziecko. Chłopczyk w marynarskiej czapeczce ze zwisającą na plecach

wstążką i jakimś napisem na otoku. Wyprzedza kobietę i szybko wbiega na kładkę,

ledwie podstawioną przez brodatego majtka. Ten, śmiejąc się, chwyta malca na

ręce i wynosi na brzeg. Gruby mężczyzna ostrożnie stawia kroki na pomoście,

trzymając się linowej barierki. Widać dokładnie z mego miejsca jego biały

garnitur z surowego jedwabiu i pikową kamizelkę, na której kołysze się

łańcuszek od zegarka i kilka breloków. Ocierając pot z czoła, przystaje obok

budki, w której sprzedaje się bilety na vapo-retto. O coś pyta. Potem oddala

się i ginie mi z oczu w alejce za hotelem «Erzherzogin Valerie». Statek opustoszał, nie ma, jak się zdaje, kandydatów na ostatni w dniu dzisiejszym

powrotny rejs do Trie-

163

stu. Morze pociemniało, stając się chłodnolazurowe z białawymi błyskami na grzbietach łagodnych płaskich fal.

Snują mi się w myślach jakieś projekty wierszy. Potem napływa muzyka, lecz

wiem, iż jest to powtórzenie, niezbyt zresztą dokładne, jednej z etiud Mozarta.

Wraca wiersz, jeszcze nie sprecyzowany w formie. Raczej obraz wiersza niż jego

kształt wyraźny. Wstaję z ławeczki i powoli, trzymając obie ręce w kieszeniach

mojej flanelowej niebieskiej marynarki, idę w stronę kawiarni tuż za hotelem

«Erzherzogin Valerie». Jestem tak zagłębiany w myślach, iż nie zauważam w porę

znajomej z Wiednia, Frau Hansen, która mieszka w tym właśnie hotelu i wyszła

przejsć się przed kolacją w stronę mola."

Wtedy właśnie, latem 1910, Emil R. decyduje się poświęcić sztuce. Rzuci zamiar

studiów prawniczych po maturze w przyszłym roku. Po co mu one? Będzie muzykiem,

a może również malarzem. Będzie pisać wiersze. Decyzję tę podejmie mieszkając w

pensjonacie Frau Hilde Schautzi, geborene Gan-zoni, w willi „Die Silberne

Mowę". „Należy — pomyśli — stworzyć dzieło będące syntezą muzyki, słów i

obrazów. Nie wiem jeszcze, jak to zrobić, lecz podjąłem decyzję. Jedność doznań

złączona akordami muzyki. Obawiam się jednak, że nie podołam zadaniu. Iż nic

takiego nie uda mi się nigdy stworzyć..."

Cały rok 1912 spędza Emil R. w Eger jako jednoroczny ochotnik. Przyjęto go do

szkoły oficerskiej w wieku osiemnastu lat, wyjątkowo, przy użyciu wysokiej

protekcji, sięgającej aż samego K. und K. Kriegsministerium. Tutaj, w Eger,

spotyka Zdenka Kocourka, z którym się szybko zaprzyjaźni.

164

W zielonym kajecie można by odnaleźć z tego okresu zaledwie krótkie i nieliczne

notatki w rodzaju: „Dziś, jak zwykle, zupa kminkowa na śniadanie”, albo: „Kawa w kasynie przypomina zapachem przypalony kauczuk.” Dwie strony dalej: „Rano spadłem z konia i nieco kuleję.”

Czasy są niespokojne, wybucha wojna na Bałkanach i w perspektywie możliwość częściowej mobilizacji sił zbrojnych Austro-Węgier. Emil R. odnotowuje zasłyszane hasła i wypowiedzi z dziedziny militarno-patriotycznej, opatrując je złośliwymi komentarzami, a nawet karykaturami; czytamy: „Wenn Kaiser Franz Joseph zu Pferde steigt, so fol-gen Ihm alie seine Volker” — i uwaga na marginesie tej maksymy: „Koni nie uwielbiam, do żadnego z wiernopoddańczych ludów nie zaliczam się, jestem wyłącznie sobą.” Na następnej stronie: „Jeder Sol-dat, vom letzten Fahrsoldaten bis zum hochsten General, brennt darauf, endlich an den Feind zu kom-men!” — i komentarz młodego offiziersaspiranta:

„Jeszcze czego! Nie ma głupich, bawcie się beze mnie!”

Boże Narodzenie roku 1912 Emil R. spędza w Wiedniu na urlopie, w lutym zaś 1913 zdejmuje ostatecznie uniform z naszywkami świeżo upieczonego podporucznika rezerwy i wraca do cywila. Decyduje się również ulec namowom ojca i zapisać się na wydział prawa.

Dokładna data w zeszytach: 25 maja 1913, Abba-zia.

„Spotkanie z Liesbeth w alejce ogrodu willi /<sup>o</sup>ie Windrose», należącej do naszych znajomych, baronostwa von Reisach und Gleiss. Zdołaliśmy zamienić zaledwie parę słów, gdyż zaraz nadeszła pani Emma von Reisach. L. pragnęła mnie, jak się zdaje, osobiście powiadomić o swych zaręczynach. Jej \_ narzeczoną też tu jest. Przybył wprost z Poli, gdzie jest stacjonowany jego okręt, na jednodniowy

165

urlop, wyjednany za wysoką protekcją samego podobno admirała, dowódcy eskadry.

L. oświadczyła mi o tym nie bez skrywanej złośliwości. Najwyraźniej czekała, co ja na to. Nie odezwałem się do niej, natomiast zacząłem wypytywać panią Reisach

o nazwy gatunków róż kwitnących właśnie w alejce prowadzącej do werandy. No i dowiedziałem się, iż są to: Marechal Niel, Kaiserin Augusta-Yictoria, oraz Prinzessin Annunziata von Hohenlohe. Poczuję się głęboko wzbogacony tymi informacjami. L. stała obok, wierząc szpicem parasolki w piasku i przyglądając mi się bacznie spod oka. Pewnie wyobrażała sobie, że gdy się dowiem o wszystkim, odegram jakąś patetyczną i tragiczną scenę, zakrzyknę coś w rodzaju: «O, mój Boże!», że się zatoczę, chwytając za głowę, a może wykonam dodatkowo rodzaj pantomimy z załamywaniem rąk, klękaniem, pełzaniem na klęczkach i tak dalej. Pozbawiłem ją tej uciechy. Może gdybym się teraz dopiero o tym dowiedział... Ale na szczęście poczciwa mama nie mogła wytrzymać i uszczęśliwiona, że nareszcie i że ten jej przyszły zięć, a mój szwagier, Edmund von S., oficer marynarki wojennej, zaokrętowany — bo tak się to chyba u nich nazywa — na lekki krążownik «Admiral Spaun», jest takim porządnym chłopcem i z tak dobrej rodziny — to «von» przed nazwiskiem, więc L. też będzie podpisywać się «von»... No, a ponadto, «bardzo kochają się oboje. Gdyby zatem nie ten list, być może, iż zaskoczony, nie potrafiłbym zachować przez cały ten trudny raczej dzień należytej równowagi, a nawet humoru. Bo ja po prostu tryskałem dowcipami, zabawiając całe towarzystwo, nie wyłączając Edmunda von S., siedzącego obok szczęśliwej narzeczonej w swym twarzowym uniformie oficera marynarki z małym kordem u boku, którym cały czas się bawił. Zdziwiłem tylko mamę, nieprzywykłą do takiego ożywienia u mnie i nieco zgorszoną

166

dowcipami przywiezionymi wprost z pułku w Eger. Rozbawiłem do łez natomiast barona von Reisach, który prosił mnie nawet, bym powtórzył dwa1 czy trzy." O tej samej porze, gdy towarzystwo zebrane na werandzie willi „Die Silberne Mowę" spożywa drugie śniadanie, do jednego z urzędów pocztowych w Wiedniu

zglasza się elegancko ubrany pan i podejmuje list nadesłany na poste restante pod hasłem „Bal w Operze”. W ślad za wychodzącym wybiegają dwaj agenci tajnej policji, Ebinger i Steidl, zaalarmowani dzw"onkiem naciśniętym przez urzędnika pocztowego. Lecz elegancki pan wsiada do taksówki i dwaj agenci przystają niezdecydowani na rogu Kolovratring. Naradzają się. My, świadomi przyszłości, możemy zdradzić, iż tajemniczym panem ściganym przez dwu tajnych agentów jest pułkownik sztabu generalnego, Alfred Redl. Przez szeroko otwarte okna werandy willi państwa Reisach napływają morskie świeże podmuchy. Kwitnie mimoza na stoku. Pani von Reisach podnosi do ust filiżankę herbaty. Odbity w niej promień słońca rysuje na ludowej dalmatyńskiej serwecie chwiejne refleksy. Potem nikną. Teraz wszystkie twarze siedzących obracają się ku morzu. W zatoce Quarnero widać spory parowiec pasażerski. Porucznik Edmund S. objaśnia: To „Marta Washington” płynąca z Fiume do Pireusu i Aleksandrii. Baron von Reisach zapala cygaro. O tej samej minucie dwaj agenci policji ruszają Przed siebie. Pogoń nabiera rumieńców niemal wielkiej filmowej przygody kryminalnej. Dwaj jednak odziani w czarne garnitury i meloniki panowie wyglądają niby podwójne wcielenie Maxa Lindera. A właśnie w tej samej chwili Emil R. opowiada o tilmie z tym właśnie aktorem w głównej roli, widzianym onegdaj w jednym z kin w Trieście. Tymczasem agenci kontrwywiadu wchodzą już do hallu

167

hotelu „Klomser”. To tutaj, w pokoju numer jeden na pierwszym piętrze, pani Ethel R. poczęła przed dwudziestu laty w pewną ciepłą sierpniową noc, w sam dzień urodzin Najjaśniejszego Pana, a syn, który miał stać się rezultatem tej nocy, otrzymał na chrzcie imię Emil. W tym samym pokoju zamieszkał przybyły dziś rano z Pragi szef sztabu tamtejszego korpusu, pułkownik Redl. Przed chwilą wróciwszy z głównej poczty, pan pułkownik przebiera się. Cywilny garnitur

spoczywa już na poręczy krzesła, tej samej zapewne, z której przed laty zwisały rzucone w pośpiechu podwiązki pani mece-nasowej R., pułkownik zaś wdziewa ciemnozielony uniform sztabowca. Za chwilę zejdzie po schodach do hallu, gdzie rozmawiają z portierem obaj agenci, przeglądając jednocześnie listę gości hotelowych.

Zdjęty przed chwilą cywilny garnitur pułkownika Redlą wydziela woń perfum

„Violettes Imperia-les”, nieco ostatnio już niemodnych, używanych wciąż jednak

jeszcze przez pewną kategorię oficerów c. k. armii oraz bywalców kilku

wiedeńskich ekskluzywnych kawiarni. Jest to kategoria nieco ekscentryczna,

ulegająca gustom i modom trzymanym raczej w tajemnicy przed ludzką

niedyskrecją. Również chusteczka pułkownika Redlą, którą teraz, patrząc pod

światło, przeciera binokle, pachnie cesarskimi fiołkami. A także

ciemnogrnatowe sukno uniformu porucznika marynarki Edmunda S. Nie jest

wykluczone, że i jego jedwabna bielizna, nabyta w najelegantszych magazynach

londyńskich, przesycona jest tym zapachem.

Jesteśmy w epoce umierającej secesji, przekwi-tającej moderny, stać nas więc na

pewną przesadę uczuć i określeń. Na sentymentalną nieco nieskrom-ność. Na

ciemny, niemodny już dziś fiolet. Może nawet — lecz tylko w pewnych wybranych

sytuacjach — na odrobinę melancholii. Tak też należałoby przyjąć wynurzenia

młodego Emila R., zapisane

168

w zielonym zeszycie wkrótce po powrocie z willi państwa Reisach do hotelu

„Miramare”, w którym zamieszkał po przyjeździe z Triestu.

„Zdaję sobie sprawę, że jestem w tej chwili niesprawiedliwy. To nie Edmund S.,

którego zresztą poznałem już przelotnie zeszłego roku w Marienba-dzie, poczuł

do mnie niechęć od pierwszego wejrzenia, jakby coś podejrzewał. Przeciwnie,

robił, co mógł, by mnie zjednać. To ja, jakbym się spodziewał, na czym to się

skończy, na co się zanosi, już wówczas, w Marienbadzie, najeżyłem się wewnątrz i byłem oschły i niezyczliwy. Próbowalem zwalczyć w sobie tę nieuzasadnioną niechęć i nie potrafiłem. A przecież powinienem przewidzieć, że on czy ktoś inny zjawi się kiedyś na horyzoncie. Ale wtedy o takiej ewentualności nie myślałem. Po prostu — brak mi było wyobraźni. A może podświadomie wmawiałem sobie, że tak, jak jest, zostanie na zawsze.

Bagatelizowałem aluzje mamy. Że już czas. Że warto by się rozejrzeć. Inna rzecz, iż L. zdawała się również o tym nie myśleć. Wzruszała ramionami, gdy mama mówiła. Nawet kiedy Detta zaręczyła się, a potem wyszła za męża, L. śmiała się. Powiedziała: — Mam czas! Co z tego, że ona młodsza i że to nie wyszło tak jak powinno podług przepisów, po kolei, wedle starszeństwa. Nawet jeśli zostanę starą panną, no to co? Nie zależy mi na tym.

Wracając do Edmunda, teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że całą rzekomą niechęć jego do mnie, a nawet ton lekceważący, jaki u niego zauważyłem, gdy się zwracał do mnie, sam wymyśliłem, żeby mieć po prostu pretekst. Narastała we mnie fizyczna odraza do tego zdrowego, przystojnego chłopca, tryskającego wprost męską siłą. Odczułem ją ponownie wyraźnie dziś rano, kiedy Edmund wiosłował, a my, państwo Reisach, mama i L., siedzieliśmy najspokojniej w łodzi. Poderwałem się nawet w pierwszej chwili, żeby mu pomóc, lecz on, śmiejąc się, zapewnił mnie, że sam sobie da radę. Wtedy znów dosłyszałem w jego głosie ten jakby lekceważący mnie ton. Moją kondycję fizyczną, co tu ukrywać, bez porównania słabszą, mój brak wprawy i treningu. Niektóre zwierzęta czują do siebie podobną niechęć, odrazę, a nawet nienawiść od pierwszego spotkania. Omijają się, zerkając na siebie z boku albo negując wzajemną obecność na tym samym obszarze żerowiska.

Na szczęście, on odjechał wieczornym pociągiem, gdyż kończył mu się urlop. Mają



tam, we flocie. w tej chwili stan alarmowy w związku z wypadkami na Bałkanach. Edmund opowiadał, łamiąc zapewne tajemnicę wojskową, że cała eskadra lekkich krążowników typu «<Novara«-, do której należy także -«Admiral Spaun«-, stoi na redzie w Poli pod pełną parą, gotowa do drogi. Nie będę ukrywać, że mnie ta wiadomość nie zmartwiła zbytnio. Z ulgą stwierdziłem, iż L. również nie wyglądała na wstrząśniętą. Jeśli kraje bałkańskie będą do tego stopnia niegrzeczne, że aż przyjdzie nam je poskromić, nie mam nic przeciwko temu. Mimo niczym nie uzasadnionej, najzupełniej platonicznej sympatii dla Nikity czarnogórskiego. Niechże sobie okupuje Skutari!

W nocy, gdy ubrany jeszcze, czując, że nie zasną, stałem w otwartym oknie, przyszła mi do głowy myśl, być może, absurdalna, lecz zarazem odkrywczą. Istniało przecież niegdyś prawo *ius primae noc-tis*. Dawno zapomniane, nie stosowane, lecz cóż z tego? Więc gdybym tak zwrócił się do niego jak mężczyzna do mężczyzny, gdybym mu powiedział wprost, niczego nie ukrywając: — Masz moje słowo honoru, że kiedy przyjedziesz jutro o świcie, mnie już na tym świecie nie będzie. I nikt prócz nas trojga o tym się nigdy nie dowie — rozumiesz mnie, przyszły szwagrze, panie leutnancie zur See, Sind-badzle żeglarzu cesarsko-królewskiej Kriegsmari-

170

ne, przyszły pokarmie dla rekinów?... — I chyba nie jestem zbyt daleki od prawdy, kiedy twierdzą, że po pierwszym oburzeniu, zachnięciu się, może uwerturze do honorowej sprawy, chwyceniu za marynarski kord — zawahałby się. Gdybym mu poza obietnicą mojej śmierci przyrzekł, a nawet przekazał notarialnie i wedle wszelkich reguł prawnych całą moją przyszłą schedę, wszystko, co bym kiedyś odziedziczył... I że człowiek tak światowy jak on, o tyle nowoczesny oraz inteligentny, o ile może nim być zawodowy oficer cesarsko-królewskiej

marynarki wojennej, nie przykłada aż tak przesadnej wagi do tego, co można by określić w sposób nieco może filuterny, lecz zarazem oględny: «fleur de la virginite.»... Podczas gdy ja... Wciąż stojąc w otwartym oknie mego pokoju w hotelu «Miramare»-, zacząłem się głośno śmiać."

O tej samej dokładnie godzinie, gdy Emil R. stoi w otwartym oknie, oparty obu rękami o futrynę i wychylony w ciemną gęstwinę gałęzi drzew rosnących na nadmorskim bulwarze Abbazii, zakradłszy się do pokoju numer jeden hotelu „Klomser” w Wiedniu, moglibyśmy być świadkami ostatniego aktu pewnej przykrej afery. Rozległ się strzał, a po pewnym czasie zajrzy tam, by sprawdzić, czy fakt się istotnie dokonał, dwu tajnych agentów, sobowtórów słynnego komika Maxa Lindera. Stwierdziwszy zaś po cichu, na palcach schodzą na parter, mijają lożę portiera, który, niczego się nie domyślając, zdrzemnął się, i wychodzą na pustą ulicę, by zawiadomić o radosnej nowinie trzech czekających tam i niecierpliwących się wyższych oficerów. Ci odnotują godzinę i odetchną z ulgą. Skąpe informacje o wypadkach z dnia dwudziestego czwartego maja w Wiedniu w hotelu „Klomser”, jakie zamieści prasa, dojdą Emila R. dopiero po dwu dniach, już w Trieście. Nie uczynią na nim większego wrażenia. Rzuci na nie okiem i zajmie się sąsiadującą na drugiej stronie gazety informacją o mającym się odbyć w Trieście koncercie słynnej skrzypaczki. Mógłby jeszcze zdążyć, gdyby mu się chciało postarać o bilety. Lecz ogarnia go znużenie i lenistwo, nie pozwalające nawet na tak niewielki wysiłek, tak że machnąwszy ręką, zrezygnuje z projektu.

W tym samym zaś czasie w praskim mieszkaniu prywatnym byłego szefa sztabu ósmego korpusu w Pradze, Alfreda Redlą, którego ciało wyniesiono już tylnymi schodami z hotelu „Klomser”, odbywa się rewizja. Generał dowodzący, przełożony Redlą, baron Giesl jest niepokieszony. Jego rodzony brat, poseł Austro-Węgier w

Belgradzie, w tej właśnie chwili odczytuje szyfrowaną depeszę nadaną w ministerstwie przy Ballhausplatzu. Nachylony nad biurkiem, stoi wsparłszy się szeroko rozstawionymi rękami o jego blat. Ma zatroskaną twarz. Do gabinetu ministra pełnomocnego zapuka za chwilę sekretarz poselstwa. Nad Adriatykiem mewy zataczają kręgi. Sadowią się pojedynczo i po dwie na dachach nadmorskich will. Ściemnia się. Warto przytoczyć tych kilka dodatkowych, równoległych w czasie faktów z dziedziny spraw prywatnych i publicznych. Utrwalić je, przyszpilając jak gdyby naszą uwagę do zjawisk natury jak najbardziej osobistej: chociażby narastającego poczucia nieszczęścia Emila R. Cyganka Marika Huban przechadza się o zmroku po pustym już placu targowym w miasteczku Fehertemplom. Kołysze się po cygańsku w biodrach, nuci. Idzie teraz na ukos targowiska pełnego odpadków, rozdeptanych jarzyn, łupin po melonach i kawonach, końskich odchodów i słomy. Ktoś niewidoczny w mroku, ukryty w załomie parkanów otaczających targowicę od strony rzeźni miejskiej, gwizdże. Raz i drugi. Młoda Cyganka przystaje na środku pustego placu i nadśluchuje. Gwizd powtarza się. Potem zapada ciemność tak czarna, iż trudno nam śledzić dalsze kroki dziewczyny. Baron Giesl, poseł pełnomocny, skończył właśnie czytanie depeszy i naciska dzwonek na biurku. Patrzy w okno osłonięte ciężką aksamitną kotarą. Należy się śpieszyć, gromadząc szczegóły, godziny bowiem są policzone. Można by, komu by na tym zależało, obliczyć ilość tych godzin i ilość minut do zbliżającego się końca. Jeszcze chwila, dwie — i pozostanie nam w ręku tylko pusta butelka po piwie marki Puntigam z białym lwem styryjskim na zielonym tle — zarazem pamięć nazwiska spowiednika konającego w Sarajewie arcyksięcia. I wskazówka przesunie się na zegarze.

- Wiecie - mówi jeden z poruczników, a jest już zupełnie ciemno na bardzo wąskiej i krętej Kerestesz utca, tak iż tylko po głosie można poznać, iż słowa

te wypowiada leutnant z czwartego szwadronu, Yiranyi Sandor; ktoś inny zapala papierosa i błysk zapalniczki rozświetli na krótki moment palce trzymające go oraz wargi oficera i jego strzyżone krótko wąsy, po czym zapadnie jeszcze czarniejsza ciemność. - Słyszeliście — powie tamten - że niedaleko stąd znaleziono podobno zwłoki jakiejś zamordowanej cygańskiej dziewczyny? - i wskazuje ręką kierunek, lecz tego gestu nie sposób zobaczyć, tak jest ciemno, można go się najwyżej domyślić. Gęsta, nieprzenikniona ciemność. Ponad szczytami akacji wznosi się bardzo wysokie niebo pełne gwiazd.

- To się wydarzyło jakoby - doda po chwili

173

Yiranyi w innym już miejscu ulicy Kerestesz, gdyż grupa oficerów idzie przed siebie niemal po omacku w stronę Ferenc-József-ter, mijając uśpione ogrody — w czasie, gdyśmy siedzieli u matki Supi-cić, a zatem jakąś godzinę temu. nie więcej.

Idą dalej. Środkiem zakurzonej wyboistej jezdni i wąskim trotuarem wyłożonym polnym kamieniem poprzerastałym spaloną słońcem, wątłą trawą. Idą, potykając się, śmiejąc z nieumyślnych zderzeń, pobrzękują ostrogami i pochwami szabel.

Tylko ognik papierosa zdradza, gdzie są w tej chwili. Jakiś kot zeskoczył z wierzchu płotu i uciekł w zarośla. Oficerowie idą milcząc. Dopiero gdy miną skrzyżowanie Kerestesz utca z Kiralyi utca, gdzie jest już nieco widniej od gazowych lamp między drzewami i z rzadka świecących szyb w oknach niskich domów, jeden z nich zacznie nucić arię z Wielkiej księżnej Gerolstein.

Duszny zapach kurzu i okwitających akacji i wysokie, dalekie gwiazdy. Jedna z nich oderwie się od zenitu i zatoczywszy łuk spadnie gdzieś w stronie Dunaju.

Oficerowie przystają i patrzą, zadarłszy głowy. Któryś z nich usiłuje wróżyć.

Sobie i innym. Czekają przez chwilę na następną gwiazdę. Jest cisza całkowita.

Potem odezwie się z jednego z domów w wąskiej ulicy kobiecy śpiew: „Ndhorny,

Nahorny, czemuś mnie opuścił?...\" Oficerowie przez chwilę nasłuchują, potem idą dalej ku koszarom.

W polu, poza stacją, w pobliżu Slavonskiego Brodu, stoi długi pociąg złożony z wagonów towarowych „vierzig Mann und sechs Pferde\". Pola są puste, już po żniwach, pachnie zgrzana ścierń psze-niczna. Żołnierze wyskakują z wagonów, niektórzy gramolą się z trudem, zsuwają z otwartych szeroko drzwi, ściągają ciężkie tornistry, chlebaki i wiązki karabinów. Słyszą mowę czeską. Jest to bowiem pierwszy transport Landwehry z Pragi. Dwudziestej pierwszej dywizji, dowodzonej przez generała-  
174

-majora Prziborskiego. Za chwilę infanterzyści w polowych siwych mundurach udadzą się pieszo nad rzekę Sawę, gdzie załadują się na wielkie tratwy. Już są tam pionierzy dywizji i kilku oficerów. Na czarnej wodzie migoty czerwone i białe, a także żółte. Latarki na dziobach i na rufach płaskodennych szerokich szaland. Woda chlupocze u brzegu. Po kładkach wbiega na pierwszą z brzegu tratwę jakiś młody oficer.

W tym samym czasie w lokalu komisariatu królewskiej węgierskiej żandarmerii w Fehertemplom trzech mężczyzn zajętych jest sprawą jednej martwej dziewczyny. Już ją tu przyniesiono przed niespełną godziną. Za oknami przesila się lipcowa krótka noc. Zbudził się jakiś ptak i wydaje regularne radosne okrzyki gdzieś niedaleko, w gęstych krzakach. Lecz trzech mężczyźni nie zauważają tego przedświtowego ptasiego hymnu. Fizyk miejski, felczer Ludasz Imre, stwierdził autorytatywnie, zaraz po pierwszym obejrzeniu zwłok denatki, a jeszcze przed urzędową sekcją, iż wersja pierwotna, podtrzymywana niesłusznie przez wachmistrza żandarmerii, Yilajcicia, jakoby ktoś dziewczynie poderznął gardło, jest mylna. Denatka ma na szyi krwawą pręgę, to fakt. Nie pochodzi ona jednak od cięcia nożem czy sierpem, lecz powstała bez najmniejszych wątpliwości od zaciśnięcia cienkiego, lecz bardzo

mocnego drutu, z nanizanymi nań tanimi koralikami z kolorowego szkła, niezawodnie ukradzionymi przez denatkę na którymś z kramów na targowicy. Tu do wywodów felczera i zarazem fizyka miejskiego urzędującego przy magistracie wtrąca się podkomisarz żandarmerii Bogatović. Przypomina, przerzucając teczkę w jasnoniebieskiej wybrudzonej okładce związanej tasiemką i opatrzonej numerem 175 łamanym przez coś tam, iż zmarła była już siedmiokrotnie karana za drobne kradzieże, których się od dwu lat regularnie dopuszczała, gdzie się tylko dało, na targu zwłaszcza, lecz nie tylko. Oto doniesienie i skarga, a także zeznanie złożone w komisariacie przez poszkodowaną, kupcową Willnerową Rut, właścicielkę straganu z konfekcją damską. Data zeznania: luty bieżącego roku. Przedmiot skargi: chustka i szpulka nici. Denatka przebywała tylko w tym roku aż dwadzieścia pięć dni w areszcie miejskim przy Ke-restesz utca. Była, już po wyjściu z aresztu, nie dalej niż dwa tygodnie temu, przyłapana ponownie na usiłowaniu kradzieży melona oraz chleba ze straganu niejakiej Filasowej. I tak dalej. Podkomi-sarz Bogatović strzepuje palcami i zamyka teczkę, wiążąc czarną tasiemkę na zgrabną kokardę. Po czym zapala cygaro. Fizyk miejski Ludasz mówi w dalszym ciągu: — I, jak się zdaje, nie miał tu miejsca akt gwałtu natury seksualnej. Zbadałem na razie powierzchownie. Byłyby ślady. Sekcja to niezawodnie potwierdzi. Cóż z tego, że Marika Huban miała czwarty od góry guzik przy bluzce odpięty, a nawet wyszarpany? Mogło się to zdarzyć niezależnie od sprawy, wcześniej albo w trakcie szarpaniny z napastnikiem. Żadnych zadrapań ani sińców na jej ciele. Tylko ta pręga. Jak to mogło w praktyce wyglądać? Chyba tak: ktoś ją w pewnej chwili, gdy się tego nie spodziewała, schwycił od tyłu za naszyjnik i zacisnął go tak mocno na jej szyi, iż dziewczyna upadła na plecy, dusząc się, morderca zaś włókł ją około

dziesięciu metrów po dnie glinianki, tak, dokładnie dziewięć metrów i trzydzieści trzy centymetry (felczer Ludasz sprawdza na szkicu własnoręcznie sporządzonym na zatłuszczonej, wymiętej kartce), po czym, jak się zdaje, porzucił ją tam i zbiegł. Ostatecznie drut, mimo iż wyjątkowo silny, pękł i część koralików rozsypała się w trawie. Oto parę odnalezionych egzemplarzy, panowie popatrzą! — tu fel-  
176  
czer Ludasz wyjmuje z papierka kilkanaście niewielkich czerwonych szklanych paciorków — dowód rzeczowy, składam go wobec tego tutaj, do akt. Podkomisarz Bogatović i aplikant sądowy, chudy i łysawy Mircsa, oglądają je, po czym

"zwracają się do nadal mówiącego felczera Ludasza.

— Zmarłą znaleziono, a przypominam, iż pierwszy natknął się na nią cygański wyrostek, niejaki Jano, nazwiska zapomniałem. — Tu podkomisarz Bogatović potakuje, strzepuje popiół z cygara o blat stołu i rzuca na marginesie: „Już siedzi w areszcie.” — Tak więc ów Jano odnalazł zwłoki leżące na wznak z wykręconą na bok głową i rozrzuconymi ramionami. Stwierdził to następnie żandarm, przepraszam, wachmistrz żandarmerii Yilajcić Istvan, mający wówczas dyżur nocny w komisariacie. Palce obu rąk denatki były zgięte, co dowodzi, iż usiłowała ona przytrzymać się czegośkolwiek, gdy wleczono ją już po ziemi. Za jej paznokciami odnalazłem świeżą glinę, taką samą, jaka znajduje się w gliniance. Oraz sporo elementów trawy, a także nasiona ziół, które tam rosną. Denatka darła dosłownie paznokciami ziemię. No tak. A więc, powtarzam, śmierć klasyczna przez zadławienie. Jedna z żył szyjnych została przecięta drutem, i stąd krwotok. To byłoby chyba wszystko.  
— A motywy? — pyta chudy i łysawy aplikant sądowy, Mircsa Janos. Ziewa, przysłaniając przez uprzejmość dla podkomisarza usta. Oczy poza szklami binokli łzawią mu od tego poziewania. — Motywy? — powtarza stukając żółtym od nikotyny

palcem w blat stołu. Stół ten jest poplamiony atramentem i ponacinany w wielu miejscach w różnych okresach czasu. Jedne z tych nacięć są chyba bardzo dawne, zarosłe brudem, inne dość świeże, jeszcze jasne. Można się nawet od biedy doszukać w nich kształtu serca i monogramu, a także biustu jakiejś niewiasty, pozbawionej jednak głowy. Arty-  
12 — Król Obojga Sycylii 177  
sty, jak należy sądzić, nie stać było na wyrycie kozikiem rysów twarzy owej

kobiety. Ludzie najwyraźniej nudzili się nieraz przy tym stole.

— Hm, motywy... Motywy? — zastanawiają się obaj teraz: pan podkomisarz i pan fizyk miejski.

— Nie gwałt, bo brak dowodów na to. Niedoszła próba gwałtu? Że sprawcę ktoś w ostatniej chwili spłoszył? Hm... Trudno powiedzieć: tak, trudno powiedzieć:

nie. Biorąc jednak pod uwagę, iż Marika Huban, mimo zaledwie piętnastu lat,

raczej należała do łatwych w tej materii... — Tu wtrąca się podkomisarz

Bogatović: — Była dwukrotnie zatrzymana i karana aresztem za prostytucję

uprawianą w biały dzień, a zwłaszcza wieczorami... Jak one wszystkie — dorzuca

i pociąga mocno dym z cygara. — Więc właśnie — ciągnie felczer Ludasz Imre — a

więc właśnie i to miałem między innymi na myśli, wykluczając w zasadzie motywy

seksualne. Bo po co by gwałcić denatkę, skoro sprawca mógł osiągnąć swój cel

bez jakiegokolwiek wysiłku, płacąc za usługę dwoma papierosami, a bodaj

wystarczyłby niedopałek cygara...

— Jasne! — potwierdza podkomisarz Bogatović. — To niezbyt droga przyjemność.

— A więc, jeśli wykluczamy również i motyw rabunku, bo cóż ona miała przy

sobie, ta dziewczyna? Brudną sukienkę na gołym ciele? Koraliiki niewarte nawet

pięciu filerów? A zatem pozostaje albo zemsta za coś, a wówczas należałoby

szukać sprawcy wśród jej rodaków, Cyganów, mógłby to być jakiś wyrostek, na

przykład zdradzony kochanek, coś w tym sensie, panowie rozumieją?... U Cyganów

takie sprawki to bagatelka.

— Albo?



— Albo — pozostałaby jedynie jakaś ciemna afera, może — któż to wie, w dzisiejszych czasach? — polityczna — tu pan fizyk magistracki ścisza głos do szeptu i nachyla się do pana podkomisarza Bogatowicia, który, wciąż paląc cygaro, przybiera od pewnej chwili minę bardzo urzędową i zarazem wtajemniczoną, ważną i groźną w podtekście. — Chociażby jakieś powiązania z serbskimi komitami... Z „Czarną Ręką”, co? A jeśli nie, no to tylko jakiś zboczeniec mógłby się zdobyć na taki czyn... — Tu pan fizyk Ludasz milknie nagle, jakby przestraszony. Po czym odchrząkuje i przeciera binokle czerwoną chusteczką w grochy.

— Ale to już sprawa nie leżąca na szczęście w mojej kompetencji... — dodaje po chwili i nawet, myśląc już o złożeniu odpowiedzialności urzędowej na inne barki, lekko się uśmiecha. Pan fizyk zaciera ręce. — A teraz sekcja, sekcja, do roboty zatem, do roboty! Diabli nadali! W taki upał! — i odchodzi ku oknu okratowanemu, lecz otwartemu na noc i śpiew nocnych ptaków w zaroślach aż dusznych od zapachów. Mdły zapach wędnących akacji i ostry jakichś ziół. I kot przemykający się bezszelestnie pod oknem, z którego pada na najbliższe krzaki pokratowany cień.

Podkomisarz królewskiej żandarmerii Bogatović zostaje w izbie komisariatu sam. Bębni palcami po stole, po monogramie wyrytym w wyszlizganym drewnie blatu i po biuście bezgłowej kobiety, którą nieznany artysta otoczył wianuszkiem sierpowa-tych nacięć, jak się zdaje, wykonanych rakiem do otwierania komiśnych konserw mięsnych. Wpada w zadumę. Potem, zapalając kolejne cygaro, wygarnia z szuflady plik teczek i luźnych papierów. Grzebie w nich. Gdy jest sam i występuje w charakterze intymno-prywatnym, podkomisarz Bogatović myśli dla siebie samego po chorwacku. Nie kala się jednak nawet w myślach tym językiem w stosunkach urzędowych.

Teraz ostro zaciosanym ołówkiem z gumką na

końcu i skuwką metalową do zatykania za brzeg kieszonki na piersiach munduru  
zakreśla żwawo w wykazie nazwisk poszczególne pozycje. Zagarnia je klamrami  
nawiasów, segreguje. To lista nazwisk Cyganów z niechlubnej dzielnicy  
zamejskiej Csi-gan-varos.  
A zatem, po kolei: Bałaś Andras, Silko Michael, jego młodszy brat, Silko Zarań,  
ich szwagier, o, ten to sobie posiedzi, posiedzi! — Maruta Istvan, a, hul-taj!  
— i jeszcze trzy, cztery nazwiska na chybił-tra-fił. Ich się na wszelki wypadek  
zamknie i solidnie przyciśnie przy okazji przesłuchań. Podkomisarz wie  
wprawdzie, dałby głowę za to, że wymienieni nic nie mają wspólnego z zabójstwem  
swej rodaczki w starej gliniance, lecz można będzie z nich wydobyć zeznania na  
różne inne tematy. Na przykład w związku ze stałymi kradzieżami w tak zwanych  
„szopach niemieckich”. A kto ukradł krowę Feren-ca Ilaticia? Na pewno ze  
strachu któryś z nich się wygada. A ponadto przymknie się ich, by wykazać  
sądowym władzom śledczym, że jednak coś się w tej sprawie robi. Że królewska  
żandarmeria w Fehertemplom nie śpi i nie jest od parady. Że ma rozeznanie w  
środowisku podejrzanym, a nawet zgoła przestępczym. Że podkomisarz Bogatović da  
sobie radę. Ho, ho!  
Ma on od początku własną koncepcję w tej sprawie. O tej głupiej aferze nie w  
porę, niepotrzebnej i błahej — co tam jedna dziewczyna, gdy tu wojna z Serbią,  
a grozi inna — z Rosją, mobilizacja, tyle ważnych spraw państwowej wagi!  
Podkomisarz Bogatović żywi dużą niechęć do braci spoza Dunaju. Teraz niechęć ta  
przeradza się chwilami w nienawiść. Jest to, można by powiedzieć, uczucie  
wyoce patriotyczne, legalistyczne, prawidłowe i całkowicie zrozumiałe po  
zbrodni w Sarajewie. Podkomisarz Bogatović powtarza w myśli modne od niedawna  
hasło: „Alle Serben miissen sterben!” —

i dorzuca drugie, z ostatniej dosłownie chwili: — Jeder Schuss — ein Russ!" Tak być powinno. Gdyby od niego zależało, już by im pokazał, tym komitadżim znad Morawy. Ale należy na chwilę odłożyć sprawy i uczucia wagi państwowej i zająć się brzydką sprawką ze starej glinianki. Bodaj to wszyscy diabli! W takim momencie!

Tu podkomisarz Bogatović zagląda do teczki specjalnej. W niej wykaz nazwisk innego gatunku, na pozór nietykalnych. Pan podkomisarz królewskiej węgierskiej żandarmerii uśmiecha się na widok tej listy. Smakuje, żując koniuszek słomki wetkniętej w cygaro Yirginia, brzmienie nazwisk rodowych, poprzedzonych różnymi von und zu. Kwiat korpusu oficerskiego miejscowego garnizonu, wyborowa kadra, niedostępna jego kompetencji, pogardliwa, lekceważąca go, nie zauważająca istnienia królewskiej żandarmerii, z nim, podkomisarzem, na czele, pańsko-wyniosła, od dawna znienawidzona.

Rozejrzyjmy się no w tym dobranym towarzystwie. Panowie ułani sycylijscy! Ci to stanowczo najgorsi! Z honwedami można się od biedy dogadać od czasu do czasu, zwłaszcza po kilku szklaneczkach śliwownicy, z ułanami — nigdy. Pan podkomisarz na liście sporządzonej nieurzędowo, dla własnego, na pół prywatnego użytku, na wszelki wypadek i okazję, która mogłaby się przy sprzyjających okolicznościach kiedyś nadarzyć, odnotował sobie na marginesie różne obserwacje, rezultaty donosów osób zaufanych, takie różnorakie to i owo. Teraz rozpatruje te notatki własnoręcznie sporządzone. Nachylony nad stołem, rozparty na szeroko rozstawionych łokciach, pociągając dym wonnej "irginii, zagłębia się w tajniki nienawistnej listy, tej elity nietykalnej i niedostępnej dotychczas, ba! — do czasu, do czasu, panowie, poczekajmy tylko, cierpliwości, cierpliwości!... I ostro zatemperowanym ołówkiem zaczyna buszować po wykazie ma-

181

dziarskich, kroackich i niemieckich nazwisk z przydomkami, tytułami i bez nich,

stawiając to tu, to tam, delikatnie, na samym marginesie, znaki zapytania,

wykrzykniki i kółeczka.

Skradając się, żeby nie spłoszyć przeszłości, krok za krokiem, można by wycofać

się z dusznej izby komisariatu na tereny objęte tylko szeregiem trudno

zrozumiałych aluzji zawartych w zielono oprawnym kajecie leutnanta rezerwy,

Emila R.

„Klub elegantów — Raj” — to ślady roku 1912, odbywania służby jednorocznej i

ochotniczej w pułku dragonów stacjonowanych w czeskim miasteczku Cheb, czyli

Eger.

I w tym samym roku rozpaczliwy, niezbyt dla nie wtajemniczonych zrozumiały

okrzyk rozpaczny młodocianego kandydata na c.k. leutnanta: „Koniec złudzeń! A

zatem — poniechajmy dalszych prób! Pozostało wyłącznie najgłębsze obrzydzenie i

niesmak. Wstyd. Oczy tamtej, nie znanej mi nawet z imienia, w których pod

pozorami współczucia — nie, raczej zlekceważenia tego mego niepowodzenia mimo

jej starań, że to przecież nic, zdarza się każdemu, i żebym sobie z tej

przyczyny nie stwarzał jakichś mitów — w istocie leciutka drwinka. Odwróciłem

oczy od tej pogardy w połączeniu z litością z piekła rodem." I data: Eger, 7

listopada 1912.

Kilka kart dalej — zapiski natury publicznej, nie wiadomo czemu włączone w ten

zeszyt intymnych, chociaż aluzyjnych wyznań oraz prób twórczości różnego

rodzaju: „Siódmego października 1911 wyjechał do Trypolisu admirał Borea Ricci

d'Olmo. Kaid Trypolisu, Hassun-pasza, uczestniczył w objęciu władzy w tym

mieście przez władze włoskie."

I obok kilka własnoręcznych szkiców ołówkowych na tematy wojenne, jak się

zdaje, pod bezpośrednim wrażeniem komunikatów wojennych z Li-

182

bii i Cyrenajki. A dalej, z tej samej publicznej materii, na marginesie szkicu

wiersza o Prozerpinie:

„Interesująca próba lądowania dwupłatowca Curtiss na pokładzie amerykańskiej go

pancernika «Pensylwania». Pilot nazywa się Elly. Widziałem jego zdjęcie w «Wiener Illustrierte». Dżuma w Mandżurii" — i tu, wycięte z jakiegoś pisma, zdjęcie wklejone do zeszytu: kilka postaci w białych chałatach, z twarzami owiązаныmi szczelnie chustami, w różnych pozach, wyprostowanych i nachylonych nad noszami, na których leżą zadżumieni. W tle wysoki pióropusz dymu unoszący się nad stosem, gdzie, jak się należy domyślać, płoną zwłoki zmarłych na morową zarazę.

I znów notatka: „Na lotnisku w Issy pod Paryżem katastrofa samolotu wojskowego.

Runął wprost na grupę dygnitarzy cywilnych i wyższych wojskowych, obserwujących powietrzne ewolucje pilota. Premier ranny, minister wojny, Berteaux, zabity.

Całą głowę posiekało mu śmigło spadającego płatowca." Obok data: maj 1911. Następną stroną zajmuje w całości reprodukcja obrazu Edwarda Muncha Czuwanie

przy zmarłym i — nieco mniejsza — jednej z rzeźb Yigelanda. Dopisek na

marginesie: „Cudowne! I jakie przerażające — zwłaszcza Yigeland..." (czerwiec 1911).

Pod datą dwunastego października 1911 zanotowano: „Vivaldi. Koncert C-dur na

obój i orkiestrę. Wspaniale. Szczególnie Largo. Leżę już u siebie w łóżku i

wciąż powtarzam w myśli poszczególne fragmenty."

I dnia następnego (13 października 1911): „Dwa bieguny życia: twórczość i

zniszczenie (zdaje się, zapamiętane z Fausta). Należałoby sprawdzić, kto to

powiedział."

Rok 1913; Wiedeń. „Obejrzałem film reżysera Louis Feuillade pod tytułem

Fantomąs, na razie dwie serie tylko. Boli mnie głowa teraz. Czy film odegra kiedykolwiek jakąś rolę w kulturze ludzkości, czy też pozostanie w

zasięgu jarmarcznych rozrywek lub nieudanych, z góry skazanych na

niepowodzenie, eksperymentów twórczych?"

I dwa cytaty, nie wiadomo skąd: „Die Tochter des Teufels mit den Munden der

Madonna", oraz: „Die Satans Gesandten: Hezeti". — Uwaga ołówkiem na marginesie:

Ba!

I nieco niżej jeszcze jeden podobny cytat: „Das Weib: angesiedelt zwischen den Polen — Teufel und Tier." Obok rysunek ołówkiem, zamazany jednak później i nie do rozszyfrowania. Widoczna tylko data: „potworna noc z siódmego na ósmy listopada 1913."

Data nieco wcześniejsza: kwiecień 1910: „Mimo zaawansowanej wiosny tutaj, w

Tolbach, jeszcze zima. Śnieg leży całymi warstwami, zwłaszcza w cieniu za naszym hotelem, a także pod świerkami za drogą. I przed południem mroźno.

Wyprawa w stronę kapliczki na zakręcie. L. marznie w ręce. Zdejmuje włóczkowe rękawice narciarskie, wciska je do kieszonki futra i dmucha w czerwone zziębnięte palce. Pod wpływem nagłego impulsu, bez namysłu, chwyciłem jej prawą dłoń i zacząłem okrywać pocałunkami jak furiat. Wówczas drugą ręką, wszystkimi pięcioma palcami, przejechała mi po policzku, znacząc na nim czerwone ślady paznokci. Po czym, odtrąciwszy mnie, pobiegła w głąb lasu. Zatrzymała się dopiero pod wysoką, grubą jodłą. Patrzyła w górę. Zawołała na mnie, stojącego na środku pustej szosy: — Chodź no tu szybko! Popatrz, jaka ładna, czarna wiewiórka!... — A po powrocie, w pensjonacie, gdy mama spostrzegła ślady na moim policzku, Teufelchen wyjaśniła bardzo spokojnie, gryząc sucharek umaczany w herbacie i nie patrząc na mnie: — Bo on chciał złapać wiewiórkę i ona,

wyrywając mu się z rąk, tak go podrapała. Dobrze mu tak!... Nic mu

184  
nie będzie, mamó. — Po czym, gryząc nadal swoją grzankę, wzruszyła ramionami.

Mama jednak, mocno zaniepokojona, pobiegła po wodę Burowa..."

„Wiedeń, w marcu, roku... (Pisane przed zaśnięciem: mama w teatrze z panią

Jacobi, Lieschen ma katar i leży w łóżku, Detta bawi się na podłodze lalką,

mruczając do siebie.) Poeci często umierają w młodości, zwłaszcza w czasach

burzliwych (exemplum: Byron). Stają się mało przydatni, a nawet wręcz

zawadzają, wyprzedzając lub wyjaśniając w swym jasnowidzeniu, dla innych

niezrozumiałym, tajemnicze przyszłości, którą planują władcy. W okresach spokoju i sytości trzyma się ich w kojcach i karmnikach, gdzie dziobią nasypane im ziarenka, płucząc perlistym trelem sonetów dziobki zanurzone w miseczkach z wodą ustawioną w kącie klatki. Czasami pożywieniem tym bywa zwyczajny pośląd. Niektórzy potrafią nawet utuczyć się na tym wikcie i dożyć późnego wieku, porastając w sadło i zaszczyty, będące uprzejmą formą drwiny i lekceważenia ze strony społeczeństwa. Zapomni o nich przyszłe pokolenie czytelników encyklopedii powszechnej. Reszta ginie po drodze. Lecz zdarzają się i tacy, którzy usiłują w marszu ku bramie cmentarnej znieść złote jajko. Wołają wówczas radośnie: ko-ko-ko-ko!... — lecz odpowiada im głucha cisza." Obok próba wiersza

(Wiedeń, rankiem, tuż po przebudzeniu, drugiego maja roku...):

O ŚWIETLE ZAPALONYM

I O ŚWIETLE PRZYGASZONYM.

Ruszyło całe państwo cieni — Tobie i Mnie

naprzeciw,

Niebyłość i niespełnienie, które przywołałaś. Płyniemy białą równiną jak

żeglarze, Ja — j kościotrupy jeźdźców na szkieletach koni, W pustkę ogrodów

więdnących i opadłych liści. Amazonko na czarnym koniu w czarnej kapie.

Niesiesz kapelusz z piórami. Skraj krynoliny zwisa bokiem z siodła na srebrny

czaprak. Lewa stopa

185

w białym kościanym strzemieniu naprasza się ustom. Miękka atlasowo, wygięta w

łuk. Żywa. Unosisz w rękawicy białej białą dłoń ukrytą. W niej młot na długim

drzewcu. Uderzasz nim w dzwon nocy. Requiem aeternam — Mortuus enim.

Requiescat.

Cały ten wiersz przekreślony na krzyż, i dopisek ołówkiem: „Chybiona próba. Nic

z tego nie wyszło. A zdawało mi się w pierwszej chwili, gdy pisałem w

pośpiechu, przepisując dosłownie zapisane w myślach w ciągu nocy — że

schwyciłem Boga za nogi!... Przetłumaczyłem nieudolnie, jak się okazuje, obraz

jakiegoś malarza na temat marsza żałobnego."

I bez daty, nerwowym, ledwie czytelnym pismem:

„Gdy tak na pół siedziałem na skraju łóżka, nachylony nad książką, uchyliły

się nagle bezszelestnie oba skrzydła drzwi pchniętych leciutko i ujrzałem w

nich L. Stała w obcisłych jedwabnych białych pantalonach sięgających do

kolan — nowość otrzymana od pani J. z jej ostatniej podróży do Paryża, służąca

dotąd wyłącznie do «żywych obra-zów» — a na ramiona narzucone coś bardzo

koronkowego, pełnego falbanek jak piana, i to coś tworzyło dokoła jej szyi

rodzaj szerokiej kryzy czy obroży. Stała boso, patrząc na mnie w

milczeniu. Podniosłem głowę, również milcząc, a wówczas L. pokazała

mi język i powoli, wycofując się, przymknęła obie połowy drzwi od sypialni.

I jeszcze jedno: przez cały czas tej krótkiej i zupełnie niemej sceny, od

chwili otwarcia drzwi do zamknięcia tych «wrót piekieł<sup>^</sup>, dochodziła skądś

muzyka. Ktoś w sąsiedztwie grał na fortepianie barkarolę z Opowieści Hoffmanna,

i na jej tle — oczy L., zwięzające się w dwie podłużne kocie szparki sięgające

chyba skroni, coś z ptaka niezawodnie, lecz zarazem chyba i kota, wzrok

wyrażający jak gdyby —

180

mimo iż nie widziałem dokładnie jej źrenic — nieco drwiny, a może — pomyślałem

struchlały — wyzwanie i zachętę? Jej oba ramiona przytrzymały rozchylone

skrzydła drzwi, głowa zaś, na tle światła sypialni, niemal czarna, lecz cała w

aureoli papilotów prześwieconych blaskiem żyrandola..."

I w dalszym ciągu:

„Grand Prix de France: 1911, Mans, dwudziestego trzeciego lipca: Hemery na

Fiacie jako pierwszy. Drugi: Friedrich na Bugatti 1400 cm. Prix l'Auto--Dieppe:

Bablot na Delage. Pierwszy, inauguracyjny raid — «rallye hivernal de Monaco —

wygrał Henri Reugier na Turcat-Mery. Brawo! Miał jechać mój znajomy, Willy

Kottfuss, ale jego Puch w ostatniej chwili zawiódł i biedaczysko dojechał



zaledwie na przełęcz Brenner. Dostałem stamtąd od niego rozpaczliwie-komiczną

kartkę z relacją o tym pechowym rajdzie."

(Notujmy, notujmy skrzętnie, gdyż nic się już nigdy nie powtórzy! Jest jedyne i

nieodwracalnie pierwsze i zarazem ostatnie w swym kształcie i swym wyrazie.)

Zatem należy się śpieszyć, aby nadażyć za upływającym.

Die Ur-Schichten.

Skradając się, żeby przypadkiem nie spłoszyć, nie znieważać jakąś niestosowną

uwagą, niewłaściwym komentarzem, głośniejszym oddechem czy przypadkowym

kasznięciem, cofamy się do źródeł. Można zatem podejść do któregoś z

parterowych okien willi przy Seebachergasse 3, w mieście Grazu, i wyrzeć. Jest

tam, jak wiadomo, niewielki ogródek otoczony murem porośłym winem i

caprifolium, które właśnie zakwitło i festonami pnączy sięga niemal trawnika. I

kasztan cały w kwieciu. I rok któryś tam. Dawno.

Słońce i cisza w ogrodzie. Domyślamy się, iż pań-

187

stwo mecenasostwo R. wyszli z niedzielną popołudniową wizytą do znajomych,

służba zaś ma wychodne. Dlatego tak pusto i dlatego tak cicho.

Na środku gazonu Detta, młodsza z sióstr R., na czworakach. Jej rozpleciony

warkocz koloru młodej marchewki spływa po prawym policzku i ramieniu aż w

trawę. Nad Dettą jej starsza siostra, Lieschen. I brat ich, Emil, gdzieś

z boku. W caprifolium. w pełnym słońcu, roją się owady, brzęcząc. Kilka

pszczół szumi również nieco wyżej — w gałęziach kasztana. Jego sterczące w górę

biało-różowe kandelabry i kinkiety włączają się jako tło i rekwizyt do obrazu

pamięci Emila R. Zostaną utrwalone i wrosną w spektakl odbywający się

na trawniku. Niby dekoracja, a poniekąd i milczący chór grecki. Lieschen stoi

nad młodszą siostrą na szeroko rozstawionych nogach. Ma na sobie szkocką

kraciastą sukienkę z kieszonkami naszytymi po bokach. Obie piąstki wbiła

głęboko w kieszenie, rozpychając je na boki. Patrzy z góry, władczo i w

milczeniu na siostrę. Jest w swej pozie nieco chłopakowata i kanciasta. Czujna

i poważna.

Emil R., w mundurku wychowanków konwentu ojców jezuitów w Kalksburgu, stoi

nieruchomo z boku, milcząc. Na oko można mu dać najwyżej dziesięć, no, może

jedenaste lat. Jest to wysmukły nad wiek, anemiczny i bardzo ładny chłopiec o

włosach blond i jasnoszarych oczach z długimi dziewczęcymi rzęsami. Stoi w

cieniu kwitnącego kasztana i pozostanie tam przez cały czas eksperymentu

rozgrywanego na trawniku, biernie przyglądając się, jakby na marginesie

wydarzeń, pozornie nie zauważany przez obie siostry. Obok — na ścieżce —

zielona ręczna polewaczka do kwiatów, z sitkiem.

— Zakwitnijże! No! Zakwitaj prędzej, na co czekasz? — powtarza uparcie

Lieschen, wciąż stojąc nad Detta, spoglądając na nią z góry. Detta ani razu nie

podniesie wzroku na siostrę. Lieschen tupie te-

188

raz to jedną, to drugą nogą. Żadna z dziewcząt nie spojrzy na stojącego obok

Emila. Z opuszczonymi po bokach ramionami, napięty i czujny, wygląda na' nieco

przestraszonego. Ale to zapewne pozory. Premiera ogrodowa. Dotychczas te sprawy

załatwiało się w wielkim salonie od frontu.

— A teraz zrobimy grządkę — decyduje Lieschen i w podskokach biegnie w stronę

klombu irysów. Przystaje tam, namyślając się chwilę.

— O, tutaj! — decyduje. Więc Detta posłusznie podpełźnie na czworakach w tamtym

kierunku, ciągnąc za sobą rozpleciony warkocz. I ustawi się prawidłowo, wedle

rytuału ustalonego przez Liesbeth.

Czasami Detcie wiąże się z tyłu ręce. Nie, żeby zapobiec jakimś próbom

sprzeciwu, o tym nie ma w ogóle mowy, lecz jako część obrządku, żeby był —

wedle słów Lieschen — „bardziej dorosły i na serio”. To pomysł zaczerpnięty z

jakiejs ilustracji podpatrzonej w piśmie dla dorosłych. Potem jeszcze kilka

równie rytualnych słów przestrogi: — No bo gdyby coś... — tu zawieszenie głosu

i mina Lieschen nic dobrego nie wróżąca — to ci przypominam, że coś tam wisi za

szafą na gwoździu w kredensie...

Mowa jest o trzepaczce. Takiej do dywanów i polstrowanych mebli. Na wspomnienie jej istnienia Detta kurczy łopatki i jeszcze niżej pochyla do ziemi głowę.

Teraz dotyka niemal nosem trawy. Trzepaczka to, jak wiadomo, rodzaj wiolinowego klucza, występującego samodzielnie w nutach, a także w formie bardziej namacalnej, jako szamerunek na czerwonych pantalonach królewskich honwedów.

Jest elastyczna i giętka. Posiada dar Przyklejania się wprost do ciała, gdy odpowiednio J ej użyć. Lieschen wie o tym, jej siostra również. -Ułatego teraz tak się cała kurczy i zaczyna nawet leciutko dygotać. Emil stoi z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami i patrzy milcząc.

Gdyby wpełznąć pod stół w salonie, pod nawis  
189

obrusa z frędzlami jak pod skrzydła namiotu, można by dotknąć przynajmniej wskazującym palcem, jeśli nie udałoby się obwieść nim całego wzoru wiolinowego ornamentu, splecionego z czarnych i złotych nitek. A wszystko to na górnej powierzchni uda siedzącego przy stole huzara, na udzie naprężonym teraz i twardym jak drewno. Każdy ruch ręki sięgającej do kart taroka, każde sięgnięcie do odłożonego na moment na popielniczkę cygara powoduje dodatkowe naprężenie tego mięśnia huzarskiego, czego • doświadcza teraz, obmacując je dokładnie palcami, siedmioletnia córeczka gospodarzy, panna Elżbieta. Emil i Detta nie ośmieliliby się nigdy na coś podobnego. Obserwują wyczyny starszej siostry z kąta salonu w zgrozie i milczeniu. Detta otworzyła szeroko błękitne oczy, wielkie i okrągłe, dziecinne i ufne. Emil złożył ręce pobożnie, jakby się modlił o zbawienie duszy Teufelchen, bezapelacyjnie skazanej na wieczne potępienie. Już w tym czasie ma pierwsze lekcje religii z ojcem Cornelusem Blattem, przyszłym — za kilka lat — spowiednikiem, więc wie, co grozi za takie sprawki. Spod zwisającego nisko obrusa widnieją tylko nogi

Lieschen. Jedna za drugą nikną po kolei pod stołem. Major huzarów jest jednak tak zajęty grą w taroka, iż nie zauważa leciutkich dotknięć na prawej, a potem i lewej nodze. Zresztą dzieci wkrótce pójną spać. To było dawno, kilka lat temu. Teraz — w ogrodzie — Lieschen ma już trzynaście lat i na ogół nie ma zwyczaju wpełzania pod stoły, przy których siadają goście państwa R. To już inna epoka, inna skala zainteresowań, inne rodzaje gier towarzyskich.

Klucz wiolinowy nasunie Liesbeth myśl o nucie muzycznej w skali między górnym c a nagłym stoczeniem się po trawiastym stoku w dół — ku nucie a-moll chyba. Więc aż gwizdnie na tę odkryw-

190

czą myśl. Gwizdnięcie to podobne jest do głosu ptaka, na przykład wilgi, o wczesnym świtaniu w srebrze rosy na liściach i przecieraniu powiek. A także i dreszcz wewnętrzny, powstrzymywany siłą woli, dygot u Emila, którego wciąż obie siostry niby to nie zauważają. Nie jest wykluczone, iż będzie zmuszony odejść na chwilę, zniknąć z pola widzenia bawiących się na trawniku dziewczynek, ukryć w krzewie jaśminu pod murem, z którego spływają kaskady caprifolium w migotach owadów, by dopiero po chwili wyjść z ukrycia z myślą o popełnionej zbrodni śmiertelnego grzechu, z którego przyjdzie mu zwierzyć się ojcu Corneliusowi

Blat-towi z Towarzystwa Jezusowego.

Uklęknie przy konfesjonale, za którym dojrzy przez kratki ruch dłoni księdza, jego wzniesione suche palce, rysujące w powietrzu znak krzyża. I będzie się wikłać w zeznaniach, bojąc się zataić grzech od niedawna wciąż ponawiany, groźny i śmiertelny, grożący jakoby ślepotą, a może i obłąkaniem. Wyzna go w końcu nie dość jasno i precyzyjnie, zdławionym szeptem, w formie oględnej, lecz dla ojca Corneliusa Blatta wiadomej: — znów się brzydko bawiłeś! — I ojciec Blatt westchnie za kratkami konfesjonału. Potem wymamroce słowa jakiejś

łacińskiej modlitwy. Zamyśli się, nim zbliży usta do kraty, za którą, wspinając się na wyprężonych kolanach, by dosięgnąć uchem szeptu księdza i niczego nie zagubić z nauki spowiednika, czeka na wyrok Emil. Może tą łacińską, zapewne średniowieczną modlitwą ojciec Cornelius Blatt odgania diabła, który się wkradł do świątyni i -węsząc snuje się między rzędami pustych o tej godzinie i

mrocznie czarnych, dębowych klęczników i ławek?  
Rodzaj egzorcyzmu nad głową zagubionego, klęczącego teraz w pokorze i wstydzie.

W poczuciu jeszcze groźniejszego w skutkach grzechu niż ten  
191

wyznany: zataił bowiem przyczynę. Ani słowa o źródle upadku. O obu siostrach. O

Lieschen przede wszystkim. Więc odejdzcie od konfesjonału w głąb mrocznej nawy

Sanct-Leonhard Kirche jak istota bezpowrotnie potępiona.

Klucz wiolinowy, a także klonowy liść. Byle należycie podeschły, nie wiotki,

lecz dostatecznie sztywny, a zarazem elastyczny. Zakończenia palcza-stych

rozgałęzień liścia mogą służyć do różnych celów. Jak kocie pazurki. Lieschen

już o tym pomyślała. Takie pomysły rodzą się u niej przed zaśnięciem. Gdy

zmówiwszy pod okiem panny Traut pacierz wejdzie pod kołdrę i zwinąwszy się w

klębek, z kolanami pod brodą, zaczyna myśleć. I często coś nowego istotnie

wymyśli. Nowy wariant, jakiś interesujący, dotąd nie stosowany szczegół

jutrzejszej zabawy. Zdarza się, że Detta, zasypiająca już spokojnie na

sąsiednim łóżku, usłyszy stłumiony kołdrą naciągniętą na głowę chichocik

siostry. Tak śmieją się diabły. Wówczas zaczyna drżeć. Brak jej twórczej

wyobraźni, by przewidzieć, co ją czeka nazajutrz. Ale wie, że coś się na pewno

wydarzy. Myśli o siostrze ze strachem i szacunkiem. Jest to zapewne również

rodzaj zajadłej psiej miłości, a także urzeczenia. I Detta, usypiając, ponawia,

zbytą poprzednio byle jak, modlitwę o zbawienie duszy Lieschen. Modli się po

cichu kornie, szczerze i pobożnie.

Taki klonowy listek w rękach Liesbeth zamienia się w narzędzie eksperymentu natury dotykowej. Gdy go się przyłoży ostrożnie do nagiego ramienia młodszej siostry, po odgarnięciu ku górze rękawa bluzki, wywoła on na karku i między łopatkami Detty krótkie spięcie — wynik raczej oczekiwania z zaciśniętymi ze strachu powiekami niż istotnego bólu czy laskotania — dreszcz przeleci po jej policzku, po szyi o naprężonych żyłach i zgubi się gdzieś nisko, na plecach.

Lieschen, stojąc nachylona

192

i zgięła w pasie, wciąż w tej szkockiej sukience, nad siostrą przysiadła w trawie, przesuwa listkiem w górę i w dół, tam i z powrotem, od dłoni w stronę łokcia i wyżej. W okolicach łokcia, od wewnątrz — Lieschen już o tym wie, sprawdziła na sobie — znajdują się najbardziej wrażliwe miejsca na skórze.

Gdzie indziej — szkoda czasu, nie warto nawet próbować.

— No, jak tam? — dopytuje się, trzymając liść za suchy ogonek w dwu palcach.

Detta coś mruczy niewyraźnie. Lieschen zaczyna być zła. Niecierpliwi się: —

Czujesz czy nie? Bo poszukam czegoś innego, domyśl się sama czego. — Lieschen

uśmiecha się, we własnym mniemaniu złowroźnie i okrutnie. Marszczy czoło nad

jasnymi, rzadkimi brwiami. Oczy jej — szeroko rozstawione — zwężają się do

rozmiarów podłużnych szczelinek. — No?...

Lecz oto zauważyła coś tak ciekawego, że odwraca się od siostry i uśmiecha się,

możliwie jeszcze jadowicie i demonicznie.

Bo oto na kwiecie rosnącym na wiotkiej i długiej łodydze, kilka zaledwie

centymetrów od lewego ucha klęczącej w trawie Detty, sadowi się w tej chwili

krępy czarno-kosmaty trzmiel.

Bucząc gniewnie, szamoce się wśród płatków uparcie nie dających się rozchylić.

Wetknął już do środka łeb i, szumiąc, gnieździ się, rozpychając na boki łapami

liliowe płatki. Łapy „pana trzmiela”, któremu Lieschen składa głęboki ukłon, są

grube i sękaty, pokryte czarnym szorstkim puchem. Być może i niewielkimi

haczykami. Trudno jednak sprawdzić, w obawie, by nie spłoszyć miłego gościa.  
— Witam łaskawego pana! — pozdrawia go Lieschen. — Jak to dobrze, że pan raczył

do nas przybyć. W jakim humorze, jeżeli wolno zapytać?  
I Detta też widzi trzmieła. Obserwuje go kątem oka, wstrzymując ze strachu

oddech. Z tak małej odległości owad wydaje jej się olbrzymi.

13 — Król Obojga Sycylii jgg

„Pan trzmieł”, gdyby tylko zechciał, mógłby bez trudu jednym susem przenieść

się z kampanuli wprost na jej ucho lub policzek. Na samą myśl o tym Detta

wstrząsa stłumiony szloch. Po jej policzkach spływają łzy. Lieschen trąca ją w

czoło szpicem trzewika. Przykłada palec do warg, marszcząc gniewnie czoło: —

PstL.

Trzmieł zdołał już wcisnąć się niemal całkowicie do wnętrza kwiatu. Tylko para  
tylnych łap oraz koniuszek mechatego odwłoka sterczą stamtąd. Odwłok ten kurczy

się i wydłuża, jakby pulsował. Widocznie „pan trzmieł” dobrał się do miodu i

porusza pyszczkiem. Zapewne dlatego jego odwłok tak się nadyma i unosi

tryumfalnie do góry. Owad poprawia się co chwila, podciąga, rozstawia łapy. Są

na nich istotnie niewielkie haczyki, można je teraz obejrzeć bez obawy i z

bliska. Lieschen przykuca przy kwiecie. Cała trójka rodzeństwa czeka, aż

trzmieł naje się, wypłacze spośród płatków i, być może, zdecyduje się przysiąść

na uchu Detty, na jej odsłoniętym i nachylonym karku, w najgorszym razie na

ramieniu. Żeby odpocząć po uczcie, wyszu-mieć się w słońcu po zmaganiach z

niesforną kam-panulą.

Wiadomo zaś, że Detta najbardziej obawia się właśnie trzmieli. Nawet kosmate

gąsienice, zwane przez Lieschen „futerkowymi”, których hodowlę zamierzała

założyć z myślą o siostrze, nie sprawiają jej takiej udręki, nie napędzają tak

panicznego lęku.

Emil przeczuwa, co się wnet stanie. Widzi już gęsią skórę na ramieniu młodszej

siostry. Powyżej łokcia skóra jak gdyby nagle zmatowiała, stając się wyraźnie

szorstka. Emil, przeniknięty wewnętrznym drżeniem, czeka na chwilę, aż owad raczy się nareszcie zdecydować. Ale on bez pośpiechu myje teraz dwie przednie łapki i pyszczek, siedząc na łądydze kwiatu. Emil wie, czym się to skończy: 194

spełnieniem, wniebowstąpieniem. w chwili bolesnego upojenia i w udęcę. Modli się w duchu, by owad zrezygnował i odleciał. Żeby to, co będzie znów musiał wyznać ze wstydem ojcu Corneliusowi, ominęło go tym razem.

„Pan trzmiel”, gdyby łaskawie zechciał — tu Lieschen ponawia paniński dyg, ujawszy w dwa palce skraj sukni i z gracją cofając lewą nogę do tyłu z nachyleniem głowy — mógłby nawet zapuścić żądko w ciało Detty. Najlepiej w koniuszek jej różowego ucha widoczny spod opadających włosów, wcale smaczny kąsek, miękki i pulchny, albo też w jej górną wargę, nieco teraz bezwólnie wysuniętą w oczekiwaniu na pocałunek żądko.

Ale czy trzmiel posiada żądko? Wyczytaliśmy niedawno w Lehrbuch der Zoologie Schmeila, że podobno, niestety, nie. Lieschen, znów przykucnięta i wpatrzona w trzmiela, składa ręce jak do modlitwy. Owad przestał już myć pyszczek i siedzi teraz n:eruchomo, naburmuszony i osowiały. — Może zbyt się objadł? — martwi się Lieschen. A skoro brak mu żądko, więc może ukąsi przynajmniej? Ale czym? Czy posiada drobniutkie żądko lub rodzaj ssawki albo ryjek jak mucha? Otto Schmeil utrzymuje, że nie. Ale czy to już nie zbyt przesada, kłamstwo dorosłych, by nie zastraszać dzieci i każdą bajkę skończyć w sposób pogodny, ckliwo-dobrotliwy? W każdym razie pozostaje zawsze jeszcze, w najgorszym wypadku, sama kosmatość trzmiela, jego kolczastych łapek i tułowia, a zwłaszcza prężna ruchliwość odwłoku, nieco wprawdzie słabiej uwłosionego, za to wykonującego, jak to widzieliśmy przed chwilą, zabawne ewolucje.

Potrafi nadymać się i unosić sztywno w górę, a potem wiotczyć nagle i powoli opadać. To też coś warte chyba. - No rusz się wreszcie, ty leniwcze! -



zachęca go Lieschen, wciąż przykucnięta przy kampanuli, na którą siedzi  
owad. Zniecierpliwiona, podnosi się  
195  
i z emocji zaczyna przebierać nogami, Detta, w narastającej panice, kątem oka  
śledzi trzmieła. Odczuwa jednocześnie, nie zdając sobie sama z tego dokładnie  
sprawy, skrycie pragnienie męki i ofiary.  
Lieschen marszczy piegowaty nos. Pociąga nim, nie mogąc użyć do otarcia palców,  
jak to zwykle czyni, z obawy, by nieostrożnym ruchem nie spłoszyć owada, który  
jak na złość nie może się na nic zdecydować. — No, no! - szepce Lieschen,  
bardziej w myślach niż szeptem, mimo iż porusza wargami, marszcząc brzo-  
wki. Detta, która od dobrej chwili zacisnęła powieki, modląc się w duchu, czuje w  
tym momencie, jak kurczy się jej przelyk i sztywnieje język. Pełno go już w  
ustach, nie mieści się w nich, jakby nagle spuchł. Wyraźnie zawadza, ocierając  
się o dziąsła i podniebienie, bije w nie jak obce twarde ciało, usiłując  
wcisnąć się do przelyku, a nie mogąc się obrócić i zwinąć wskutek  
zobrzymiałych rozmiarów, decyduje się na gwałtowny skok do przodu — między  
zęby i wargi — przez usta na zewnątrz. I oto sterczy już jego czerwony  
koniuszek, z którego ścieka w trawę po brodzie dziewczynki gęsta kropelka  
śliny, niby lepki miód. Jednocześnie Detta dostaje drgawek.  
Wówczas Emil R., drżąc, odwraca się, zakrywa twarz obu rękami i zataczając się,  
odchodzi w krzewy tureckiego bzu. Lieschen, stojąc na jednej nodze, z drugą  
ugiętą w kolanie i uniesioną, odwraca powoli głowę i patrzy w ślad za bratem.  
Tylko Detta nic w tej chwili nie widzi, zajęta sobą. Wstrząsają ją krótkie  
spazmatyczne drgawki. Ma powieki nadal kurczowo zacisnięte. Spoza nich spływają  
po policzkach łzy. Lieschen, zniecierpliwiona i rozdrażniona, tupie nogą i woła  
na siostrę: — Pst! Cicho!... — i nawet, zwrotem zasłyszonym na ulicy: — Stulże  
mordę na kłódkę, ty!... - i nadal obserwuje brata, wykręcona teraz w pasie,  
stojąc w miejscu,

poważna i skupiona. Poza gęstą kępą bzów, które zaczynają zakwitać, można będzie widzieć plecy młodzieńca ubranego w granatowy mundurak wychowanka Kalksburga, nawet srebrne Gardelitzen naszyte na błękitną patkę jego kołnierza. Ruchy ramion i pleców. Może nawet dojdzie uszu siostry cichy, ledwo słyszalny, stłumiony jęk, a raczej westchnienie. Lecz może być to również złudzenie lub też zmaterializowane w pisk myszy lub szczura pragnienie Liesbeth, by coś podobnego usłyszeć. Wtedy jej wargi rozchylają się w uśmiechu. („Lieschen, ach, Lieschen — popatrz, popatrz tutaj!...”)

Więc zwabiona oczekiwanym dźwiękiem Liesbeth, być może, pobiegnie zaciekawiona do tureckiego bzu, i tam, wspiąwszy się na palce, będzie obserwować brata poprzez gęste gałązki pokryte rudo-wiśniowymi pękami kiści. Będzie bacznie śledzić całą tę sprawę, wciąż uniesiona na końcach palców, trzymając dłoń na ustach. Potem wycofa się tyłem, ostrożnie, po cichutku, i jeszcze raz skarci siostrę, przykładając palec do warg: - Ccichoże ty!... -Trzmiel zaś dawno już odleciał. Pusty dzwonek kampanuli kołysze się jeszcze na wiotkiej, wydłużonej łodydze, ale jest pusty. Będzie jeszcze wykonywał swoje wahadłowe ruchy, gdy Emil R. wyskoczy spoza krzaka bzu i nie patrząc na obie siostry wbiegnie po schodkach ganku do wnętrza willi, minie dwa pokoje, by w swoim rzucić się na łóżko ukrywając twarz w poduszce, wybuchnąć płaczem. ujec Cornelius Blatt przyjmie penitenta jak zwy-dzi <sup>TM</sup>leczoem> w sobotę. Wysłucha jego spowie- : !loze wyczuje jakieś nie wyznane szczegóły, riatt r10' dotąd nie znane- Zada wie.c kilka d» aucowych pytań, których wolałby uniknąć. I, nie dSn W^y wyJaśnienia. Pomyśli może, iż mło-leenn W zwykłeJ aurze wieku, w jakim ^ 14 się różne pokusy wyobraźni. Grzech oka 197 i grzech ucha. „Jeśli gorszy cię oko twoje — wy łup je!” — pomyśli, być może, lecz nie wypowie na głos, by do reszty nie pogrążyć skruszonego. Zada mu

pokutę, trzy Av2, i podawszy do ucałowania dłoń owiniętą stułą, zapuka w kratki konfesjonału. Młodzieniec Emil odejdzie w głąb mrocznego kościoła pod wezwaniem świętego Leonarda. Klęknie w jednej z ławek. Tu i ówdzie palą się przy bocznych ołtarzach czerwone lampki oliwne. Jakaś staruszka skulona nieruchomo o parę ławek za nim. I narastający strach wewnętrzny. Milczące w zgrozie i potępieniu stalle, milczące, \ puste już konfesjonały. Szerniały Chrystus na wielkim, również czarnym krzyżu. Barokowe, pofałdowane, złożone szaty jakiegoś brodatego świętego, jakby zmierzwione wiatrem piekielnym. Więc młodzieniec Emil wstaje i wędruje na palcach po pustym kościele. Jego kroki na kamiennej posadzce wzbudzają piwniczne echa. „Świątokradca!” — powtarzają czarne kaplice, tajemnicze zakamarki, pogaszone świece w lichtarzach. Mija obraz, który oglądał już wielokrotnie: Sąd Ostateczny, Piekło. Mówił o nim na wielkanocnych rekolekcjach ojciec Blatt. Odmalował tę wizję ognistego paleniska rojącego się od robactwa, kipiącego od gotującej się smoły. I wieczne wyrzuty sumienia! Wysychanie ciała, mięśni, oczu, wędnięcie kolejnych organów w ciągu nieskończoności męki. Nieskończoność!... Rok, dwa, no, od biedy dziesięć lat — może sobie wyobrazić, ale czym jest nieskończoność? Przyleganiem palców dłoni do rozpalonej blachy? Slepnięciem oczu? Pustką wypełnioną krzykami potępionych? Nie kończąca się bezsennością wspomnienia? Czy pamięć życia przetrwa, czy zmaleje do wielkości pustej łupinki laskowego orzecha? I czy — , tu pamięć nasuwa ilustracje Dorego do luksusowego wydania Boskiej komedii leżącego w salonie rodziców obok innych albumowych wydawnictw — 198 czy napotka w galeriach piekieł Lieschen? Jako diabolicę? Jako strąconego do otchłani anioła? Jako bezokie widmo w czarnym kwefie? Jako ptaka, a może kota? Jako czarnego owada?

Obraz w bocznej nawie Sanct-Leonhard Kirche jest bardzo stary. Pochodzi z epoki kontreformacji, panowania Ferdynanda II. Są tam wyobrażone skały, z których szatani widłami strącają w przepaść wypełnioną płomieniem nagie splecione postacie potępieńców. Spoza najwyższej skały wychyla się ręka uniesiona gestem wyroku. Samotna, nieproporcjonalnie wielka dłoń najwyższego sędziego, ręka Boga. W piekielnej rozpadlinie błakają się również psy. Wychudłe, podobne do szakali, a może hien. A także kot o płonących oczach i kilka szurów. Górą latają nietoperze i sowy. Jedna z wiedźm cwałuje w dół, spada w przepaść siedząc okrakiem na czarnym koźle. Cała piekielna fauna figuruje stłoczona tu, spleciona i przeganiająca się w tym powszechnym wyścigu na dno. Lecz dna nie widać. Może malarzowi nie starczyło wyobraźni, może nie chciał obrazić oczu wiernych aż takim bezceństwem.

Emil R. stoi w szkolnym mundurku i patrzy. Tam gdzieś, na samym dole, istnieje jednak jakieś dno. A może piekło w ogóle nie ma dna i na tym właśnie polega wieczna kara potępienia? Beznadzieja? Nieustanne spadanie, staczanie się z piętra na piętro, i wciąż nie ma tego wyczekiwanego dna, końca, możliwości wytchnienia bodaj w najgorszym, lecz jednak wytchnienia? Ruch wiecznego opadania?

Po latach, w sykstyńskiej kaplicy, stojąc z zadar-3 głową, pomyśli na widok arcydzieła z innej epoki i mnogo wymiaru: „Piekło jest piękne!” - lecz tutaj, w mrokach Sanct-Leonhard Kirche, Emil czuje się bardzo nieszczęśliwy.

si   rc?ciwszy do domu nie może zasnąć. Przewraca z boku   na   bok, drząc

mimo ciepłej majowej

199

nocy. Przeżywa wizje piekła. Rano, przy niedzielnym śniadaniu, panna Traut

zauważa jego podkrążone oczy i w trosce o ulubieńca próbuje wypytywać. Emil

milczy, przetykając z trudem kakao. Czuje mdłości.

Jest już po rannej mszy, w czasie której przystąpił do sakramentu komunii. Do

ostatniej chwili walczył z sobą. Groził mu bowiem grzech najcięższy i niewybaczalny, przeciwko Duchowi Świętemu. A on z całej Trójcy wydaje się najgroźniejszy, bo nieludzki w swej ptasiej postaci, pozbawiony ludzkich oczu i błysku wybaczenia w nich. Przyjmując hostię, Emil popełni świętokradztwo. Lecz trudno wycofać się. Ojciec Cornelius Blatt odprawiał tę ranną mszę dla młodzieży szkolnej w bocznej kaplicy. Zna swych uczniów. Wie, komu udzielił wczoraj łaski przebaczenia, zmazania wyznanych w skrusicie grzechów, od kogo otrzymał przyrzeczenie poprawy, komu zadał jaką pokutę. Emil patrzył na ojca Corneliusa, gdy ten odwracał się twarzą ku wiernym. Ojciec Blatt widział na pewno klęczącego wychowanka. Gdy zaś podszedł do balasek wyslizganych od rąk, nakrytych wąskim pasemkiem płótna obszytego koronką, poszukał oczyma wśród oczekujących w skupieniu na przyjęcie ciała Bożego w formie opłatka również i jego. Nie mógł zapomnieć, iż wczoraj udzielił Emilowi rozgrzeszenia, a zatem? Tak, lecz wyłudzone podstępnie — myślał Emil — nie wyznał bowiem wszystkiego. Zataił najważniejsze. Nie było w kornym obnażeniu się przed spowiednikiem tego, co najistotniejsze, bo najgroźniejsze: narastającego, wypełniającego go po brzegi, wylewającego się na zewnątrz źródła grzechu. Nie było w tym wyznaniu piekła szczęścia, które osiągnąwszy szczyt, stacza się za każdym razem w bajoro poniżenia i wstydu. Nie było oczu oczekującej w podnieceniu na ten moment siostry. Lecz to

200

jeszcze nie w pełni uświadomione i skonkretyzowane poczucie jej w tym udziału.

To jeszcze wczesne pokłady. Die Ur-Schichten. Więc wtedy gdy już w niejasnym poczuciu czegoś, co w nim narasta, on doszukuje się w tym czymś groźnym, lecz na pół świadomym wyłącznie własnej słabości — wróciwszy do ławek, w ukryciu, nachylony, wypluwa hostię do czystej chusteczki złożonej w zaprasowany kwadracik. Przed minutą, stosownie do przepisów, trzymał

ją pod brodą, klęcząc w szeregu innych chłopców, by gdy mu ksiądz ją poda, nie upadła przypadkiem na ziemię. W poczuciu narastającej grozy zaniesie ją, owiniętą szczelnie, do domu. Będzie ją czuć w kieszonce na sercu w czasie picia kakao. Obie siostry, rozgadane, kłójące się z sobą o jakiś drobiazg, Lies-chen jak zwykle nieznośna, Detta stale pokrzywdzona i bliska łez, nie będą zwracać uwagi na chmurnego, niewyspanego brata. I on nie podniesie na nie wzroku.

Fraulein Traut rozdzieli bijące się siostry.

Emil zamierza zakopać nocą w ogrodzie spluga-wioną świętokradztwem hostię. Czy już się to najgorsze dokonało, czy, wobec tego, że jej nie połknął, stało się tylko pośrednio, nie ostatecznie, nie bezapelacyjnie? I czy w związku z tym istnieje dla niego jakiś ratunek? Może sto lat czyśca? Bodaj 1 tysiąc lat, byle nie tamto z obrazu i słów ojca Blatta — wieczyste staczanie się w dół bez dna. Emil R- nie śmie się modlić z obawy przed popełnieniem dodatkowego grzechu — w braku dostatecznej żarliwości uczucia — pokalania słowem. Siedzi więc nad kubkiem kakao z nisko nachyloną głową. Przed matką i Fraulein Traut udaje silny ból głowy. Więc zostaje w domu mimo pięknej pogody, gdy obie dziewczynki wybiegają z piłką do ogrodu. On, nie śmiać nawet wyjrzeć do nich przez okno,

leży odwrócony twarzą do ściany z termo-  
201

metrem pod pachą i kompresem na czole nałożonym przez zatroskaną pannę Traut. Potem nadchodzi wreszcie wyczekiwany wieczór. Emil R., gdy wszyscy w domu już posnęli, a szafkowy zegar w pokoju jadalnym wybije północ, wymyka się w płaszczu narzuconym na nocną koszulę w ciemny ogród pełen pełzających widm. Każdy krok kosztuje rok życia. Każdy krok po ścieżce, tak znanej za dnia, teraz czarnym zaułku wijącym się w ciemnościach. Gdzie zakopać świętość? Pod tureckim bzem? Kwitnie o tej porze. Rudawokrwa-wy za dnia, o tej godzinie na tle nieco jaśniejszego nieba obwieszony czarnymi gronami niby gniazdami sępów. Może

siedzą tam istotnie sępy, uśpione, upiorne, z dziobami zanurzonymi w pióra  
sterczące na podgardlu, z bielkami na oczach i gołymi pomarszczonymi szyjami  
starych czarownic. Duszne zapachy kwiatów, żar jak z pieca, a tuż obok zimne,  
wiejące przy ziemi przeciągi. W stronie śródmieścia niebo rudawe, jak gdyby  
płonęła na nim luna. Miasto jeszcze nie śpi. Od strony Hilmteichu dolatują  
dalekie echa walca. Jest przecież niedziela i ludzie bawią się tam jeszcze.  
Skradając się na palcach, przezwyciężając narastający strach, Emil, uczeń  
drugiej klasy gimnazjum, idzie krok za krokiem w głąb czarnego ogrodu. Za dnia  
niewielki, teraz wydaje się bezkresny jak puszcza.  
Emil klęka, przykrywa hostię porzeczkowym listkiem, przysypuje garścią sypkiej,  
wilgotnej od rosy ziemi, przyklepuje rękami. Podnosi się, stoi chwilę,  
nasłuchując. Cisza zupełna, nawet muzyka z Hilmteichu zamilkła. Emil puszcza  
się pędem w stronę domu. Zziąjany, przystaje na ganku. Słyszy, jak serce bije  
mu gwałtownie. Coś szeleści w trawie, w czarnych, przyczajonych jak do skoku  
krzewach. Mysz, a może jaszczurka? Wydaje mu się, że krzaki odrywają się od  
ziemi i zaczynają zbli-  
202  
żać się do niego, by go osaczyć. Boso, na palcach, w nocnej koszuli wraca do  
pokoju. Siada na skraju łóżka. Drży z zimna, aż podzwaniają mu zęby.  
Po pewnym czasie decyduje się wrócić na miejsce, gdzie zakopał sponiewieraną  
świętość, żywe ciało Chrystusa. Sprawdzić, czy nie zakradły się mrówki i nie  
profanują relikwii. Albo mysz, zwabiona nieznanym zapachem. Siadła na tylnych  
łapach, a przednimi zajadle rozgrzebuje niewielką mogiłkę. Wsparta na  
wyprężonym ogonie, ni to wiewiórka, ni to maleńki diabeł, szybko przebiera  
łapkami.  
Więc, przełamując strach, Emil wraca, wykopuje hostię, dmucha na nią, wyciera o  
skraj podwiniętej nocnej koszuli, odnosi do domu. Wkrada się do łazienki,  
opłukuje umazany ziemią skarb w umywalni, próbuje wysuszyć na ręczniku. Niesie

do pokoju i ukrywa w wyścielonym bibułką pustym pudełeczku po zapalniczkach. Na wieczku rysuje kredką krzyż. Ale długo nie może zasnąć. Sprawdza, czy pudełko jest na swoim miejscu, pod poduszką. Czy to odpowiednie miejsce? Może popełnia kolejny grzech, spoufalając się z tym, co powinno przebywać jedynie w monstrancji, w samym środku złotego słonecznika, wśród lśniących promieni? Emil

budzi się i zasypia na krótkie, pełne gorączkowych majaków chwile. Rano postanawia spalić hostię. Tak będzie chyba najlepiej. I natychmiast

przeżenie: palić żywcem ciało Chrystusa? O czym ja myślę?! A nazajutrz będzie poniedziałek i uderzy w szyby ciepły wiatr wróżący

deszcze, i stanie się rzecz najgorsza, jaka mogła się wydarzyć: Lieschen

odgadnie tajemnicę brata i zgłosi się jako partner do tego, co uznała za

znakomitą przygodę. Wróciwszy ze szkoły, cisnąwszy byle gdzie tornister,

przyłapuje brata przed obiadem, gdy rodziców jeszcze w domu nie będzie, i

drżąc z ciekawości, aż się jej oczy

i 203

od tego iskrzą, szepnie, przytrzymując go za rękaw mundurka:

— Przyznaj się! Byłeś w nocy w ogrodzie? PO-L wiedz... Kłamiesz! Bałbyś się.

Co? No to mi zaraz pokaż tamto, bo inaczej nie uwierzę...

I gdy Emil pod wpływem całkowitego upadku ducha, w stanie bezwolności po

bezsennej nocy, milcząc, pokaże siostrze pudełeczko z nakreślonym na nim

krzyżem, ona wyrwie mu je i podskakując z uciechy, ucieknie z nim do swego

pokoju. Tam dopędzi ją brat. Będzie usiłował odebrać jej drewnianą trumienkę,

maleńkie tabernakulum, sanktuarium swego nieszczęścia, lecz mu się to nie uda,

gdyż Lieschen, zwinniejsza od niego, wskoczy na łóżko i trzymając pudełeczko w

obu uniesionych rękach, tańcząc, będzie się śmiać, przedrzeźniając płaczliwe

blagania brata. Wówczas on przed nią padnie na kolana. Lieschen zaś zeskoczy z

łóżka i piszcząc z radości, pogna w stronę kuchni. Przystanie zdyszana dopiero

w ciemnym przedpokoju, przyciskając pudełeczko do piersi. Tam, zupełnie

złamany, odnajdzie ją po chwili Emil. Lieschen powie:



— Podzielimy się, chcesz? No, tym... Tym, co w środku. Pół na pół. Zgoda? Emil raz jeszcze spróbuje ubłagać siostrę. Zdecyduje się na szarpaninę, by jej pudełko wyrwać z zaciśniętej piąstki. Ale ona jest od niego silniejsza. Chowa ręce za plecami i odtrąca go kolanem i łokciem. Po chwili szamotania Emil rezygnuje. I stanie się, że Lieschen otworzy, mimo protestów brata, drewnianą trumienkę, wyjmie z niej owiniętą w bibułkę hostię i będzie starać się zjeść ją. Lecz w ostatniej chwili rozmyśli się. Wsunie ją na języku i każe bratu odgryźć kawałek, a on w chwili zupełnego zatracenia posłusznie uczyni jej zadość.

A właśnie ktoś w tym momencie zadzwoni do drzwi wejściowych i służąca wołając:

— Idę już, idę! — ukaże się na progu kuchni, wycierając mo-

204  
krę ręce w fartuch. Więc tamci dwoje przylgną do siebie, starając ukryć się w ciemnym kącie przedpokoju pod szaragami/na których wiszą palta. Obok chińskiego wazonu z całym kompletem lasek ojca. Jest tam i ta słynna laseczka pana mecenasa R., Izę srebrną głowa charta i monogramem. Historyczny rekwizyt ich dzieciństwa. Laska — świadek. Laska — berło. Laska — pastorał. I dwie kolorowe zwinięte parasolki matki. Płaszcz, w których się ukryją, wydzielają znajome domowe zapachy: perfum matki i cygar ojca. Lieschen szepnie wprost w ucho brata, przytrzymanego dla pewności ręką za szyję: — Widzisz sam. Stało się. No to jesteśmy kwita. Tego właśnie chciałam. Teraz uważaj, bo jeśli mi się w czymkolwiek sprzeciwisz, wszystko wygadam. Mamie, tatce i księdzu też. Temu lysemu. Wiem, że go się najbardziej boisz. Pójdiesz i tak na pewno do piekła, ale to nic. Trudno. Phy... Ja tam się piekła wcale nie boję. To, zresztą, nie moja wina, to, coś zmajstrował... No, że zwędziłeś tamto... To, cośmy oboje zjedli... W razie czego wyprę się i tak wszystkiego. I nie próbuj naskarżyć, że to ja stłukłam flakon mamy...

A po chwili, sycząc mu prosto w ucho i przestę-pując z nogi na nogę:

— Jak będziesz posłuszny i będziesz robić wszystko, co ci każe, to — kto wie —  
może nawet zostanę twoją żoną... Jeszcze się nad tym zastanowię... A teraz  
zmykaj stąd, bo mama wróciła.  
Emil milczy. Stoi chwilę jeszcze w tym samym miejscu, tuż pod letnim paltem  
ojca, po czym powoli odchodzi do swego pokoju. Ma pustkę w głowie, a ręce  
spoczone i zimne. Będzie je wycierać ° spodnie i kapę turecką na łóżku.  
Gdy to się stało przed wielu, wielu laty, Emil ukończył jedenaście lat, jego  
siostra Elżbieta trzynastie. Był maj roku 1904, wyjątkowo słoneczny i ciepły. W  
parku publicznym Hilmteich bzy i ja-  
205  
śminy zakwitły jak nigdy. Trzecia armia japońska generała Nogi obiegnęła Port  
Arthur. Toczą się zaciekle walki o fort Wodoprowodnyj. Na wewnętrznej redzie  
portu sterczą z wody maszty i kominy zato-i pionego pancernika „Rietwyzan” i  
krążownika pan-J czernego „Bajan”. W górach za rzeką Jalu gwardii japońska  
generała Kuroki ściga cofające się w niej-ladzie wojsko generała Zasulicza.  
Bleriot dopiero z\$. cztery i pół roku przeleci kanał La Manche. Jeste^—śmy w  
pięćdziesiątym szóstym roku panowania cef sarza Franciszka Józefa i w trzecim  
Edwarda VII, króla Wielkiej Brytanii i cesarza Indii. Prezydentem Francji jest  
pan Emile Loubet, austro-wę-gierskim ministrem wojny generał artylerii jego  
ekscelencja Heinrich von Pitreich, szefem sztabu zaś generał baron Friedrich  
von Beck. Nie wiemy dokładnie, czy żyje jeszcze Swann, natomiast księżna Oriana  
de Guermantes rozsiewa wciąż wokół siebie czar urody i wdzięku, a Guillaume  
Apollinaire, syn pani Kostrowickiej, zostaje redaktorem pisma „Guide des  
Rentiers”. W maju tego roku odbędzie drugą z kolei podróż do Anglii i  
zapropnuje Annie małżeństwo, a ona go odrzuci. Napisze w związku z tym faktem  
poemat pod tytułem La chanson du mal-aime, który młody Emil R. przeczyta  
dopiero po upływie siedmiu lat i zachwyci się nim do tego stopnia, że nie uśnie

tej nocy aż do chwili, gdy słońce wschodzące ozłoci szyby jego pokoju w pen-

sjonacie Frau Hilde Schautzi w Grado, Adriatyk zaś przybierze barwę masy

perłowej.

Szybko zmierzamy ku końcowi.

Przyjdzie nam wnet opuścić wypalone słońcem, zasnute sytkim kurzem

Fehertemplom, pełne bogatych banackich Niemców i nagich Cyganiątek, jego

zasłany odpadkami melonów i kawonów rynek i akacje o pękających w upale

szczerniałych strąkach, rozsiewających dokoła siebie niewielkie ziarenka podobne

do skarłalej soczewicy.

206

Wnet wybije godzina odjazdu; Ostatnie konie, rowadzone za uzdy

przez ułanów sycylijskich,

stąpią po drewnianych pomostach do wagonów. Semafor za stacją, za magazynami

kolejowymi i bud-dróżnika podniesie w górę zielone ramię. I jesz-

e ktoś wychylony z wagonu zakrzyknie: eljen! a l može i živio! — i pociąg

wojskowy, transport numer... łamany przez... minie ostatnie zwrotnice stacji

kolejowej Fehertemplom. Auj Wiedersehen, Ungarisch Weissliirchen! Glick auf!

' Jutr o będzie już tylko przestrzeń mijana w łoskocie kół o spojenia szyn i

rytm przyspieszania pociągu narastający w groźne grzmoty rozmnożone echem jak w

studni, gdy pociąg będzie mijać przejazdy, rampy, skrzyżowania i rozwidlenia

torów na mijanych w pędzie banackich stacyjkach ukrytych w gajach akacjowych i

morwach, na równinie Vojo-diny, budki strażników kolejowych ze stojącymi na

baczność dróżnikami dzierżącymi w prawicy okrągłe tarcze na kijach,

landszturmistami w cywilu z czarno-żółtymi opaskami na rękawach. Brodaci i

wąsaci, stare roczniki, węgierscy i chorwaccy chło-Pi> Cyganie i Żydzi, banaccy

Niemcy zmobilizowani od kilku dni i przydzieleni do ochrony linii kolejowych —

Der Eisenbahnsicherungsdienst — salutują przelatujący w pędzie pociąg.

A należy pamiętać, iż transporty wojskowe będą tędy przelatywać jeden za

drugim, dzień i noc, dzień i noc bez przerwy w krótkich odstępach, i że ludzie

miejscowi gromadzący się przy kolejowych rampach na przejazdach będą wznosić różnojęzyczne okrzyki, powiewając kapeluszami, czapkami i chustkami — Eljen a kirdlyi! Heil! Zivio! — sycylijscy ułani zaś, siedząc w otwartych drzwiach towarowych ^ wagonów „vierzig Mann und sechs Pferde”, spuściwszy na zewnątrz nogi w czerwonych spodniach i wysokich butach z ostrogami, będą się odkrzykiwać węgierskim i chorwackim chłopom,  
207  
a już zwłaszcza hożym dziewczynom, które w chichotach i wzajemnym trącaniu się łokciami będą w udanym zawstydzeniu kwitować śmiechem przysłanianym dłonią soczyste, madziarskie, zrozumiałe dla nich słowa i zwroty, życzenia i propozycje, usły szane w szybkim przelocie pociągu. Czyjś gest pon ich adresem zauważony w drzwiach wagonu, który już właśnie minął, i tylko zostanie po tym gości obraz, nikły ślad i jego pamięć krótkotrwała, któija wróci jednak, być może, po latach, może dopiero w starości: czarne podkręcone wąsy i otwarte w okrzyku czy śmiechu czerwone pod nimi wargi jadącego na wielką wojnę junaka. I nieskromny gest jego palców.  
Pociąg zaś już daleko, przeleciał, mignął w oczach osób stojących przy torze, z łoskotem i w śpiewach, w pozatykanych w każdą szparę gałęziach i wiązankach polnych kwiatów, napisach kredą na wagonach, zapowiedziach tryumfów i bliskiego zwycięskiego powrotu, litery M.A.Y., znak przynależności do królewskich kolei węgierskich, i K.u.K.St.B. — austriackich, wagony, wagony, wagony, a na ostatnim zatknięta chorągiewka i latarnia na haku kołysana rytmem pociągu. Pociąg będzie zmierzać z łomotu w łomot do odległego celu, do jakiegoś kresu, gdy chłopci i chłopaki, starcy i dzieciarnia zaczną się powoli rozchodzić spod kolejowej rampy, wzdychając i komentując fakty, jakie nastąpiły jeden za drugim, jakie się mnożą w plotkach i przepowiedniach, szeptach i wyrzekaniach od paru dni, ściślej, od mobilizacji najbliższych korpusów — siódmego i

trzynastego, jak również i czwartego — i kierowania ich ku ośrodkom koncentracji armii dowodzonych przez generała piechoty, wielkorządcę Bośni i Hercegowiny, Oskara Potiorka, gdzieś nad Dunajem, Sawą i Driną. Pociąg nasz będzie już wtedy zapewne mijać most 208 zawieszony wysoko nad torem biegnącym w wykopie, kamienny wiadukt, a na nim wóz widziany przez jadących ukośnie i od dołu, w skrócie. Będzie to, wcale zaledwie kilka sekund, lecz w pamięci jadących pozostanie ten obraz: wóz pełen zżętej kukurydzy, zaprzężony w dwa długorogie węgierskie białe woły, a także sylwetka chłopca w spiczastej czapce i granatowym fartuchu, widzianego pod słońcem, zupełnie czarnego w pozornym bezruchu, jak czarny cień na białym tle upalnego nieba. I już huk, przeraźliwy szczęk i łoskot, gdy wagony będą w pędzie mijać żelazną kratownicę mostu w blaskach i migotach słonecznych rażących oczy, i rzeka pod mostem w dole, oglądana przez siekaninę stalowych przęsła, i woda szeroko rozlana, zbeltana i żółta, niosąca piany i gałęzie po niedawnej powodzi w dolinie Dunaju. A po brzegach wikliny i jakaś dziewczyna po kolana w mętnej wodzie, piorąca bieliznę, teraz na chwilę zapatrzona w przelatujący nad nią pociąg, machająca ręką do ułanów widzianych przez nią od dołu: rząd czerwonych spodni i butów, czyjaś wychylona ku niej, ogorzała i lśniąca od potu wąsata twarz i usta otwarte do okrzyku czy pozdrowienia. Ale nic nie usłyszy, bo taki huk i łomot tam w górze, na trampolinie wysoko zawieszzonego nad wielką rzeką stalowego mostu, i echo od niego w dole, nad wodą. Most przeleciał, minął, znikł za zakrętem torów, więc dalej i dalej — poprzez zżęte kukurydziane pola, rżyska zasnute pyłem i drgającym z upału powietrzem niby mgiełką. Most już pusty nad żółtą rzeką. W jego kratownicy trwa jeszcze echo. A za mostem — równina aż po horyzont. Kilka suchych sterczących badyli na miedzy

i nachylony słonecznik, i daleko w polach sylwetki ludzi tam idących, trudnych do rozpoznania z tej odległości. Srebrno-zioty horyzont lata na banackiej

równinie. I kilka wysokich samotnych stert pszenicznych na widno-

H ~ Kr61 Obojga Sycylii 209

kręgu. A tuż-tuż wysoki nasyp, zakurzony i I upał w trawach i chwastach.

Transport przeszedł. Wojskowy. Numer..., liczba ściśle tajna, łamana przez...

Przeszedł. Trzy koperty do otwarcia po otrzymaniu zaszyfrowanej depezy. Każda mijana stacja posiada w kasie pancfer-nej takie trzy zalakowane koperty.

Pierwsza, białe, do otwarcia i zastosowania na hasło „Topola”. Druga, błękitna,

na hasło telegraficzne „Szent Istvan”. Trzecia, szkarłatna, na hasło „Arpad”.

Podzwaniają na mijanych stacyjkach aparaty telegraficzne: Tu Nagy Palonta, tu

Nagy Palonta: Transport wojskowy numer... przeszedł. Transport numer...

przeszedł. — Dziękuję, odebrałem. Tu dyżurny ruchu, zawiadowca stacji w...,

Fahnrich, Kalay Imre. Tu Kalay Imre. Przyjąłem, przyjąłem. — Mówi Nagy Palonta.

Mówi Nagy Palonta.

Gdzieś hen, daleko, z basenu portu w Pola, wychodzi w morze o tej godzinie,

prując stalowym dziobem zielone fale Adriatyku, „S.M.S. Tegetthoff”, a w ślad

za nim „S.M.S. Kaiser Karl der Sechste”. Za nimi kilka torpedowców i jedna łódź

podwodna. Kierują się w stronę wyspy Pelagosa.

Rosja zarządza powszechną mobilizację. Ambasador niemiecki w Petersburgu,

Pourtales, pełen dystynkcji i ugrzecznienia, składa ultimatum. Ściemnia się.

Gdzieś w stronie Zatoki Kotorskiej błysnęło. Potem rozlega się grzmot, którego

zwielokrotnione echa powtarzają skaliste rozpadliny i rumowiska góry Lovcen.

Oficer czarnogórski obserwuje przez lornetkę stało wozi elonkawę, mroczne dno

zatoki. Potem schodzi w dół po stromej ścieżce. Za chwilę zniknie w gęstwinie

szarosrebrnawych zarośli, które będą się jeszcze jakiś czas kołysać, zamykając

się zwartą ścianą po jego przejściu.

Egon Erwin Kisch, przyszły kronikarz tych pierwszych miesięcy serbskiej

kampanii, jest w tej chwili jeszcze w mieście Pisek. Przybędzie nad Sa-węli Drinę dopiero za dwa, trzy dni wraz z całą dziewiętnastą dywizją. Jest znajomym, a nawet przyjacielem podporucznika rezerwy, Zdenka Ko-coui-ka. Lecz ich drogi w tych dniach sierpniowych skrzyżują się i rozminą. Gdy Kisch będzie zbliżać się ku ujściu Driny do Sawy, Zdenek Kocourek wraz z całym dwunastym pułkiem ułanów, w składzie ósmej brygady kawalerii dowodzonej przez pułkownika von Wojciechowskiego, pojedzie na północ, by dwudziestego czwartego sierpnia wsiąść z wagonu na stacji Lubaczów w Galicji. Nocą z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy pod Posa-dowem zastąpi mu drogę biała pani. Nadejdzie tanecznym krokiem, wyłaniając się z nocnych sosnowych zagai wypełnionych falami płynącej mgły, i położy mu białe dłonie na oczach. Lecz wydarzy się to dopiero za dwadzieścia kilka dni.

Na razie pociąg jedzie jeszcze przez żyzną równinę naddunajską. Regimentsarzt Oplustil w wagonie drugiej klasy zdejmie za chwilę połowę czapkę oficerską o barwie ochronnej hechtblau, z bączkiem i monogramem cesarskim, matowym i również polowym, wojennym i ochronnym. Otrze zapewne pot z czoła, gdyż upał tego dnia będzie jeszcze chyba bardziej nie do wytrzymania niż dzisiaj i bardziej nieznośny wewnątrz dusznego coupe niż na zewnątrz. Gdy z niejakim trudem opuści okno na pasie z zielonego haftowanego srebrną nicią gurtu, nieco wystrzępionego i pokrytego kopciem z lokomotywy, może się okazać, iż jednak skwar panujący na zewnątrz jest równie nieznośny, przesycony Ponadto pyłem wzniesionym przez szybko jadący po-C1L1g i czadem z komina, a także wonią suchych, startych na miał łodyg kukurydzianych, unoszonych całymi tumanami w powietrze. Więc przyjdzie mu zamknąć okno.

Wówczas zapewne oberleutnant Iks oraz leutnant

rezerwy Ypsilon zaczną dla zabicia czasu drąc w skata, labeta, a może nawet —  
dobrowszy partnerów — w taroka. I oni też, podobnie jak biedny doktor Oplustil,  
który już ledwie dyszy, będą mieć twarze czerwone, spęczniałe od upału i  
lśniące od potu. Rozepną kołnierze, zdejmą pasy. Czuć będzie w zamkniętym  
przedziale woń męskiego potu zmieszanego z wodą kolońską i zapachem juchtu, z  
którego uszyto polowe pasy oraz rzemienie do szabel, dostarczone przez magazyny  
mobilizacyjne w mieście Temesvar. Dołączy się dym z cygar i papierosów Memphis,  
a także tytoniu Pursiczán. Pałasze w szerokich, pokrytych ochronną farbą  
pochwach złożono już dawno na siatkach. Będą teraz pobrzękiwać na każdym  
zakręcie, za każdym zwrotem pociągu, stanowiąc stały i monotony akompaniament  
długiej drogi. Natomiast czarna skóra, którą obite są kanapy w przedziałach  
drugiej klasy, będzie również odgrywać pewną niezależną rolę w tej symfonii  
podróżnej, wydzielając bardziej dyskretną, niemniej dającą się wydzielić z  
całej gamy innych zapachów, specyficzną i znaną od dzieciństwa woń kolei  
austro-węgierskich, panującą na przestrzeni od stacji granicznych Eger i Passau  
na zachodzie, po Temesvar, Arad i Nagy Varad na wschodzie, tak jak wprawne ucho  
potrafi wyłowić dźwięki wybranych dowolnie skrzypiec z całości symfonicznej  
orkiestry, nawet gdy tych skrzypiec będzie kilkanaścioro.  
Tak będzie jutro, pojutrze, może dopiero za trzy dni.  
A w tej chwili do wagonów podstawionych na rampę bocznicą kolejowej w  
Fehertemplom po drewnianych pomostach ładują się kolejne szwadrony, plutony i  
jednostki pomocnicze. Zawagono-wanie odbywa się w porządku regulowanym  
pokrzykiwaniami kaprali i wachmistrzów, rozkazami i klątwami w językach  
madziarskim, niemieckim  
i kroackim. Konie wstępują ostrożnie, stawiając świeżo podkute kopyta na  
nachylonych ukośnie deskach z nabitymi na nie cienkimi poprzeczkami. Mimo to



niektóre konie boją się, tulą uszy, opierają się i płoszą. Najbardziej narowistym trzeba przysłaniać oczy. Żołnierze uspokajają je, poklepując po karkach, trzymając krótko w lejcach. Konie wstępują z upału w upał. W zaduch wagonów nagrzanym długotrwałym postojem w pełnym słońcu. Na niektórych dachach roztopiła się smoła i cieknie czarnymi smugami. Tworzą się lśniące jaskrawo plamy, zacieki i desenie. I czuć sadze, jak również środki dezynfekcyjne, którymi skropiono wnętrza wagonów. Ich drzwi i zakratowane okna umajają ulani gałązkami lipy i miłorzębu. Widać także akację i wielkie, nie zwiędnięte jeszcze słoneczniki. Niektóre wagony będą nad ranem wyglądać jak zielone altany. Lecz słońce pali tak mocno, iż istnieje obawa, że za godzinę lub dwie liście powiędną i zwisną na obnażonych gałęziach. Może zaledwie kilka słoneczników przetrwa do jutra podróży. W kolejności załadowują się: pierwszy szwadron rotmistrza Malatery, drugi rotmistrza Istvana Kóronyi, trzeci — dowodzony przez rotmistrza hrabiego Kray von Kraiova. Do wieczora zawagonuje się chyba cały pierwszy dywizjon. Ale kiedy nadejdzie rozkaz wyjazdu? W ciągu nocy, a może dopiero jutro z rana? Nikt nie wie. W pokoju kierownika ruchu postukuje telegraf i snuje się biała taśma. Ruch na bocznic kolejowej trwa od świtu, gdy jeszcze nieco rosy lśniło na osiach i zderzakach wagonów, na dachach i kratkach okienek i kiedy w cieniu można było odetchnąć świeżym porannym powietrzem, wiejącym od rozległych łąk ciągnących się aż po Dunaj. Ruch ten będzie trwać nieustannie poprzez białe godziny południa i zapewne aż do nocy, gdy na czarnoaksamitnym niebie ukażą się 212 wysokie konstelacje gwiazd. A kiedy zapadnie całkowita ciemność i świecić będą tylko zielone i czerwone oczy semaforów, a w ich blaskach połyskiwać będą tu i tam wyslizgane krzywizny szyn przy zwrotnicach, a nad nimi sygnały tychże zwrotnic, pionowo lub poziomo ustawione białe prostokąty na kanciastych

głowicach, wyglądające jak zakwiecone postacie jakichś mnichów rozstawionych pojedynczo i po dwóch i dających sobie niezrozumiałe, tajemnicze znaki oczami, nadejdzie chwila wytchnienia. Czasem podniesie się tam, daleko, za magazynami sprzętu kolejowego, ponad koronami czarnych drzew, semafor. Przyglądający się załadowaniu trzeciego szwadronu, przechadzający się po peronach i torach podporucznicy Zdenek Kocourek i Emil R. zwrócą uwagę na dziwaczność majaczących w mroku sygnałów na zwrotnicach. To Kocourek przyrówna je do mnichów. Przystaną pod akacją rosnącą obok ciemnego zamkniętego magazynu. Będzie tam lśnić między szynami tłusta i tęczowa kałuża rozlanej nafty. I jakiś podпиты człowiek, zataczając się, będzie iść tuż za parkanem dzielącym tereny kolejowe od ogródków Temesvar utca. Potem człowiek ten zniknie w ciemnościach.

Daleko, w mieście, zaszczeka pies.

Emil R. wypowie wtedy kilkakrotnie już powtarzaną myśl, iż oto oni obaj w tej właśnie chwili, dwaj podporucznicy rezerwy rzućni tutaj dziwnym losem, wyrwani z normalnego życia, uczestniczą biernie w zdarzeniu nader ważnym: nie jest nim, wbrew pozorom, wybuch wojny z Serbią, a nawet nieunikniona, jak się zdaje, wojna z Rosją, ba, może i wojna powszechna, wobec tego że Francja, a zapewne i Anglia, może i Włochy — nie, nie o to idzie przede wszystkim, istnieje problem znacznie ważniejszy: jesteście, stojąc tu obaj na stacji w tym niewielkim

banackim miasteczku, świadkami końca

214

dziewiętnastego wieku. - Czujesz powiew tego odlotu? - zapyta Emil R., a jego przyjaciel Zdenek Kocourek żywo zaprzeczy. Wedle niego wiek dziewiętnasty zgasł, zmarł na uwiad starczy własną śmiercią z chwilą, gdy Lautreamont napisał swoje wiekopomne dzieło, wbijając słup milowy w dzieje myśli ludzkiej, więcej - wyobraźni górującej nad myślą — jednym słowem, kiedy ukazały się Les chants de Maldoror. A może już wtedy, gdy zakwitły Kwiaty zła Baudelaire'a?... W każdym

razie gdzieś w tamtych latach. My - powie Kocourek \_ obaj narodziliśmy się w dwudziestym wieku. Poprzedni - wiek pary, elektryczności i teorii Karola Marksa — urodził się w chwili zburzenia Ba-stylii, zmarł, kiedy powstała nowa epoka w sztuce, nowa myśl twórcza w muzyce i malarstwie, gdy obrazy Davida i Delacroix okazały się muzealnym rupieciem, a po wizjach Van Gogha, nad Sekwaną, w malarskich pracowniach, narodził się pierwszy obraz kubistów. Czytałeś przecież nowe le Musila Vereinigungent Widziałeś ostatni katalog dołączony do zeszytu „Die Fackel”? A widziałeś obrazy Bracque'a? A Picassa? Przecież wysłałem ci jeszcze z Pragi na twój wiedeński adres kilka reprodukcji przywiezionych z

Paryża.

Lecz Emil R. nie daje się przekonać. To, co od tej chwili, której jesteśmy

świadkami, a także biernymi uczestnikami, nastąpi — jest wielką niewiadomą.

Tunel, do którego wjeżdża nasz staroświecki Pociąg. Ein Bummelzug. Czy pociąg

ten wyjedzie po drugiej stronie tego tunelu? I czy w ogóle istnieje jakaś druga

strona? Odgrywamy na tym peronie, w tej chwili, rolę raczej żalostną. Wyobraź

sobie, ty, któremu nie brak przecież wyobraźni: spełniamy rolę uczestników

pogrzebu. — *Nous sommes les croques~mort, tous les deux.* Trzymamy w dłoniach

niewidzialne gromnice. — Po czym dodał: — *Solferino.* - Zenek Kocourek milczy.

Gdzieś daleko,

215

przy ostatniej zwrotnicy, na wysokim semaforze zapala się czerwone światło.

A w wagonach stojących długim szeregiem na jednym z torów, w parszaniu koni i

postukiwaniu kopyt oraz podzwanianiu łańcuchów, zabłysną tu i ówdzie ogniki

papierosów i padnie na szuter pełen czarnych oleistych plam nikły odblask

latarni, które ułani zapalą w wagonach. I ktoś w jednym z dalszych wagonów

zacznie śpiewać tęskną madziarską pieśń.

Gdy podporucznik Zdenek Kocourek będzie wracać z grupą oficerów ze stacji ku

koszarom, spoza balkonu na pierwszym pięttrze jednego z domów przy Kerestesz utca numer cztery, z wnętrza pokoju, dopłyną słowa piosenki: „Nahorny, Nahorny, czemuś mnie porzucił?”

Któryś z idących w ciemności oficerów przystanie i zapyta drugiego, kto to tak śpiewa, a tamten, bardziej, jak widać, zadowolony w tym mieście, objaśni kolegę, że dom, z którego dobiega śpiew, to miejski areszt. Tam siedzą schwytane na jakichś sprawkach prostytutki. — Ta, co teraz śpiewa, to Kroatka, znam ją, nazywa się Desza — i informator tak świetnie orientujący się w sprawach miasta Ungarisch Weisskirchen, inaczej Bela Crkva, roześmieje się na głos. Zawoła coś po kroacku do śpiewającej dziewczyny. Oficerowie przystaną w pobliżu balkonu domu przy Kerestesz utca cztery. Podniosą głowy, nasłuchując.

Ale śpiew zamilknie, natomiast w jednym z okien ukażą się głowy i rozlegną śmiechy.

Oficerowie ruszą przed siebie. Jeden z nich zaproponuje, czyby przed bliskim wyjazdem nie spędzić wspólnie wieczoru, a gdy będą odpowiednie warunki i nastrój, także i nocy, w lokalu matki Rozsa. Tam urzędują cztery panienki, a teraz i piąta, sprowadzona przez mamę Rozsa aż z Aradu, w związku z przewidzianym wzrostem frekwencji.

216

Lecz gdy tam dojdą, gwarząc na różne tematy, okaże się, że od dziś rana lokal matki Rozsa podlega prawom wojny. Na parterze urzęduje sanitatsfeld-webel Augustin Prchlička, w białym fartuchu i z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie polowej bluzy. Na widok wkraczających do lokalu panów oficerów wstaje zza stolika, przy którym urzęduje, i słuźbiście salutuje. Lokal pozostaje w dyspozycji komendy miasta. Rzecz jasna, iż dla panów oficerów... Lecz on, feldfebel Prchlička, musi uprzedzić, że są tam na sali również podoficerowie miejscowego pułku artylerii honwedów, zatem...

Na stoliku, przy którym u wejścia do lokalu urzęduje pan feldfelbel sanitarny, stoi słoje z mętnym fioleto-czerwonym roztworem kaliohipermanga-nicumu i leży spora kłoda waty. Na ścianie przybito pluskiewkami zarządzenie regulujące na wypadek wojny porządek i warunki korzystania z lokali tego typu, przewidziane dla austro-węgierskich sił zbrojnych. Sanitatsfeldwebel Augustin Prehlička ma spore podkreśnione wąsy i jowialną, życzliwą twarz. Panowie oficerowie sycylijscy stoją, wahając się. Bo skoro weszli już tam jakimś prawem honwedzi... Lecz w tej chwili, niosąc świecę w srebrnym lichtarzu, schodzi z pięterka matka Rozsa. Ma na sobie szlafrok w kwiaty i pantofle obite białym króliczym futerkiem. Wysokie obcasy postukują na schodach. Matka Rozsa rozaniela się na widok stałych i dobrych klientów. Wykonuje coś w rodzaju panieńskiego dygu, po czym, rozłożywszy ramiona, zbliża się, jakby chciała objąć nimi i zagarnąć całą wahającą się gromadkę ułanów. Jakżeżby! °la starych przyjaciół? Dla nich zarezerwowała własny prywatny salonik na pięterku, wpuszcivszy tamtych - mowa o honwedach - do sali na parterze z bufetem. Jest tam z nimi gruba Mariszka i dwie inne, na panów oficerów zaś oczekują już, Przystrajając się - tu ścisza głos do szeptu, mrużąc

217

gdzieś na obszarze królestwa Czech i Moraw, regulamin, którego jest stróżem i egzekutorem, w miejsce języków węgierskiego i chorwackiego zawierałby tekst czeski.

Gdy w przedsionku wciąż jeszcze Prehlička, salutując, zagradza drogę do rajuciek cielesnych trzem oficerom artylerii honwedów, na samej górze, na poddaszu, w małej izdebce z niewielkim okienkiem wyciętym w skośnym dachu, teraz zasłoniętym firanką w czerwone róże i zielone gałazki, trzy panienki zarezerwowane przez matkę Rozsa dla stałych i najlepszych klientów, panów oficerów pułku ułanów sycylijskich, trefią się przed występem: fertyczna

czarnobrewa Ilonka, nieco zbyt już chyba pulchna i z tej zapewne przyczyny leniwa i flegmatyczna Klara oraz Erzsika, gwiazda „Orfeum” z Arad, przybyła do Fehertemplom na gościnne występy z dobroci serca, nie mogąc odmówić wezwaniu matki Rozsa, która ją przed dwoma laty — można to śmiało powiedzieć — wprowadziła w świat, udzielając prostej, wiejskiej dziewczynie rad i pouczeń, tworząc z dziecka ludu coś w rodzaju primadonny zakładu. W tej chwili wszystkie trzy, zgodnie z tym, o czym zapewniła panów oficerów matka Rozsa, czynią ostatnie przygotowania na przyjęcie gości, upodabniając się w tym zajęciu do panierek z najlepszych mieszczańskich domów, z emocją i niejaką tremą spędzających ostatnie minuty naprzeciw lustra przed pierwszym w życiu bale. Mocując się ze sznurówką gruba Klara błaga o pomoc obie koleżanki. Obok oparłszy nogę o brzeg fotela z wyprutym i zdartym obiciem, mała Erzsika usiłuje zapiąć podwiązkę nabytą w Arad, czerwoną i ozdobioną rodzajem kokardy czy róży uszytej ze szkarłatnej gumy elastycznej. Podwiązki te prezentowała przed minutą obu koleżankom, z satysfakcją stwierdzając, iż uzyskała to, czego oczekiwała: okrzyki zachwytu i zawiści. I senna, leniwa Klara, i ognista Ilonka, nachylone i przejęte, obmacywały cudo pochodzące z miasta Arad, nabyte tam w sklepie niejakiego Dumitrescu, najlepszym magazynie konfekcyjnym w tym mieście. Przesuwały spodem dłoni po napiętych na udzie Erzsiki szkarłatnych taśmach rozwidlających się ku uchwytom wykonanym z błyszczącego jak autentyczne srebro metalu, próbowały nawet pstrykać elastyczną gumą, wydając okrzyki zachwytu. Erzsika wyjaśniała z dumą: one pochodzą wprost z Budapesztu. Ilonka karbuje czarne włosy spadające aż na ramiona. Za chwilę przewiąże je szkarłatną wstążką, którą rozprasowała żelazkiem stojącym jeszcze na desce pod oknem. Klara, uporawszy się w końcu przy pomocy obu koleżanek ze sznurówką, ściśnięta w pasie tak, iż ledwo oddycha, pudruje przed lustrem różowy dekol.

Trzyma w dwu palcach olbrzymi łąbodzi puszek unurzany w różowym pudrze.  
Przypalone rurką do karbowania czarne włosy Ilonki wydają woń spalonego  
kauczuku, woda w miednicy ustawionej na podłodze kołysze się  
jeszcze, pełna mydlin, śmiechy zaś całej trójki dziewcząt przywołają  
tu na moment kelnera i zarazem, za czasów pokojowych, odźwiernego tego zakładu,  
łysego i kostycznego Joszkę. Wsadziwszy głowę w uchylone drzwi pokoiku  
na mansardzie, wypowie kilka słów po madziarsku, które cała trójka panienek  
pokwituje jeszcze hałaśliwymi wybuchami śmiechu. Jedna z nich zacytuje jakieś  
węgierskie przysłowie, które zgorszy nawet starego kelnera. Więc pogrozi  
im palcem, a potem, splunąwszy z obrzydzeniem i warknąwszy coś pod no-st-m,  
wycofa się. Erzsika zdoła jeszcze pokazać mu  
Ilonka, uporawszy się z grzywką, z westchnie-ulgi odłoży karbówki na  
metalową podpórkę,  
zgasi dmuchnięciem błękitny płomyk spirytusu, obie zaś jej koleżanki, Erzsika i  
Klara, włożą jako zakończenie toalety białe, obszyte falbankami, nieco  
nakrochmalone majteczki. Gruba Klara wpuści medalik z Matką Boską między tłuste  
piersi. Wszystkie trzy, przeżegnawszy się pobożnie i westchnąwszy — noc  
zapowiada się pracowicie — zejdą rzędem po skrzypiących wąskich schodach na  
dół, do saloniku przeznaczanego dla najlepszych gości.  
Stoi tam długi stół nakryty białym obrusem, wygnieciona kanapa kryta  
czerwonym aksamitem, kilka foteli oraz fortepian z uniesioną  
pokrywą i sztuczna palma w zielonym kwadratowym wazonie z drewna. A za stołem —  
panowie oficerowie. Jeden z nich, młodziutki podporucznik rezerwy, pisze  
właśnie na skraju stołu list do matki, a może narzeczonej. Inny — a jest to  
chyba pan rotmistrz Karapanća, podkrecając długiego wyszwarcowanego wąsa,  
rozepnie pod szyją kołnierz z trzema gwiazdkami. Jest duszno. Wielka kosmata

ćma tłucze się o klosz lampy pod sufitem. Któryś z oficerów opowiada o wrażeniach z operetki Lehara oglądanej jeszcze tydzień temu w Budapeszcie. Ktoś inny zrewanżuje mu się relacją z tegorocznych konkursów hippicznych w Temesvarze, w których uzyskał pierwszą lokatę na klaczy imieniem Rosina. I o złotej papierošnicy, którą mu wręczyło jury po tym tryumfie. Wyjmie ją z kieszonki na piersiach i puści w obieg. Gdy się ją otworzy i odsunie rząd eleganckich papierosów powtykanych za złotą tašmę tkaną w srebrne wzory, można odczytać wyryte podpisy ofiarodawców, wśród których na pierwszym miejscu figuruje nazwisko hrabiego Apponyi, honorowego prezesa miłośników hippiki w mieście Temesvar. I — jako naddatek — relacja o pewnej młodej tancerce w nocnym lokalu w tymże Temes-všrze. Oraz o wyższości cygar marki Trabuco nad cygarami marki Temes.

A potem wejda rzedem dziewczęta. Przyjmie je chóralny okrzyk oficerów, którzy powstaną ze swych miejsc i wzniosą kieliszki w górę. Rittmeister Karapanća pochwyti dawno nie widzianą Erzsikę i ku radości obecnych postawi ją na stole. Wrócona lokalowi matki Rozsa gwiazda „Orfe-um”. w Arad zostanie przyjęta brawami całego towarzystwa. Nie jest wykluczone, iż wykona na środku stołu, na ogólne życzenie, kilka pas modnego w Budapeszcie kankana. Wszyscy będą mieli okazję podziwiać jej pończochy w ażurowe desenie oraz szkarłatne podwiązki. Jej koleżanki, które jeszcze nigdy nie widziały, a nawet i nie słyszały o kankanie, staną w podziwie, wytrzeszczając oczy. Wysokie niby kieliszki lakierowane obcasy trzewików Erzsiki będą przytupywać wśród talerzy, półmisków i butelek.

Kankan w wykonaniu Erzsiki, prowincjonalny i bardziej rodem z Arad niż z Paryża czy Pesztu, przejdzie wnet w rodzimego czardasza.

Lecz mimo tylu atrakcji nastroj większości oficerów nie jest beztroski. Mimo tokaju, barack-pa-linki oraz trójki chętnych i życzliwych pańienek. Mimo wiadra



z lodem, z którego sterczą flaszki szampana. Wniósł je stary kelner Joszka, od lat konfident i zaufany informator pana podkomisarza żandarmerii, Bogatovicia. Matka Rozsa również utrzymuje jak najściślejszą współpracę z panem podkomisarzem. Bez niej prowadzenie zakładu byłoby nie do pomyślenia. Pan podkomisarz wpada tu, na pięterko, od czasu do czasu, w godzinach, gdy lokal jest pusty, a panienki odsypiają zarwaną noc. Wówczas kelner Joszka czuwa, by nikt nie powołał ^nie zakłócił sjesty pana podkomisarza, jego \_e e-a-tete z szefowa. Waruje na dole, u wejścia. pan podkomisarz zapada się w miękki fotel i zapala cygaro Virginia. Przyjmuje łaskawie kieliszek ba-rack-palinki; najwyżej dwa. Spyta o to i owo. Gdy jest w dobrym humorze, zdarza się, iż zanurzy dłoń w dekolcie matki Rozsa. Zmaca i pogładzi końcami palców ciepłe i obfite wspaniałości, niegdyś sławny biust, matka Rozsa zaś przyjmie ten gest jako hołd składany jej wdziękowi. Przy jej pięćdziesięciu paru latach i tuszy można zapomnieć o czasach, gdy dopiero zaczynała swą karierę, zwieńczoną powodzeniem i powszechnym uznaniem. Ręka pana podko-misarza, który nigdy nie zwraca się z podobnym gestem pieszczoty do żadnej z podopiecznych szefowej, daje matce Rozsa chwilę osobliwego szczęścia. Przymyka oczy i czeka, aż pan podkomisarz niespiesznymi ruchami odgarnie biustonosz i dotrze do celu. Trwa to najwyżej minutę lub dwie. Nikt nie korzysta od dawna z podobnych praw i nikt ich, niestety, nie żąda. Gdy pan podkomisarz wyjdzie, złożywszy na progu wojskowy ukłon, gdy umilkną jego ciężkie kroki na schodach, a stary Joszka, kłaniając się, zamknie za nim drzwi od ulicy, matka Rozsa, westchnąwszy, siada w fotel ciepły jeszcze po panu podkomisarzu. Wpada w liryczną zadumę. Może nawet wypije jeden po drugim dwa, a

nawet trzy kieliszki ulubionego likieru. I posiedzi w pustym saloniku na górze, nieruchoma, nagle jak gdyby postarzała, z obwisłymi policzkami i tłustym podgardlem zwisającym nad broszką, kameą oprawną w złoto, spinającą koronkowy kołnierzyk. Zapomni zapiąć guziczki jedwabnej bluzki rozpięte przez pana podkomisa-rza. Będzie siedzieć wewnątrz rozluźniona, jak przed wielu, wielu laty, gdy była jeszcze tylko młodą początkującą. Aż dopiero Joszka, wszedłszy, da jej dyskretnie znak oczyma, i wówczas matka Rozsa ocknie się z zadumy. Wstanie, poprawi garderobę, nasunie na p'erś biustonosz, przyglądzi przed lustrem farbowane na rudo włosy. Przemieni się z powrotem w energiczną, surową, lecz sprawiedliwą szefową. Spojrzy na złoty zegarek na złotym łańcuszku. Stwierdzi godzinę i pójdzie piętro wyżej, do izdebki na poddaszu, by zbudzić dziewczęta. Najwyższa pora! Krzyknie od progu na poły żartobliwie, na poły na serio: - Wstawać, panienki! -a może nawet podejdzie do któregoś z rzędem stojących łóżek i odrzuci kołdrę, pod którą leni się zaspana i rozczochna, przecierająca oczy kułakami i poziewająca Ilonka czy Klara. Powie coś w rodzaju: — Ja w waszym wieku... Teraz lokal został objęty prawami wojny i w ten sposób jakby urzędowo zmobilizowany i zarazem, niestety, obniżony w swej randze. Każdy tu ma prawo wejść. Czyż włóczące się gromadami Cyganki nie wystarczyłyby tym prostym gemeinom, tym gefreitrom, tym różnym, którzy w innym wypadku nie mieliby nigdy prawa wejść tutaj ? I ta żenująca, kłopotliwa obecność sanitarnego reprezentanta higieny wojskowej na dole! I jakieś bony czy karty wstępu wydawane przez niego, oddzierane z bloczka po uiszczeniu opłaty przewidzianej nie przez nią, patronkę i prawowitą władczynię zakładu, lecz przez przepisy i ustawy cesarsko-królewskiej armii w stanie wojny. I inspekcja wstępna, dokonywana przez wzmiankowanego reprezentanta sanitariatu siódmego korpusu... W

ogóle to wszystko. Co tu gadać - wojna jest czymś niehumanicznym i przeciwnym naturze! Więc matka Rozsa tylko z konieczności zstępuje na parter, pełen teraz żołnierzy i podoficerów, do dużej izby z bufetem, zadymionej, pachnącej piwem, śliwownicą i środkami dezynfekcyjnymi. Pełen gwaru pijących tam honwedów, pisku dziewcząt i dźwięków muzyki cygańskiej. Pani Rozsa a woli Pozostawać w wyższych

regionach, na pierwszym piętrze, nie objętych na razie prawami

wkw; T? na D'ak długo ten P°k°J°wy ażył? Ten

nie w\tf SP°kÓ:i I pewnoś> iż nic si? takiego

7nalrn™-larZy tam' co by mogło skompromitować

Komitą °pini(5 ^kładu? Od ilu już lat szczycą-

15 ~ Krśl Obojga Sycylii

cego się najlepszą sławą? Piętnastu? Szesnastu chyba?

W saloniku zabawa, lecz humory nie najlepsze. Więcej jakiejś smętnej liryki niż

madziarskiego ognia. Więc i trójka dziewcząt mimo woli przystosowuje się do

tego nastroju. Wzdychają, stają się sentymentalne.

Oto tłusta Klara, przysiadłszy na poręczu fotela, w którym siedzi pan rotmistrz

Karapanća, ogląda z miną uduchowioną i udającą przejęcie — a może w swym

sentymentalnym usposobieniu istotnie i przejęła się i bliska jest w tej chwili

łez — pokazywane jej po kolei, wyjęte z portfela, zdjęcia: pierwsze, ślubne,

sprzed lat. Rotmistrz Milan Karapanća objaśnia, iż ślub ten odbył się w

kościółce w Vukova-rze, skąd pochodzi jego małżonka. Widnieje na zdjęciu w

ślubnym welonie i wianuszkę z drobnych różyczek, a tuż przy niej dzisiejszy

rotmistrz Karapanća, o ileś tam lat młodszy, podówczas jeszcze podporucznik,

niewielki w swym paradnym mundurze, stoi obok żony. A oto następne zdjęcie

wyjęte z portfela: dziewczynka, może sześćioletnia, w zimowym kapturku, z

rękami w mufce, a przy niej matka, nieco starsza niż na ślubnym zdjęciu, lecz

jeszcze wciąż młoda i promiennie uśmiechnięta. Rotmistrz Karapanća,

zapominając, iż rozmawia z rodaczką, jakby pragnąc podkreślić ważność i

zdjęcia, i sytuacji, wyjaśnia po niemiecku: -Meine Tochter heisst Clara, wie

du... — nie biorąc pod uwagę, iż panna Klara nie mówi po niemiecku. Lecz ona w swej najlepszej woli, w autentycznym teraz rozczeniu, potakuje i bliska jest łez. Gładzi po policzku rotmistrza i, by go pocieszyć, przesiada się z poręczy fotela na jego kolana. Podaje mu kieliszek tokaju. — Prosił! — mówi, sadowiąc się wygodniej i obejmując rotmistrza za szyję.

Natomiast podporucznik rezerwy Wilhelm Kott-fuss Freiherr von Kottyizza,

bywalec kabaretów

Pesztu i Paryża, wiedeńskiego Ronachera i nadse-kwańskiego „Maxima”, były

mistrz tenisa na zawodach w Davos, uczestnik rajdów samochodowych i faworyt

kobiet z trzech co najmniej europejskich stolic, obserwuje zabawę u matki Rozsa

z niejakim rozmarzeniem. Niegdyś, kilka lat temu, z okazji polowania u

utytułowanego kuzyna na Morawach, po zabawie spędzonej w męskim i dobranym

towarzystwie, spotkawszy na korytarzu dworu młodą dziewczynę kuchenną,

przesyconą wonią tłuszczu, kapusty, mydlin i kuchennego paleniska, nakłonił ją

po krótkich ceregielach do odwiedzin w pokoju. I zaznał w jej towarzystwie, nie

mogąc się w dodatku z nią porozumieć, gdyż dziewczyna nie rozumiała ani słowa

po niemiecku, on zaś po czesku — kilku tak upojnych godzin i takich

nieziemskich rozkoszy, iż pamięta je do dziś, nie poznawszy nawet imienia tej

kuchennej nimfy, której czerwone i spierzchnięte ręce okrywał pocałunkami w

temperaturze takiej euforii, jakiej nie doznał pieszcząc najsłynniejsze diwy z

„Cassino de Paris”. Tak więc i teraz, nie biorąc czynnego udziału w zabawie,

raduje serce widokiem prowincji w całej jej krasie. Włożywszy w oko monokl,

podziwia rozwieszzone w saloniku oleodruki, makatkę z parą łabędzi oraz desenie

na obrusie. Smakuje w śliwowicy nie najlepszego gatunku i w tokaju, którego z

zasady nie Pij a. Sięga nawet po kawałek tortu, którego nie tknąłby w innych

okolicznościach. \_\_ Rozczula go nawet i wzrusza rotmistrz Karapanća pokazujący

któreś tam kolejne już zdjęcie rodzinne siedzącej mu na kolanach i obejmującej

go

a szyć tłustej dziewczynie w za mocno zasznurowanym gorsecie z tanimi

kolczykami w uszach

wypiekami na upudrowanej, pyzatej twarzy. Wy-

SPOr<sup>o</sup> jak widać> ł teraz z iście macierzyń-gładzi rotmistrza Karapancę po

karku Ma zupełnie autentyczne łzy wzruszę-

226

227

nią w oczach, gdy płaczącym głosem pociesza go, zachwycając się urodą jego

żony i dzieci.

Willego Kottfussa bawią miny kolegów, gdy z udaną powagą wysłuchują relacji

Erzsiki o tryumfach, jakie w tym sezonie wiosennym odnosiła w „Orfeum” w Arad.

I jej wykwint, rodem z tegoż Arad, kiedy końcami ząbków chrupie jakieś ciastko.

Jej z gracją odstawiony mały paluszek, gdy trzyma w ręku kieliszek. Siedzi w

pozie primadonny między dwoma oficerami na pluszowej kanapie i usta jej się nie

zamykają, a oni, zgrzani i zmęczeni, zdołali porozpinać nie tylko kołnierze,

lecz i wszystkie srebrne guziki swych błękitnych ułanek. Któryś z nich, śmiejąc

się, jawnie poziewa.

Willy Kottfuss, wyciągnąwszy przed siebie nogi i założywszy ręce na kark,

rozłożony w fotelu, czuje, iż jest mu w tej chwili dobrze. Po prostu dobrze, co

tu ukrywać. Dziwi się nawet temu, lecz nie przeciwstawia. Stwierdza tylko fakt.

Mamy dziś dzień pierwszego sierpnia, sobotę, a zatem przed nami jeszcze pełnych

dwadzieścia sześć dni tej urody sierpniowego księżyca. Musimy się jednak

śpieszyć. Zaledwie niepełne cztery tygodnie!

Pod Posadowem, na skraju lasu, w nocy z dwudziestego siódmego na dwudziesty

ósmy sierpnia, nad leżącym na wznak nachyli się brodaty kubański kozak.

Przetrząśnie kieszenie ułanki konającego oficera. Wyjmie z nich złoty zegarek

marki Patek, papierośnicę oraz portfel z jasnopopielatego miękkiego zamszu.

Obejrzy go w świetle księżyca, w srebrnych promieniach padających spomiędzy

gałęzi wysokich drzew. Ujrzy złoty monogram na skórzanym portfelu. Litery W.K., a nad nimi sied-miopalkowa baronowska korona. W przegródce portfela odnajdzie fotografię starszej pani w żałobie, kilka biletów wizytowych oraz plik

austro-wę-gierskich banknotów. Potem wytrząśnie z bocznej  
228

kieszeni leżącego nieco okruchów tytoniu i garść szklanych paciorków. Przyjrzy

im się zdziwiony. Może uzna je za drogocenne kamienie? Z cienia wyłoni się

wówczas kozacki esauł w strzępiastej siwej papasze z malinowym denkiem,

roztrącając gałązki wrzosów szablą w pochwie obszytej czarną skórą. Kozak

zdołał już jednak ukryć po kieszeniach co cenniejszą zdobycz. Lecz brodaty

esauł każe mu pokazać ręce. Znajdzie w nich paciorki barwy głogu. Po chwili

wahania podbije gniewnie dłoń kozaka i garść cygańskich koralików upadnie w

trawę.

Zanim grupa panów oficerów z dwunastego pułku ułanów sycylijskich uda się do

zakładu matki Rozsa, nim na bocznicę stacyjne zaczną podstawiać wagony

przeznaczone do załadowania pierwszego dywizjonu tego pułku, powstanie tam

właśnie, na placyku tuż przy magazynach, gdzie za pokojowych czasów spędza się

wypasowe bydło z tych stron, by je wysłać do wielkich rzeźni Budapesztu i

Wiednia, pewne zamieszanie.

Eskortowana przez żołnierzy z błękitnymi patkami na kołnierzach polowych bluz,

co jak wszystkim wiadomo, oznacza przynależność do jednostek trenu, tłoczy się

tutaj, w lichym cieniu rzadkolistnych, spalonych upałem akacji, cała niemal

stadnina angloarabów, zarekwirowana dziś z rana na jednym z licznych folwarków

hrabiego Festetics de Tolna. Konie różnej maści, ogiery, wałachy i klacze o

szyjach jak łabędzie i grzywach Lorelei, o nogach i ruchach baletnic z Opery

Wiedeńskiej, niecierpliwą się w upale, oganiają ogonami od much i bąków, rżąc

żałośnie.

W pogoni za brutalnie zagarniętą hrabiowską sta-anma przybywają tutaj dwaj ekonomowie hra-oiego. Przyjeżdżają żółtą bryczką i wyskoczywszy 229

z niej, dopytują się żołnierzy trenu o oficera odpowiedzialnego za rekwizycję.

Wszelkie ich próby jednak, by wyblagać bodaj cztery zarodowe klacze, medalistki wystawy krajowej w Debreczynie, jedną całkowicie czarną, dwie skarogniade i jedną kasztankę, matkę słynnego zwycięzcy zeszłorocznych wyścigów w Peszcie,

Agamemnona, spełzają na niczym. Trafiają na niezłomny upór dowódcy,

oberst-leutnanta taborów Aliji Gavrilocicia, rodowitego Kroata gdzieś spoza

Yarażdinu. Odczuwa on nie skrywaną satysfakcję, iż może użyć swej władzy

opartej na paragrafie obowiązującym od dnia dzisiejszego. Że ma prawo pokazać

tym Madziarom, co potrafi. Przybywa przywołany przez zugsfiihrera na prośbę obu

hrabiowskich ekonomów wprost z kolejowego bufetu zajętego przez wojsko, gdzie

pił spokojnie w chłodzie miejscową śliwowicę. Stoi teraz naprzeciw obu Węgrów

odzianych w bryczesy, wysokie buty, jednakie letnie kurtki i słomkowe

kapelusze. Rozkracza nogi, podpira się rękami pod boki i dosłownie ryczy po

niemiecku: — Passen Sie auf! Ich mache Sie aufmerksam, meine Herren!... Wissen

Sie nicht, dass seit zwei Tagen sind wir im Kriegszustand mit diesen

verfluchten serbischen Schweinen?!... Diese Banditen!... — i kończy tę tyradę,

ciszej już, w rodzinnym języku: — lebem ii majku!.. So etwas!... — po czym,

przedrzeźniając słowa prezentacji obu przedstawicieli hrabiego, dorzuca z

najwyższą pogardą: — Die Herren Oekono-men!... Die Herren Oekonomen! Diese

Gulaschfres-ser!... Fur mich existiert mehr gar kein Graf, kein Baron, kein

Zivilist, zum Teufel!... — klnie i odwraca się tyłem do nieszczęsnych

przedstawicieli dóbr hrabiowskich, odchodząc w stronę komendy stacji.

Zrozpaczeni ekonomowie usiłują dodzwonić się do zarządcy dóbr hrabiowskich z

siedzibą aż w Kecskemet, gdyż o zawiadomieniu o nieszczęściu sa-  
230

i prośbie o jego interwencję bodaj c Burgu mowy być nie możecie wia-2dzie w

tej chwili przebywa hrabia Feste-e Tolna Obaj ekonomowie wiedzą tylko, iż

miesiąc temu odbywał podróż prywatnym jachtem DO Morzu Śródziemnym, gdyż pan

zarządca pokazywał im kartkę datowaną w Taorminie, pytającą o wyniki żniw. Ale

teraz? W tej chwili? Może w Wiedniu przy cesarzu, może w Peszcie, Bóg to raczy

wiedzieć. Obaj ekonomowie nigdy dotąd nie mieli okazji widzieć na własne oczy

pana hrabiego Festetics de Tolna, posiadacza, licząc tylko obszar komitatu

Temes, ponad osiemdziesięciu tysięcy hektarów.

Jadą więc swoją żółtą bryczką na pocztę, lecz jeszcze nie wiedzą, iż od

dzisiejszej nocy, ściśle od godziny zero zero, wszystkie urzędy pocztowe na tym

obszarze zarezerwowane są na użytek przede wszystkim cesarsko-królewskiej

armii. Znajomy naczelnik poczty w Fehertemplom rozkłada ręce. Nic nie poradzi.

Na jego miejscu, za jego biurkiem, urzęduje już od kilku godzin porucznik,

przysłany tu z dowództwa piątej armii. Prywatny telefon, połączenie z

Kecskemet? Znakomity dowcip!

Więc stadnina pojedzie w trzech wagonach, na rozkaz pana podpułkownika trenu

Aliji Gavriło-vicia doczepionych do najbliższego transportu wojskowego, aż do

stacji kolejowej Mitrovica, gdzie skieruje ją się wprost do sztabu piątej

armii, dowodzonej przez generała Liboriusa Franka. Generał kocha się w pięknych

koniach i nie omieszka zapewne pochwalić oberstleutnanta Gavrilovicia. A zatem

obu panom ekonomom hrabiowskim nie pozostaje nic innego, jak tylko wracać do

folwarku oddalonego od miasta Fehertemplom o niespełna dwanaście kilometrów.

Odjadą tam jak dwaj wdowcy okryci ciężką żałobą. Będą jechać zapyloną drogą,

wzniecając tumany kurzu wiszącego

231

1



nieruchomo w powietrzu nie poruszonym najmniejszym powiewem. Pozostawiają za sobą korytarz wypełniony jakby mgłą pyłu dwuszeregiem przydrożnych drzew. Zaczynają kląć po węgiersku wojnę i jej nieludzkie prawa, a zwłaszcza już tych przeklętych taborytów z grubym kroackim oficerem na czele. Potem, mijając starą karczmę, przyjdzie im na myśl, czyby się nie napić czegoś na pocieszenie. Udając się o świcie w pośpiechu na ratunek stadniny, nie zdołali nawet spożyć śniadania. Wsiadają z żółtej bryczki, przywiązują w cieniu konie za lejce do pnia dębu i wstępują do oberży. Tam roztkliwią się nad swym losem i nad losem porwanych brutalnie koni. I dlatego również, iż nie wiadomo, czy nawet władza niemal monarsza pana hrabiego zdoła ich uwolnić od niechybnego asenterunku. Ich rocznik został już dziś z rana powołany pod broń w toku mobilizacji powszechnej, której afisze przeczytali na poczcie w Fehertemplom. Na szosie, którą tu przybyli przed chwilą, spotkali przecież młodych chłopów idących gromadnie, w cywilu jeszcze, lecz z drewnianymi kuferkami z wypisanymi na nich koszlawo nazwiskami przyszłych wojaków, zmierzających ku Fehertemplom. Odzieją ich tam w polowe uniformy infanterii obrony krajowej, czyli honwedów. Zafasują w magazynie czapki, bluzy oraz spodnie w ochronnej barwie hechtgrau. Na spodniach widnieć będą wiolino-we znaki, odróżniające jednostki z obszaru ziem korony świętego Szczepana od tamtych, przedlitaw-skich. Spodnie te będą bardziej obcisłe w łydkach, modą węgierską. Lecz reszta oporządzenia i ekwi-punku nie różni się poza tym od wyglądu całej armii wielkiej monarchii rozciągniętej po obu brzegach Litawy. Te same Mannlichery, te same płaszcze i tornistry pokryte skórą cielejącą z włosiem, te same chlebaki i ładownice. I te same — na wypadek śmierci — metalowe znaki rozpoznawcze.

kilometrów za odchodzącymi również gromadki dzieci. Aż tu, w sporej izbie przydrożnej karczmy, w której przy osobnym, honorowym stoliku, pod portretem Najjaśniejszego Pana, popijają śliwownicę obaj panowie ekonomowie dóbr 'hrabiego Festetics de Tolna, zagryzając ją paprykowaną słoninę krajaną w plasterki oraz młodą, jasnozieloną, niemal białą cebulą, słychać z dworu głosy pożegnań, płacz bab wiejskich i beztroskie, jurne pokrzykiwania parobków. Dobrze, że już po żniwach — pomyślą obaj ekonomowie — bo kto by je dokończył? Ilu żeńców potrzeba do zżęcia tylu tysięcy hektarów pszenicy? A kukurydza? A tytoń? A słoneczniki? Mimo użytych na równinie setek żniwiarek i snopowiązałek, którymi szczycą się wzorowo prowadzone folwarki hrabiego. Do karczmy wkracza właśnie grupa Cyganów, których nie brak w tych okolicach, i przy szynkwasio każą podać sobie śliwownicę. Odprowadza zmobilizowanych kilku dostojnych starców. Wiekowy siwy Cygan, wychyliwszy pełną szklanice rakiji, obtarłszy rękawem sumiaste wąsy, podkłada pod brodę lśniące ciało skrzypiec, przykładając do niego policzek z wyrazem pieśczoćy w starych oczach. Pociąga smyczkiem, stroi swój instrument. Inni, obstawiwszy szynkwasio, przestają rozmawiać, milkną, a twarże ich wyrażają skupienie. Stary zaczyna grać. I w izbie o belkowanym przydymionym suficie, aż przez otwarte w upał południa drzwi, w pola nizinne, teraz po żniwach puste, w rozległość niezmierzonej równiny naddunajskiej popłyną tony pełne skargi i melancholii, żalu i smutku, 'lecz i zapamięćania się zacieklą urodą życia, niewysłowione skrzypiec. Nawet obaj pijani już

zunrf . an u™miTV Panowie ekonomowie

hrabiowscy na chwilę taWią kieliszki' ^słuchają się. Jeden Cyganowi przez całą szerokość izby

233

srebrną monetę z wizerunkiem Najjaśniejszego Pana. Pieniądz potoczy się po

podłodze zbitej z poczerniałych, sękatych desek, odbije od ścianki szyn-kwasu i kręcąc się przez chwilę niby dziecinny bąk, legnie wreszcie u nóg grajka. Ten, nie przestając grać, zegnie się, nachyli i podejmie monetę. Jego oczy błysną w ciemnej pomarszczonej twarzy. Zwróci się teraz do ofiarodawców i podszedłszy do ich stolika, zagra im cygańską modą, do ucha. A tamci już bez ceremonii, jawnie na oczach wszystkich, rozplaczą się. Wsparłszy brody na rękach, nachyleni ku sobie, stykając się czołami, zaczną się kołysać w rzewny takt melodii, a łzy pociękną po ich młodych twarzach. Potem obejmą się i przytulą do siebie. Poprzez płacz, bełkocąc po piJacku, zaczną wspominać imiona koni, które od małego źrebaka wychowali. Nazwy klaczy: Duna, Tisza, Vio-rika i Etelka, powtarzane w kółko, pieszczone słowem i jego dźwiękiem coraz bardziej miłośnie tkliwym, wmieszają się w dźwięki skrzypiec. Młodzi cygańscy rekruci pozostaną jednak przy szynkwasiu pokrytym cynową blachą i mokrym od rozlanych trunków. Będą z daleka obserwować obu panów ekonomów i starego skrzypka. Nie ośmielą się zbliżyć. Jeden z nich opędzać się będzie od natrętnych much urwaną po drodze gałązką morwy. I gruby karczmarz pozostanie za bufetem. Zasluchany, nagle spowaźniały, uroczysty w swym granatowym fartuchu, rozumiejący, świadom patosu chwili.

Aresztowany z nakazu pana podkomisarza Boga-tovicia znany koniokrad Cygan Bałaś Andras drzemie siedząc na kamiennej podłodze miejskiego aresztu. Jego kudłata czarna głowa kołysze się w takt snu, w który zapada co chwila, by się znów ocknąć. Potem zwiśnie na lewe ramię i wówczas Cygan Bałaś Andras westchnie głęboko przez sen. A sen będzie głęboki jak rzeka. Przyśnią mu się owoce i woda. Wielka rzeka płynąca całą szerokością koryta. I jabłko na wyciągniętej ku niemu ręce o smukłych, opalonych na brąz palcach. A potem jabłko zmieni kształt i stanie się rozłupanym melonem, z

którego wycieka gęsty pomarańczowozłoty sok. Cygan Bałaś Andras westchnie wówczas ponownie i podniesie rękę do twarzy. Po krajobrazie zielonopomarańczowym, przejrzystym i jednocześnie miodowogęstym, w poprzek czegoś, co może jest skrajem zielonej, skrzęcej się od rosy łąki, a może jego własną wyciągniętą dłonią, przebiegnie hyżo młoda Cyganka. Będzie trzymać w prawej ręce gałązkę kwitnącej akacji. Cygan Bałaś Andras, leżąc teraz na wznak na kamiennej podłodze, chrapie drapiąc się przez sen w kudłatą, lśniącą od potu pierś. Kurczy i rozchyła palce. Będzie mu we śnie ściekać po brodzie, szyi i piersi aż na nagi muskularny brzuch ciepły sok z melona. I wtedy zuchwy śpiącego poruszają się, a Cygan Bałaś Andras odwróci się twarzą ku ceglanej ścianie.

W komisariacie zaś królewskiej żandarmerii pan podkomisarz Bogatović pracuje od rana. Przesłuchał już trzech Cyganów.

Wielokrotny klient aresztu miejskiego, a nawet więzienia okręgowego w Arad, dwudziestoosmioletni Cygan Bałaś Andras zeznawał jako pierwszy. Stoi oto przed stołem, za którym urzęduje pan podkomisarz, a nieco z boku protokolant, Marina Kle-ment. Marina marszczy co chwila piegowaty spiczasty nos, po czym drapie się obsadką pióra za uchem. Obsadka jest jaskrawokarminowa, jakby lakierowana dopiero co, zupełnie nowa. Protokolant, a<sup>TM</sup>a' Sdy Pan podkomisarz patrzy w inną stronę, nyfkiem zanurza trzymaną w dwu palcach karmi-DrzTS °bsadk(? w głąb muszli usznej. Wierci "nią nie i w t P°tem wyJmuJe z ucha, ociera o

spod-°czeklwaniu na słowa zeznań, które kaligra-

16 W akta sPrawy- wsadza Pióro do kałamarza. Obok stoi na zielonej bibule

234

235

suszka w jasnej oprawie z drewna, z wypalonym na niej napisem: „Anderiken von Ragusa”.

Cygan, zamieszkały w jednym z baraków na Csi-gan-varos, przestępuje z nogi na

nogę. Jest zarośnięty, czarny, a koszula wpuszczona w opadające, nieco wystrzępione spodnie płócienne nie posiada ani jednego guzika. Jest wytłuszczona i rozchylona na piersiach. Cygan Bałaś Andras stoi boso przed stołem, za którym urzędują obaj panowie — pan podkomisarz Bogatović oraz protokolant Marina.

Dół nogawek Cygana Balasa jest najwyraźniej umazany gliną. Te ślady właśnie mogłyby służyć jako dowód przeciwko Cyganowi Balasowi. Po tylu tygodniach suszy tego rodzaju mokra i jaskrawo-żółta glina może się znajdować wyłącznie na samym nigdy nie wysychającym dnie jednej z obu starych glinianek. Dwaj panowie spoza stołu unoszą się nieco na swych krzesłach i przyglądają nogawkom spodni podejrzanego i przesłuchiwanego. Pan podkomisarz wie, iż jego stały klient, Bałaś Andras, nie jest winien śmierci młodej Cyganki, Ma-riki Huban, lecz przy okazji ma zamiar załatwić porachunki innego rodzaju z Cyganem Balasem. Chce go więc nieco zastraszyć. Cygan przeczy. Wieczorem tamtego dnia przebywał co najmniej o dwa kilometry od miejsca zbrodni. Co tam robił? Bałaś przyznaje dobrodusznie: usiłował, korzystając z ciemności oraz zamieszania spowodowanego wieścią o mobilizacji i wojnie z Serbią, ukraść nieco kukurydzy ze stogu. Pan podkomisarz patrzy surowo spoza stołu na Cygana Balasa i chrząka znacząco. Marszczy brwi, a brwi te są grube na palec, czarne, bujne, jak się to rzadko zdarza nawet w tych okolicach obfitujących w bujny zarost u mężczyzn.

Wypomadowane i podkreścone wąsy pana podkomisarza Bogatovicia unoszą się groźnie, ukazując rząd białych zębów. Pan podkomisarz uśmiecha się w sposób sobie właściwy: ironicznie okrutny. Ale Cygan Bślas zna dość dobrze pana podkomisarza, by znieść ze spokojem i rezygnacją ten straszny widok. Obciera palcami nos. Stoi, przestępując z nogi na nogę.

— A krowa? — nalega pan podkomisarz. — Jak to było z krową wdowy Miller, co?

— Krowa? — Cygan Bałaś drapie się w skołtuniony czarny łeb. — A z krową, panie komisarzu, to było tak... — zaczyna, ważąc każde słowo, a wówczas protokolant

Marina macza pióro w szklanym kałamarzu i zabiera się na serio do pracy. W tej samej chwili transport wojskowy numer... łamany przez... mija most na rzece mętnej jeszcze po niedawnej powodzi, niosącej gałązki łożyny, kawałki drewna i smugi żółtawej piany. A w na pół zawalonym cygańskim baraku na samym końcu Zsak utca jedna z Cyganiek budzi się i wyjąwszy spod brudnej, nasyconej łożem dla odstraszenia insektów i przywędzonej nad paleniskiem koszuli ciemną pierś, podaje ją dziecku. Kudłate czarne Cyganiątko wlezie, gramoląc się, na półleżącą matkę i zacznie łakomie i zachłannie ssać wielką, szeroką i niemal zupełnie czarną brodawkę jej piersi. Kilka sporych much wleci tu z dworu, gdzie w śmietniku grzebią kury i poziwa chudy kundel uwiązany na długim łańcuchu. Pozielenieje horyzont, na którego tle rysuje się czarna sylwetka wysokiego komina cegielni. Niebo pokrywa seledyn, przesycony na skrajach czerwienią, tam gdzie już na ścierniskach mimo wczesnej Pory drga od upału powietrze. Zaczyna się skwar. w niedalekich koszarach honwedów zagra poranna Pobudka i zaspani żołnierze pobiegną z wiadrami sku A Z wysokim żurawiem, różowym od brza-. A W jednym z pokoików w koszarach imienia Em 1? Ferdynanda młody podporucznik rezerwy podró -P° nieprzespaneJ nocy, wyjmie z walizki nej zeszyt i napisze

słowa mające zaczynać

236

237

coś w rodzaju lirycznego pamiętnika czy też poematu prozą: „Es war einmal der

Jungling Emil und er hatte zwei Schwestern...”

Drugi lokator tego pokoju, podporucznik Zdenek Kocourek, śpi jeszcze o tej

wczesnej porze, odwrócony twarzą do ściany. W cholewach jego wyczyszczonych do

połysku, stojących przy łóżku, wysokich butów z ostrogami odbijają się pierwsze

różowe promienie świtu wpadające przez otwarte okno.

O tej samej porze na zewnętrznej redzie Spalato stoją na kotwicach pod parą cztery lekkie krążowniki: „Novara”, „Saida”, „Lika” i „Admirał Spaun”. Z ich kominów unoszą się w czyste powietrze bez jednej chmurki pasemka przezroczystego dymu. Z luf dział zdjęto już ochronne pokrowce. Na pokładach krążowników gorączkowy ruch. Oficerowie wydają rozkazy. Na przednim maszcie lekkiego krążownika „Novara” powiewa flaga dowódcy eskadry kontradmirała

Horthy. W porannym słońcu lśnią stare mury pałacu Dioklecjana. Na pokładzie zaś krążownika „Admirał Spaun” stoi na rufie leutnant zum See

Edmund von S. Oparłszy się o ściankę stalowej wieży, z której sterczą dwie wydłużone, smukłe lufy pomalowane na kolor jasnopopielaty, pisze kartkę adresowaną do Elisabeth R., zamieszkałej w Wiedniu. Wyśle ją przez pocztę polową.

I w Fehertemplom również od dzisiaj cała korespondencja wysyłana przez osoby odziane w mundury będzie opatrywana pieczęcią „Feldpost Nr...” Nie będą tolerowane nazwy miejscowości, z których wysłano listy i kartki. K. und K.

Feldpostaint i urzędujący przy nim oficer wojennej cenzury będzie pracowicie

zamazywać grubą krechą atramentu te zakazane szczegóły informujące przy dacie o miejscu postoju jednostek, mogące więc służyć jako wskazówka dla wroga,

starającego się zdobyć za wszelką cenę tego rodzaju tajemnice. Właśnie dziś w nocy dwu żandarmów

przyprowadziło na komisariat w Fehertemplom schwytanego w pobliżu koszar

artylerii honwedów podejrzanego młodego osobnika. Pan podkomisarz Bogatović

kazał go zamknąć na razie w piwnicy komisariatu. Przesłuchuje kolejnego Cygana

z Csigan-varos. Nie zdaje sobie sprawy, że od minionej nocy sprawy natury

cywilnej straciły całkowicie na znaczeniu. Że nikogo dziś nie interesuje śmierć

jakiejs cygańskiej dziewczyny. Lecz pan podkomisarz Bogatović rozumuje jeszcze

w sposób cywilny, pokojowy, przedwojenny, można by śmiało powiedzieć — anachroniczny i przeszłowieczny. Nie wie, iż o tej porze, gdy przed jego stołem w komisariacie stoi młody wyrostek cygański Jano, ten sam, który nieopatrznie pierwszy dał znać o znalezieniu zwłok Mariki Huban, przybywa do miasta Fehertemplom audytor piątej c.k. armii oberstleutnant Karel Lam-masch. Że już wysiada z pokrytego kurzem samochodu, w którym przybył tu wprost z Temesvaru wraz ze swym pomocnikiem, podporucznikiem służby wojskowo-sądowej, Alfredem von Letnay.

Ufny w swą władzę, niczym jeszcze nie zagrożoną, pan podkomisarz Bogatović przesłuchuje wyrostka cygańskiego imieniem Jano, siedząc za stołem obok protokolanta Mariny. Jano chwalił się chłopakom z baraków przy Zsak utca, jak to szukając czegoś w zaroślach starej glinianki, po ciemku natknął się na czyjeś zwłoki. I jak, zapaliwszy zapalniczkę, ujrzał w jej słabym świetle twarz znanej mu od dziecka Mariki. Przykucnął przy zmarłej \ Przyjrzał się jej z bliska. Dotknął jej stygnącego już ramienia i stwierdził, iż ma palce lepkie od nie zakrzepłej jeszcze krwi. Wtedy się jakoby przeląkł. Wdrapał się na górę i pobiegł zameldować na ko-urz(?duJącemu tam wówczas wachmistrzo-

238

239

— A po coś tam szedł do tego parowu? — było pierwsze pytanie pana podkomisarza. Jano nieco się płacze w odpowiedziach. Sam nie wie teraz, czego właściwie szukał w starej gliniance. Poszedł ot tak sobie — mówi, lecz dla królewskiej żandarmerii nie istnieje tego rodzaju tłumaczenie. Nikt przecież uczciwy i przy zdrowych zmysłach nie chodzi dokądś „ot tak sobie”. Więc niech no Jano nie próbuje kręcić i robić sobie żartów, bo tu nie ma żartów, i pan podkomisarz Bogatović nie takich potrafił o tym przekonać. I Jano, dostawszy na wszelki wypadek po twarzy, zostaje odprowadzony do aresztu. Inny wyrostek cygański, mieszkający w tym samym baraku co nieżyjąca już Marika



Huban i, jak się zdaje, jej kochanek od paru miesięcy, niejaki Lupa, zeznał przed chwilą, że najwyraźniej widział sylwetki dwu osób idących w krytycznym czasie w stronę glinianki i że nawet rozpoznał śmiech Ma-riki i jej szept do kogoś, kto szedł w ślad za nią. Lupa postąpił chwilę na rozwidleniu dróg koło cegielni, namyślając się, czyby nie pójść w ślad za dwojgiem, lecz potem się rozmyślił jakoby i odszedł w stronę Zsak utca. Co robił, kiedy wrócił na Csi-gan-varos? A nic. Położył się w trawie koło baraku numer pięć, w którym mieszka, i zapalił papierosa... Była piękna noc, więc...  
— I to już wszystko? Piękno przyrody nie interesuje mnie — mówi podkomisarz. A nie. Nie wszystko. Jeśli idzie o ten naszyjnik Mariki... On wie o nim wszystko, i jeśli pan podkomisarz chciałby i uważa to za ważne, to on...  
— Wszystko jest ważne, gdy idzie o zbrodnię! — wygłasza uroczyście pan podkomisarz i przybiera ostrzegawczą i surową minę. Lecz Lupa uśmiecha się wcale nie speszony. Zatem, jeśli idzie o te paciorki, to Marika ukradła je na bazarze parę dni temu. Porwała ze straganu całą ich garść i szybko ucie-  
240  
kła Kilka paciorków upadło na ziemię, rozsypując się, i to on właśnie, Lupa, pozbiarał je. On również pomógł Marice nawlec je na mocny i cienki drut, znaleziony na targowicy, taki, jakim drutuje się skrzynki owoców przeznaczonych na eksport. Pełno tego leży w tamtych stronach koło magazynu braci Fento, przy Ferenc-József-ter. Pan komisarz może się przekonać... Tak, on nie przeczy wcale, iż kochali się z Marika, i nawet on jej obiecywał, że wyjadą razem z taborem wędrownym Gyula-bacsi... Dlaczego zatem, gdy sądził, iż to śmiech Mariki rozpoznał wtedy w nocy koło glinianek, nie poszedł za nią, by się przekonać, z kim ona się włóczy, choćby przez zazdrość, co? — nalega pan podkomisarz. Lupa uśmiecha się. Jest to urodziwy, czarniawy, szesnastoletni smukły wyrostek. Wzrusza ramionami, dziwiąc się nieznamości miejscowych obyczajów u pana komisarza, który powinien chyba wiedzieć, że...

- Że co?

— Że ja wiedziałem, iż ona, jeśli to była istotnie ona, poszła do glinianki nie z Cyganem, tylko z jakimś wojskowym. Gdyby to był Cygan, no to wówczas... — i w oczach Lupy migocą złe błyski. — Wtedy — kończy, patrząc w oczy podkomisarzowi Bogato viciowi — porachowałbym się i z nim, i z nią... Ale skoro to był ktoś obcy, jakiś żołnierz czy oficer, to się nie liczy... Obaj panowie spoza biurka słuchają z umiarkowanym zaciekawieniem. Pan podkomisarz Bogatoyiç zapala cygaro, odgryza koniuszek, wypluwa go, puszcza, rozparty w krześle, pierwszy kłęb błękitnego dymu. Protokolant Marina bawi się karminową obsadką pióra. Marika często chodziła z żołnierzami w zarosła za cegielnię. Gdy jeszcze, przed żniwami, rosła am wysoka kukurydza, no to w nią, a kiedy ją zżęto — do

glinianki. On, Lupa, nieraz czekał na nią

— Król Obojga Sycylii

241

przy drodze prowadzącej w tamtą stronę, by odprowadzić ją do domu. Mieszkali przecież w jednym baraku, nawet w jednej izbie.

— A zatem rozpoznałeś wtedy żołnierza, co? -pyta podkomisarz. Protokolant

Marina macza pióro w kałamarzu i czeka na następne słowa Cygana.

— Tak. Po mundurze, a zwłaszcza czapce. On miał na głowie połowę furazerkę.

— Uważaj no! A może to był oficer, co? — i teraz obaj panowie spoza stołu

czekają na odpowiedź, nachyleni do przodu i czujni.

— Może i oficer. Tego to ja na pewno nie wiem. Było zupełnie ciemno. A potem —

dodaje po namyśle — wypaliwszy papierosa pod barakiem, wróciłem, może po

godzinie w stronę cegielni. Żeby jednak sprawdzić. Bo to za długo trwało... No

i spotkałem biegnącego Jano, który, zdyszany, powiedział mi, na co się tam na

dole natknął... Pokazał mi nawet trzymane w zaciśniętej dłoni koraliki z jej

naszyjnika. Pozbierał je w trawie, na samym dole... Dał mi ich całą garść...

— No i co? Poszedłeś tam wtedy, żeby samemu zobaczyć?

— Nie. Bo ja bałem się. Ogarnął mnie taki strach nagle, że pobiegłem z powrotem

do baraku i przebudziłem starego Gyulę-bacsi, tego, co go pan komisarz przecież

zna, primosza kapeli... Opowiedziałem mu wszystko, a on mi nakazał, bym nikomu o tym nie mówił, bo jeszcze kto pomyśli, że to sprawka któregoś z nas... A to, przysięgam się, ktoś obcy. Jakiś wojskowy. Może z tych przejezdnych. A może jeden z naszych. Nie wiem. Było zupełnie ciemno. Gdy Cygana Lupę odprowadzą do aresztu, gdzie umieścił go pan podkomisarz na wszelki wypadek do zakończenia śledztwa, na twarzy pana Bogato-vicia pokaże się uśmiech triumfu: A nie mówiłem.

242

Byłem tego od początku pewien! To sprawka jednego z oficerów! Tylko teraz pytanie: którego z nich? I czy zdoła ich przesłuchać, nim garnizon tutejszy odjedzie z Fehertemplom? Bo wówczas -szukaj wiatru w polu! Więc, póki czas, trzeba się zabrać rażno do roboty! Pan podkomisarz przerzuca dla porządku papiery odnoszące się do denatki:

Urodzona prawdopodobnie w roku 1900, w drodze, w cygańskim taborze wędrownym, gdzieś w okolicach Kecskemet, córka zmarłego Hubana Miklosa i Rajicié Ilonki, obecnie bez adresu, gdyż opuściła Fehertemplom wraz z taborem jeszcze w roku 1909 i w ogóle nie wiadomo, czy jeszcze żyje i gdzie przebywa. Jej córka Marika wychowywała się wraz z dziećmi cygańskimi na terenie Csigan-varos, gdzie ostatnio zamieszkiwała w baraku numer 5 przy Zsak utca. Karana wielokrotnie za kradzieże, wyłudzenie pieniędzy od pijanych żołnierzy, włóczęgostwo i żebranię. Badana profilaktycznie w sanitariacie miejskim w roku bieżącym dnia siódmego lipca 1914 przez miejskiego fizyka po doprowadzeniu jej tam przez żandarma. Chorób wenerycznych nie stwierdzono. Pieczęć i podpis fizyka miejskiego. Koniec. Wykaz kar. Odciski palców. Fotografii brak. Jako małaletnia żadnego dowodu osobistego nie posiadała. I to wszy-StKo. Podkomisarz Bogatović chowa papiery do szufla-stołu. Wstaje i zaczyna przechadzać się po izbie Przystaj;ie co chwila Przy okratowanym tam ulicą

oficerowie, pobrzękując sza-

W mieście rozlepiają afisze obwieszczające z powszechnej mobilizacji na terenie

całej dwu-

-T<sup>11</sup>!1- Afisze w trzech miejscowych je-każdym <sup>TM?</sup>mieckim> węgierskim,

chorwackim. I pod •• ym tekstem maczej nieco brzmiący podpis Naj-

243

L

jaśniejszego Pana: Franz Joseph der Erste, Ferenc-

-József, Franjo Josip. A obok cesarski manifest: „Do moich ludów”. Nieco osób

gromadzi się przy mokrych jeszcze afiszach rozlepionych na gmachu poczty,

żupanatu, urzędu skarbowego i kilku innych. Ktoś głośno sylabizuje, wodząc

palcem po liniijkach druku, cierpliwie tłumacząc innym, którzy go słuchają w

nabożnym skupieniu.

Jakiś wyrostek biegnie na ukos Ferenc-József-

-ter.

I gwizdże na stacji lokomotywa. Potem powoli rusza z miejsca. Ponad dachy

niskich magazynów stacyjnych wyrasta czarny kłębiasty dym wyrzucany jej

regularnym oddechem. Wisi chwilę w bezwietrznym powietrzu, potem roznuwa się

wpełzając między wysokie, strzępiaste, spalone słońcem korony akacji.

Wyrostek cygański Jano zostaje ponownie przesłuchany. Przyznaje, iż tamtego

wieczora nie przez przypadek i bez powodu, „ot tak sobie”, jak poprzednio

twierdził, zszedł około północy do starej glinianki. Kręcił się wokół lokalu

matki Supicić przy Kiralyi utca, gdzie bawili się panowie wojskowi. Stał w

cieniu drzewa naprzeciw winiarni, może dokładnie pokazać to miejsce, oparty

plecami o zapuszczoną już o tej porze żaluzję piekarni Wintera. Co tam robił? A

nic właściwie. Znalazł spory niedopałek, więc zapalił go. Na co czekał? Marika,

którą znał od dziecka, prosiła, żeby nad nią czuwał. Pokłóciła się z jakiejś

przyczyny ze swym kochankiem Lupą i dlatego właśnie zwróciła się do niego,

Jano. Widział, jak przechadzała się pod kasztanami za winiarnią matki Supicić,

czekając na jakąś okazję. Ale bała się. Nie wiadomo właściwie dlaczego. Miała

jakieś złe przeczucie. Powiedziała więc: „Zaczekaj na mnie, a potem postaraj się pójść niepostrzeżenie za nami...” Bo ona koniecznie potrzebowała dwóch koron i postanowiła je za wszelką cenę.

244

zdobyć. Chciała kupić sobie szal, o którym od dawna marzyła. Taki zielony w czerwone róże. Próbowwała go ukraść, ale nie udało jej się, gdyż szal ten leżał na wystawie sklepu Turnera na rynku... On, Jano, zna tę sprawę, gdyż kilkakrotnie stali oboje przed tą wystawą. Zwędzić coś ze sklepu to nie to samo co ze straganu... Gdyby tylko ośmieliła się wejść tam, już by ją pan Turner zauważył i natychmiast przepędził. Dołożyłby nawet, gdyby ją dognał, kilka siarczastych policzków. Już raz się tak właśnie zdarzyło. On, Jano, jest świadkiem. A ten szal w kwiaty kosztował aż dwie korony. Żołnierz, panie komisarzu, da najwięcej pięćdziesiąt filerów albo papierosa, a i to, gdy sobie podpije. Oficer zaś... Jej już raz się udało wyciągnąć od jednego z panów oficerów koronę. Pokazywała mi ją. No więc wtedy... Widziałem, stojąc pod piekarnią, jak przechadzała się środkiem jezdni, jak wyszła z cienia pod kasztanem, gdzie czatowała, i jak przystanął obok niej jakiś oficer. Czy miał wąsy? - Jano zastanawia się przez chwilę: - Chyba nie. W każdym razie szczupły i bardzo młody. Było za ciemno i za daleko, żeby dokładnie widzieć. Chwilę postali na ulicy, potem ona poszła przodem, a on kilka kroków za nią. Jano wówczas wyszedł z ukrycia pod piekarnią Wintera i zbliżył się do nich. Oficer dał m papierosa, a właściwie to ona sama wyjęła mu go z ust i nawet, śmiejąc się, dmuchnęła mu dymem w oczy...

A potem poszli oboje na prawo, skręcili na tę ścieżkę, która okrąża szopy na cegłę, i weszli w zarośla. On, Jano, przystanął tam i czekał. Ile czasu to trwało? Może z dziesięć minut, może nieco dłużej... Było zupełnie ciemno. Oni

zeszli chyba w dół, na dno glinianki. Nie jest tego pewien, lecz teraz uświadamia sobie, że słyszał stamtąd, z dołu, śmiech Mariki. A potem cisza - i nagły krzyk. Krótki krzyk - i znów zapadła cisza. Więc po chwili wahania Jano zbiegł po zboczu na dno  
245

rozpadliny. I zaczął nawoływać w ciemnościach: — Marika! Mariszka! — a potem, po pewnym czasie, natknął się na nią. Pan komisarz wie... Ona leżała tam, a obok niej rozsypane koraliki z rozerwanego naszyjnika. Nadepnąłem je bosą stopą. I sam nie wiem czemu, nazbierałem ich pełną garść... Jano nie potrafi sobie teraz wytłumaczyć, po co to zrobił. Chyba odruchowo, a może, żeby komuś pokazać jako dowód? Przykucnął przy leżącej na wznak i dotknął jej delikatnie. Poczł krew na palcach. Marika już nie żyła, lecz była jeszcze ciepła. Jśno podniósł się i stał chwilę, nie wiedząc, co robić.

Potem wspiął się po stoku i pobiegł w stronę Kiralyi utca. Tam, paląc papierosa, stał Lupa. Jano pokazał mu koraliki, nie mogąc wymówić z przejęcia ani słowa. Ale tamten chyba zrozumiał. Pobiegłem do winiarni matki Supłacić, gdyż zrazu miałem zamiar zawiadomić ją o tym, co się stało, albo starego kelnera Laszłó. Ale z winiarni wychodziła właśnie grupa oficerów. Więc rozmyśliłem się i pobiegłem na komisariat... A te koraliki to mi się rozsypały pod winiarnią... I to pamiętam, że lśniły w świetle lampy zawieszanej nad wejściem do lokalu matki Supłacić, a jeden z oficerów nachylił się i, jak się zdaje, kilka z nich wziął do ręki i przyglądał im się, jakby się dziwił...

A co do Lupy, to nie wiem, czy poszedł tam, na dół, do glinianki, czy nie. W każdym razie nie przypominam sobie... Zostawiłem go stojącego na ścieżce. Tak, panie komisarzu, to był na pewno oficer. A co do wąsów — to chyba nie miał. Był, zdaje się, bardzo młody. Tak, ułan. Na pewno. Naszego poznałbym po

sznurach na mundurze. To był oficer ułanów, wiem na pewno. Nie. Gdy zszedłem do glinianki, szukając Mari-ki, jego już tam nie było. Gdzieś znikł. Byłbym chyba usłyszał jego kroki... Tam leży sporo suchych badyli, które szeleszczą, gdy się idzie.

Protokolant Marina zapisuje pilnie kaligraficznym

246  
nym pismem każde słowo zeznania Cygana Jano. Gdy protokół jest gotów, Jano stawia pod nim krzyżyk. Jest niepiśmienny. Stoi naprzeciw stołu i patrzy na obu urzędników. Pan podkomisarz Boga-tović przeżywa chwile niczym nie zmaconego triumfu. Oto ma dowody. Wierzy każdemu słowu cygańskiego wyrostka. A zatem — tak jak się tego spodziewał - to sprawka jednego z tych paniczyków, co to nie raczą go nawet zauważać! Ale teraz go zauważą! A skoro, jak utrzymuje Cygan, oficer, który poszedł wraz z denatką do starej glinianki, nie miał wąsów, no to należy wyeliminować wszystkich wąsatych, czyli większość. Podkomisarz Boga-tović sięga po prywatny wykaz. Skreśla szereg nazwisk. Kilku oficerów posiada wyraźne alibi. Byli w tym czasie u matki Rozsa. Pan podkomisarz Bogatović posiada również spis tych, którzy tamtego wieczoru byli w winiarni matki Supicić. Ona zna ich przecież wszystkich. Wymieniła więc każdego po kolei, prócz; dwóch, a może trzech oficerów rezerwy, świeżo przybyłych, nie znanych jej dotąd. Kelner Laszló potwierdził jej zeznania pod przysięgą. Oto plik protokołów. Bogatović kładzie na nich rękę niby ciężką urzędową pieczęć. Teraz należy ostrożnie, lecz zarazem śpiesząc się, bo czas upływa, dokonać ostatecznej segregacji nazwisk i uderzyć znienacka winnego, który zapewne myśli, iż królewska żandarmeria nie sięga aż tak wysoko. Otóż sięgnie, i to jak jeszcze! Pan podkomisarz Bogatović wstaje zza stołu i znów zaczyna swój marsz po przekątni izby o zakratowanych oknach. Sięga po następne cygaro. Zapala je.

Przystaje przed wiszącym na ścianie portretem Najjaśniejszego Pana. Jest to portret cesarza w węgierskim stroju koronacyjnym. Tanie portrety można spotkać tylko na terenie krajów Korony świętego Szczepana, czyli zaliczanych. Ce-ufrr Patrzy spokojnym, pełnym majestatu wzrokiem umle na swego wiernego poddanego podkomisarza

247

Bogatowicia. Obok — nieco niżej i w prawo, bliżej okna — wisi dekret o mobilizacji powszechnej. Ale on mniej interesuje w tej chwili podkomisarza Bogatowicia. Jest w tej kancelarii posterunku królewskiej żandarmerii zapowiedzią jakby innej, nie znanej jeszcze epoki, obcą i na pół tylko realną. Klej, którym przytwierdzono afisz do lakierowanej na brunatno ściany, jeszcze nie wysechł. Z przyzwyczajenia podkomisarz Bogatović omija oba teksty — niemiecki i chorwacki — i odczytuje węgierski. Mimo iż jest to jego język przybrany. W dzieciństwie — pamięta dobrze — jego matka, chłopka z jednej z banackich wsi, śpiewała mu piosenki po kroacku. A i on sam, zanim poszedł do madziarskiej szkoły... Ale później, gdy nałożył na głowę wspaniałą symbol władzy — kapelusz strojny w zielone kogucie pióra, kiedy zapiął na wszystkie guziki żandarmską bluzę... Od tego czasu tylko w chwilach zupełnego wewnętrznego rozluźnienia, po winie, po śliwowicy, w łóżku przy żonie, pozwala sobie myśleć i mówić w języku ojców. Tutaj, w komisariacie, nigdy sobie na to nie pozwala. Więc teraz — myśląc o czym innym — odczytuje machinalnie zdanie po zdaniu tekst podpisany imionami: Ferenc--József. O tej samej porze eksceleńca Biliński, minister wspólnoty finansów monarchii, wielkorządca cywilny Bośni i Hercegowiny — krajów wspólnych, przynależnych obu koronom, cesarskiej i królewskiej — znajduje na swym biurku odręczne pismo monarchy: „Lieber Ritter von Biliński! Ich habe mich bestimmt gefunden, die allgemeine



Mobilisierung anzuordnen. Franz Joseph."

Ekscelencja Biliński nakłada binokle i czyta tekst cesarskiego odręcznego pisma

na głos, stojąc przez uszanowanie i poruszając wargami. Jego krótka si-

248

wa bródka porusza się również. W górę i w dół, w górę i w dół.

List pisany przez podporucznika rezerwy Emila R. nigdy nie trafi do cenzora

piątej armii, urzędującego przy c. k. poczcie polowej w Fehertem-plom. Pisząc

go, podporucznik Emil R. nie myśli jednak o wojennej cenzurze. Znajduje się w

stanie krańcowego rozdrażnienia, egzaltacji i zarazem depresji. Wpółleżąc,

wpółsiedząc na polowym łóżku w dwuosobowym pokoiku na piętrze lewego skrzydła

koszar imienia Cesarza Ferdynanda, pisze ten list, który nie zostanie nigdy

wysłany. Okna pokoju są szeroko otwarte wprost w narastający upał poranka. W

jednej z szyb odbija się wewnątrz koszarowego podwórza, szczyty na pół wyschłych

akacji, stromy dach stajni ułańskich. A teraz przesuwa się tamtędy skarogniady

koń prowadzony za uzdę przez żołnierza. Koń, oganiając się od much, potrząsa

łbem i wtedy jego bujna, starannie zaczesana grzywa rozsypuje się w kształt

wachlarza, przez pół sekundy pozostaje niemal nieruchomo zawieszona w

powietrzu, po czym opada na bok. I ułan, i koń za chwilę znikną z pola widzenia

i w szybie pozostanie tylko płowoceglasty odbity obraz pustego podwórza.

A teraz inne okno, w innym skrzydle koszar, widocznie pchnięte czyjąś ręką od

wewnątrz, zakołysze się i rzuci rozkołysany odbłask na ścianę pokoju, w którym

półleżąc, półsiedząc na łóżku nakrytym rudym pledem z pieczęcią w rogu „K. und

«• 12. U. R." piSZe Hst Emil R. Świetlny odbłask utworzy na krótką chwilę

złudę chwiejną i na poły czytelną: jak gdyby zwiewny obraz łodzi kołyszącej się

na smugach fal. Emil uniesie głowę i trzymając pióro zawieszony nad listowym

papierem

wzdrygnie się. Ale obraz łodzi już odpłynął. Szyba gaśnie.

Generał piechoty Liborius Frank, dowódca piątej

249

armii, w swej kwaterze nachyla się nad wielkim stołem pokrytym sztabową mapą. Namysławiając się, trzyma w dwu palcach papierową chorągiewkę na szpilce. Gdy Emil R. nachylił się niżej i zaczął kreślić kolejne słowa listu, którego nigdy nie wysłał, generał Frank wbija chorągiewkę na szpilce w kartę sztabową naklejoną na płótnie. Igła zostanie tak mocno wbita w śliski papier mapy, aż zazgrzyta. Generał poprawi ją wskazującym palcem, wbijając jeszcze głębiej w miejscowość Mitrovica. Chorągiewka jest dwubarwna. Oznacza jednostkę c. k. kawalerii, w odróżnieniu od jednobarwnych, przeznaczonych dla jednostek c. k. piechoty. Na chorągiewce wbitej przed minutą w miejscowości Mitro-vica widnieje cyfra 8. Jest to bowiem ósma brygada kawalerii złożona z dwunastego pułku ułanów i dziewiątego huzarów. W ślad za nią powędruje za chwilę następna z cyfrą 4. Będzie to czwarta brygada, złożona z dwu pułków huzarskich: dziesiątego i trzynastego. Razem utworzą w Mitrovicy dziesiątą dywizję kawalerii pod dowództwem feld-marschalleutnanta Mayera. Właśnie o tej porze generał ten przypasuje pałasz stojąc w kancelarii dywizji w Arad. Jego ordynans wynosi na podwórze walizki. Na ulicy czeka ciemnozielony duży samochód marki Laurin und Klement. Płócienna buda podniesiona, gdyż generał nie znosi upału. Adiutant dowódcy, młody podporucznik huzarów, stoi przy automobiliu w oczekiwaniu na moment, kiedy dowódca dziesiątej dywizji zejdzie z pierwszego piętra. Już słysząc jego ostrogi na schodach. Pochwa pałasza, zaczepiając o barierę schodów, brzęczy również. Generał Frank, wsparty obu rękami o szeroki blat stołu całkowicie przykryty sklejonymi płachtami map sztabowych, zastanawia się nad kolejnym ruchem, jaki nada chorągiewkom różnych formatów i barw. Leżą na razie na skraju mapy, jedna na drugiej, w nieładzie, niby wiązka kolorowych wy-

Łącznie w okolicy Mitrovicy generał gromadzi dwadzieścia cztery szwadrony kawalerii i trzy konne baterie, każda złożona z ośmiu armat polowych typu M5. Generał Frank przed chwilą jednym ruchem ręki przesunął tę grupę wojsk z rejonu Te-mesvŕ-Arad-Fehertemplom do rejonu koncentracji: Mitrovica— Nikinci— Klenak, naprzeciw leżącej na drugim brzegu Sawy serbskiej twierdzy Sza-bac. Tutaj przed z górą dwustu laty gromadziły się armie księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, by przystąpić do szturm na twierdzę szabacką. Być może, w tej chwili dowódca serbskiej fortecy, oznaczonej na austriackiej mapie sztabowej jako czarne kółeczko obwiedzione czerwonymi promykami gwiazdki, obserwuje przez lornetkę austriacki brzeg rzeki. Jest jeszcze niemal pusty. Tylko patrole piechoty krążą tam, ukryte w kępach łożin. Lecz ruch ręki generała dowodzącego, przedstawiający chorągiewki na mapie, spowoduje, że jeśli nie jutro, to najdalej pojutrze zaroi

się tamten brzeg od licznych jednostek c. k. armii. Ponad dwieście lat temu w podobny sposób, z podobnym niepokojem, basza Szabacu śledził przez długą, niemal astrologiczną lunetę płową równinę na przeciwległym brzegu. I ujrzał zapewne o jakiejś godzinie zbliżającą się do rzeki chmurę pyłu wzniesianego przez pędzące w galopie konne pułki armii księcia Eugeniusza. I migocące w tej chmurze błyski i lancy, a także łopocące na wietrze, rozwiane sztandary. I wówczas, odłożywszy na chwilę długą astrologiczną lunetę oprawną w heban i mosiądz, wzmościł oczy ku bezchmurnemu niebu. A gdzieś ponad nim, na wysokiej baszcie rzucającej błękitny, anciany i zębaty cień na piaski nadrzeczne i rzec-  
<2, sięgający aż tamtego brzegu, skąd zbliżają się Pędzie zastępy giaurów, muezin wzniesie ramio-  
251

na i popłynie z blanków twierdzy jego wołanie do Allacha. Muezin wygląda, widziany od dołu, w skrócie, na szczycie wieży, jak złoty ptak. Rękawy jego luźnej, powłóczystej szaty powiewają na wietrze niby złote skrzydła. Osłaniając oczy od blasku słońca, żołnierze księcia Eugeniusza, hamując rozpędzone konie

nad brodem rzeki Sawy, będą go widzieć na tle nieba bez jednego obłoku, błękitnego i nieruchomego jak tło obrazu szkoły weneckiej. Grenadierzy w białych koletach i wysokich bermycach, z których na plecy zwisają kolorowe denka w kształcie wydłużonych trójkątów, idący ławą, szereg za szeregiem, w łomocie bębnow, również przystaną, a potem wymierzą muszkiety w sylwetkę modlącego się na wysokiej szabackiej wieży. Lecz ówczesna broń to nie dalekonośne Mannlichery roku 1914. Ciężkie ołowiane kule muszkieterów księcia Cari-gnan spadną niby grad w fale Sawy, tak iż na wodzie podniosą się szklane kieliszki jak w czas letniej nawałnicy. I biały dym rozwieje się po nadrzecznych łęgach.

Generał piechoty, Liborius Ritter von Frank, honorowy oberstinhaber sześćdziesiątego pierwszego pułku piechoty węgierskiej, były dowódca siódmego korpusu w Temesvarze, a ostatnio inspektor armii, jest człowiekiem już starym. Liczy sześćdziesiąt osiem lat. Zaczesy starannie, z idealnie wytyczonym rozdziałkiem przez środek głowy, nosi długie, ostro zakończone i podkręcone do góry siwe wąsy oraz również siwą krótką bródkę. Nad sporym mięsistym i czerwonym nosem widnieje głęboka zmarszczka między krzaczastymi brwiami. Nadaje mu ona groźny i surowy charakter. Generał uchodzi za człowieka chimerycznego, nieco trudnego w pożyciu, nieobliczalnego w gniewie i upartego. Z czasów, gdy dowodził siódmym korpusem w Te-mesvarze, pamiętamy go, jak paradował po ulicach miasta konno, wyprostowany i sztywny, jadąc obok

252  
dwukolnej bryczki o wysokich, żółto malowanych kołach, zaprzężonej w białą klacz arabkę, powożonej przez córkę generała, Krystynę. Panna Frank, trzymając w wyciągniętych rękach lejce, odziana w na pół męski żakiet, kochała się jak jej ojciec w koniach oraz w kapeluszach sprowadzanych z Budapesztu,

decydujących o fluktuacjach mody damskiej w mieście Temesvar. Zwłaszcza słynęły jej rajery anno 1909.

Mimo tych cech charakteru, które można by poczytać w pewnych kręgach, zwłaszcza wśród jego bezpośrednich podwładnych, za wady lub co najmniej rysy na nim, generał Liborius Ritter von Frank (uszlachcony dekretem cesarskim z lutego 1910 w dowód najwyższego uznania dla jego zasług) został zaliczony do najwybitniejszych strategów c. k. armii. Wykazał swe talenty pan generał na licznych manewrach korpuśnych, a także cesarskich. W tej chwili, gdy przestawia chorągiewki na szpilkach nachylony nad mapą, jest najbliższym współpracownikiem dowódcy całego południowego frontu, jego ekscelencji feldzeugmeistra Oskara Po-tiorka.

Czas ucieka, a cel się zbliża: idzie o to, by w dniu urodzin Najjaśniejszego

Pana, to jest osiemnastego sierpnia, móc mu ofiarować na atłasowej szkarłatnej

poduszce klucze miasta Belgradu. Trzeba pokazać tym świniopasom zza Dunaju, co

jest warta cesar-sko-królewska armia opromieniona zwycięstwami pod Zentą,

Aspern, Custozą i Novarą. I co są warte umysły obu generałów, ich nowoczesna i

lotna myśl strategiczna. Król Piotr wyjechał już ze stolicy, kto-, rą zdobył

przed laty Prinz Eugen, a której spadziste uliczki schodzące do Dunaju wnet

zadudnią od

OKÓW c" k- infanterii. Król uciekł do Niszu, obaj zaś dowódcy serbscy -

pierwszej armii, Bojović,

eCpe:i' Jurisić" Sturm> oraz naczelny wódz, voje-utnik — oczekują

koncentrycznego uderze-

253

nią dwu armii austriackich — piątej od północy i szóstej od zachodu. Nasze

działa strzelają już nad Sawą i nad Driną. Lekka eskadra, która tej nocy wyszła

w morze z bazy w Spalato, płynie ku Anti-vari. Dwa aeroplany typu Aviatie

zataczają koła nad wybrzeżem czarnogórskim. Srebrny balon na uwięzi kołysze się

nad kukurydzianym żółtym łanem.

Chorągiewki na szpilkach, przypominające rekwizyty dziecięcej gry, przesuwane

jednym ruchem ręki generała dowodzącego, oznaczają w praktyce zmiany tras

wojskowych transportów. Oznaczają godziny białego niemiłosiernego skwaru w

wagonach bydłowych i osobowych, postoje na stacjach i w czystym polu przed

zamkniętymi przejazdami i czarne noce pełne hałasu świerszczy, odbywających swe

gody na trawiastych zboczach nasypów linii kolejowych południowych Węgier i

Kroacji, gdy żołnierze, siedząc ze spuszczone nogami w wagonach pociągu

stojącego w pustym polu, będą się wsłuchiwać w odgłosy nocy płynące z pól i

rozległych łąk nad Dunajem i Sawą. I poranki drugiego i trzeciego dnia podróży,

gdy przez mijane wolno zagaję przebija się pierwszy, ostry, rażący niewyspane

oczy jaskrawoczerwony promień wschodzącego słońca. A może wówczas żołnierze

usłyszą i śpiew przebudzonych w gałęziach ptaków.

Wszystko to w kwaterze piątej armii, w gabinecie generała Liboriusa Franka, na

jego wielkiej mapie rozłożonej na dwu zestawionych -stołach, wygląda jak jeden

ruch ręki ujętej w biały mankiet wystający z błękitnego rękawa obszytego złotym

galonem. Jeden gest starczych palców trzymających przez chwilę namysłu kolorową

chorągiewkę zawieszoną w powietrzu, nim ją wbiją energicznie w nazwę

miejsowości.

Gdy szpilka przebije sztywną i gładką powierzchnię mapy sztabowej, rozzwonią

się telefony, zater-

kocą telegrafy i biała, taśma pokryta znakami alfabetu Morse'a zacznie spływać

w festonach na podłogę, aż ktoś dotychczas zajęty piciem herbaty, czytaniem

ostatniego numeru „Pester-Lloyda” czy też grający w skata lub ferbla z biurowym

kolegą na jakiejś stacji, w jakimś miasteczku, poderwie się z miejsca i

przeczyta słowa depeszy, po czym podejdzie do kasy pancерnej i wyjmie z niej

zalakowaną kopertę z napisem: „tajne — otworzyć wyłącznie na hasło «Arpad».” I

transporty ruszą w drogę.  
Lecz nim ze stacji Fehertemplom odejdzie ostatni pociąg wiozący ułanów  
sycylijskich, spadkobierców klęski Solferina i Magenty oraz Montebello,  
naznaczony na wieczne czasy obojnakim piętnem śmierci królestwa, które niby  
szkielet wsparło nogi na obu kamiennych sarkofagach Scylli i Charybdy — w małym  
pokoiku w lewym skrzydle koszar imienia Cesarza Ferdynanda, pustoszejących, na  
poły już wymarłych, wsparty na łokciu młody podporucznik rezerwy, w cywilu  
student prawa, Emil R. napisze list, którego nigdy nie wyśle:  
„Najdroższa! Poprzedni list podarłem w wagonie, jadąc tutaj z Triestu przed  
paru dniami. A ten?... Piszę i drę, i znów na nowo piszę, i wiem, że też go  
podrę, a potem spalę jak tamten, żeby po nim śladu nawet nie zostało. Przeżyłem  
złą noc, chyba najgorszą ze wszystkich. Mam nadzieję, że już ostatnią. Cóż Ci  
mam napisać, czego byś i tak nie wiedziała? Chyba to, że wciąż w  
widzę Twoje wąskie, przymrużone oczy, ciągle, ciągle... Gdziekolwiek  
spojrzę... Gdy zacisnę powieki i kiedy patrzę prosto w słońce aż do  
oślepienia, i poprzez otaczający mnie głupi, nieciekawym, obcy mi świat innych  
ludzi, którzy mnie nie obchodzą. Ani ich kłopoty, ani ich radości, nawet wojna  
i jej cele, nawet śmierć, jaka nas wszystkich, wyruszających na nią, czeka.  
Myślę o Tobie i w nocy, i za dnia, na jawie i we śnie. Czuję Twoje dłonie na  
moich oczach...

255

Ach, żeby tak móc przestać istnieć, żeby móc odejść z obrazem Twoim na  
wieczność nieistnienia!... Nie przeczytasz nigdy tych słów pisanych w  
świadomości narastającej pustki i bezsensu istnienia, w stanie krańcowego  
załamania, które będzie mi towarzyszyć już do końca. Ty jedna pojmiesz i  
zrozumiesz, dlaczego wybrałem świadomie takie wyjście... I ty jedna przechowasz  
klucz od naszej wspólnej tajemnicy. Widzisz, widzisz — przywołuję Cię ostatni

raz Twym najpiękniejszym, jedynym na świecie imieniem: Elisabeth, Lieschen! —  
wołam Cię, by Ci jeszcze raz wyznać to, o czym i tak wiesz od dawna, o czym  
wiedziałaś, gdy ja jeszcze byłem ślepy zupełnie i z niczego nie zdawałem sobie  
sprawy. I nikogo poza Tobą w całym moim życiu. Nikogo nigdy!... A teraz?...

Powiedz! Czy to będzie ucieczka? Zdrada? Czy to będzie jeszcze jeden,  
najcięższy grzech śmiertelny?... I czy Ty potrafisz mnie zrozumieć i przebaczyć  
nieszczęśliwemu?... Biedna mama... Powiedz jej, że zabiła mnie wojna, samo jej  
trujące tchnienie, jak zgładzi tylu innych... Albo lepiej nie mów jej nic."  
Spod lokalu matki Rozsa wychodzi gromada oficerów. Niektórzy mają porozpżinane  
bluzy, inni wachlują się furazerkami. Poziewają. W lokalu było duszno. Jest  
jeszcze ciemna noc, ale świt już bliski. W stronie miejskiej cegielni i  
Csigan-varos niebo jaśnieje. Pomiędzy konarami drzew, niby poprzez czarną  
koronkę, rysuje się na horyzoncie zielonkawa smuga, a na jej tle mruga i płonie  
bardzo jasna zielona gwiazda. Nad wejściem do lokalu matki Rozsa zgaszono już  
latarnie i ulica jest niemal jednolicie czarna. Pod parkanem naprzeciwko  
przemyka się pies i niknie za rogiem.  
Rotmistrz Malaterna przystaje, zapala zapałkę i przy jej nikłym żółtym płomyku  
sprawdza go-

256

dzinę na złotym zegarku. Jest pięć po czwartej. W pochwie pałasza rotmistrza  
odbija się poblask zielonawej smugi na wschodzie nieba. Potem gaśnie, gdy  
pałasz zmienia położenie, odsunięty w bok ruchem ręki chowającej zegarek do  
kieszonki w spodniach.  
Inni oficerowie również sprawdzają zegarki. Potem idą gromadą środkiem wąskiej  
ulicy w stronę koszar. Idą milcząc. Są senni. Ich ostrogi brzęczą. Ich kroki  
postukują po bruku. Mijają niskie parterowe domki, uśpione czarne ogrody,  
zmiennie strefy porannych zapachów. Pachną mocno zioła i susząca się w wiązkach



kukurydza, a także kurz na jezdni. Dopiero w okolicy Ferenc-József-ter jest nieco jaśniej. Przed piętrowym budynkiem poczty i przed magazynem braci Mullermann palą się słabo i chy-botliwie latarnie. Pod jedną z nich ktoś stoi. Przy pustych straganach kręci się, węsząc, chudy pies. Na widok zbliżających się oficerów niknie w ciemnym rogu placu za czarnym parkanem. Człowiek stojący pod latarnią woła przyciszonym głosem w ciemność podwórka za restauracją Hoffbauera: — Jozska! — a potem milknie, lecz będzie stać tam jeszcze przez chwilę. Dopiero gdy zbliżą się oficerowie, człowiek ten zniknie gdzieś, jakby się rozpląnął w rzedniejącym już mroku. W szybie jednego z domów narożnych przez krótki moment załśni odblask świtu. Robi się nagle zimno, a może tak się tylko wydaje niewyspanym oficerom. Jeden z nich przystaje, kuli ramiona i wzdryga się. Zaczynają rozmawiać PO niemiecku. Żaden z nich już się dzisiaj nie wyśpi, Zdrzemną się dopiero w wagonach, porozkładani lozmaicie: jeden oparty plecami o ściankę prze-ziału, z głową zwieszoną na piersi, inny skrecony Dokiem, wciśnięty ramieniem i policzkiem w kąt pod oknem, jeszcze inny, złożywszy głowę na skrzyżowanych ramionach, wszyscy pozapadają w dusz-

17 — Król Obojga Sycylii  
257

ny, niespokojny sen, w różnorakie sny wplecione w przeszłość i w mijane za oknami pejzaże, w krótkie nerwowe przebudzenia, w przecucia wydające się ułamkiem czyjegoś wypowiedzianego na głos zdania, w słowa wróżby jakiejś Cyganki wrócone pamięci sprzed dwu lat, sprzed roku, w strzępkach rzeczywistości i jej deformacjach, w powroty w krainę dziecka, konia i psa, w niewygodę wielogodzinnej drogi. W saloniku zaś na piętrze u matki Rozsa, na pluszowej kanapie śpi na wznak rotmistrz Karapanća. Leży z otwartymi ustami, chrapiąc. Jego buty z cholewami

stoją pod jednym z foteli odsuniętych od stołu zasłanego odpadkami jadła, pokrytego plamami wina i śliwowicy. Rotmistrz wyciągnął nogi w skarpetkach i czerwonych spodniach zwięzających się poniżej kolan, bardzo obcisłych w kostkach i zakończonych strzemiączkami. Gdy na którejś ze stóp usiądzie mucha, rotmistrz porusza palcami przez sen, najeżając jednocześnie wąsy. Gruba Klara jest tam również. Poziewając i przecierając kułakami oczy, siedzi w fotelu, wyciągnąwszy przed siebie nogi. Zdołała już przed chwilą roz-sznurować ciasny gorset, odpięła także podwiązki. Nogi puchną w takie upalne dni. W saloniku jest duszno, mimo iż jedna połowa okna jest uchylona. Okno wychodzi na zachód i dlatego nie widać stąd świtu. Inne dziewczęta od dawna śpią już na poddaszu. Tylko jedna z tych, które spędziły noc we wspólnej sali winiarni na parterze, żegna się jeszcze z żołnierzem pod parkanem, spoza którego zwisają gałęzie. Ciasno objęci, niemal zupełnie nieruchomi, stoją oboje po drugiej stronie ulicy.

Sala na parterze jest pusta. I tu pootwierano na rozcież okna. Nad bufetem pali się naftowa lampa, wokół której krąży wielka kosmata ćma. Z kuchni pojawia się mała Bezsi z miotłą na kiju i wiadrem pełnym wody. Podkasawszy spódnice, bosa i zasp-

258

na klęka, by umyć podłogę. Wylana z wiadra woda spływa szeroką strugą po nierównościach desek aż ku drzwiom. Stolik w sionce, przy którym urzędował sanitatsfeldwebel, jest pusty, a na nim stoi krzesło, stercząc czterema nogami do góry. Na jednej z nich powiesiła Bezsi mokrą szmatę. Przez uchylone drzwi od ulicy zajrzy za chwilę kudłata głowa cygańskiego wyrostka. Gotów w każdej chwili do ucieczki, gwizdnie cicho, i wtedy mała Bezsi, odwrócona do niego plecami, szorująca na klęczkach podłogę, obejrzy się. Wstanie i wygarnie na skrawek gazety niedopałki papierosów i cygar, potem wyjmie zza bufetu butelkę

nie dopitej raki j i i wszystko to poda chłopcu, który natychmiast zniknie.  
I winiarnia matki Supicić jest pusta i od dawna zamknięta o tej porze. Nikt nie  
idzie pustą ulicą Kerti. Gęste zarośla przy ścieżce skręcającej ku starym  
gliniankom są mroczne, nieprzeniknione i nieruchome. Wydaje się, że nawet  
ptaków w nich nie ma. Jest to godzina z pogranicza nocy i świtu, godzina  
przejmująca, nijaka i nieco dwuznaczna, w której łatwo rodzą się fantasmagorie  
i demony. Lecz nie ma w tej chwili nikogo, kto by je mógł napotkać,  
W jednym z okien komisariatu pali się światło. To pan podkomisarz Bogatović o  
tak wczesnej porze już pracuje.  
Dokonuje poprawek na swej prywatnej liście podejrzanych. Po namyśle,  
skreśliwszy wszystkich oficerów sycylijskich noszących wąsy, skreśla, acz z  
żalem, i dwu bezwąsych — leutnanta rezerwy ka Kocourka oraz oberleutnanta  
Franza Svo-- gdyż ich alibi jest, niestety, bezsporne. Po-zatem zaledwie trzech,  
których na dobitkę isarz nie zna, gdyż przybyli do Fehertem-P om dopiero w  
czasie mobilizacji, a co za tym,  
259  
brak szczegółowych danych, brak rezultatów obserwacji, jak również powodów do  
szczególnej osobistej niechęci. Są to — wyłonieni z listy w wyniku eliminacji —  
leutnant rezerwy Franilović (w cywilu, jak się zdaje — podkomisarz nie wie tego  
na pewno — dependent adwokacki z Agram), oberleutnant rezerwy Stavaruka,  
przybyły tu z Dalmacji, zdaje się ze Spalato, oraz młody Emil R. ze stałym  
miejscem zamieszkania w Wiedniu. „Skąd ten się tu znalazł, u nas, w dwunastym  
pułku, rekrutującym się w zasadzie z ziem korony świętego Szczepana?" — myśli z  
podejrzliwą niechęcią podkomisarz Bogato-vić i czuje, jak złość w nim narasta.  
Stawia energicznie przy trzech nazwiskach krzyżyki czerwonym ołówkiem, po czym  
nalewa sobie szklanekę śliwowicy, wychyla spory łyk, krzywi się, obciera palcami  
mokre wąsy, zapala cygaro. Wyciąga nogi pod stołem, uspokaja się z wolna, nawet

uśmiecha. Jest to jednak uśmiech drapieżny, a nawet złowieszczy. Ostro zakończony, sterczące wąsy pana podkomisa-rza unoszą się, tak że sięgają oczu.

Wyglądają jak czarne kły.

Inni niech sobie jadą na front, na złamanie karku, niech biją tych przeklętych

Serbów, lecz ta trójka zostanie tutaj, do czasu aż jednemu z nich udowodni się

zbrodnię popełnioną na młodej Cygance, Pan podkomisarz zaciera ręce i zabiera

się do pracy. Wygotowuje urzędowe wezwania, które wysle się przez wachmistrza

Yilajcicia do koszar, na ręce podejrzanych, odpisy zaś do dowódcy pułku. Lecz

prawa wojny są okrutne. Nie minie kilka godzin i do kancelarii podkomisarza

Bogatowicia wtargnie bez pukania i stanie na szeroko rozstawionych krótkich

nogach ujętych w skórzane sztylpy z nowiutkiej żółtej skóry temida militarna i

nie oddając wojskowego pokłonu zacznie wydawać krótkie szczeknięcia w języku

niemieckim. Osobistość ta w randze oberstleutnanta-audytora piątej armii,

260

™vmachuiąc przed stojącym na baczność przedsta-wSem sprawiedliwości cywilnej

Bogatov1C1em likiem nieszczęsnych wezwań dla trzech podejrzanych oficerów z

dwunastego pułku ułanów, oświadczy, iż o żadnym śledztwie tego rodzaju mowy być

nie może. On, oberstleutnant-audytor c.k. armii w stanie wojny, jest jedynie

władny prowadzić wszelkie śledztwa, ferować wyroki, i te de, i te de, odnośnie

do osób stojących pod bronią - zrozumiano? Co?

— Tak jest, panie pułkowniku! — podkomisarz Bogatović aż podskakuje, prężąc się

służbiście i przyciskając dłonie do szwów czarnych spodni, przetyka ślinę.

— Wy tutaj - krzyczy czerwony z irytacji audytor — zamiast ścigać wrogów

monarchii, szpiegów i zamachowców zatruwających studnie i mąkę przeznaczoną na

wypiek chleba dla c.k. armii, zabawiacie się głupstwami! Pod nosem macie

agentów „Czarnej Ręki”, a wam w głowie jakieś bzdury! Jakież Cyganki,

złodziejki, co?

— Tak jest, panie pułkowniku! Wedle rozkazu!

Stojący tuż za swym przełożonym jego pomocnik leutnant Alfred von Letnay, również noszący na kołnierzu czarne aksamitne patki, oznaczające, jak wszystkim wiadomo, przynależność do wojskowej służby sprawiedliwości, nie bez satysfakcji, a może ubawienia, przygląda się przestraszonej minie żandarma i być może, nawet się pod wąsem uśmiechnie. Jak większość zawodowych wojskowych, i on też nie lubi żandarmów.

— Ja, panie pułkowniku, właśnie w tej chwili... — bąka Bogatović. Rozsierdzony

podpułkownik Lam-masch, to unosząc się na obcasach, to opadając, przerwie mu:

— Alles Quatsch! Zrozumiano?

— Tak jest, panie pułkowniku!

— No!... — i pułkownik, nieco uspokojony, popra-

261

wiając szablę płaczącą mu się pod nogami, odpychając ją kolaniem, doda tonem

pouczenia:

— A w ogóle muszę zaznaczyć z całą surowością, iż posądzanie oficerów

cesarsko-królewskiej armii w stanie wojny o czyny nie licujące z honorem ich

zawodu i rangi jest karygodne i bezczelne. Wygląda na wrogą dywersję! Co? Jak?

— tu oberstleutnant przedrze z pasją wezwania i ciśnie je na stół. — Spocznij!

— ryknie na odchodnym, po czym obaj, pan audytor Lammasch i jego młody pomocnik

leutnant von Letnay, z brzękiem ostróg opuszczają komisariat bez pożegnania,

bez sięgnięcia bodaj końcami palców do daszków połowych czapek. Pan

podkomisarz, nie ochłonawszy jeszcze, przez dłuższą chwilę, już po

wyjściu obu panów oficerów, będzie stać wyprężony, wciąż salutując. Muchy zaś,

leniwie łażące dotąd po ścianach i oknie, przebudzone hałasem, przerażone,

zaczynają krążyć z szumem po kancelarii, objając się i tłukąc o szyby i drzwi

szafy, o sufit i klosz lampy, o portret Najjaśniejszego Pana. Minie kilka

minut, zanim się uspokoją i znów rozleżą sennie po kątach.

Pan podkomisarz Bogatović dopiero po dłuższej chwili opadnie ciężko na krzesło.

Ujmie skołataną głowę, w której jeszcze grzmia i pohukują groźne krzyki

dygnitarza w randze podpułkownika, w drżące i spotniałe dłonie. I tak będzie siedzieć bez ruchu przez kilka minut. A potem nagle się ocknie i sięgnie do szafki stojącej obok stołu. Wyjmie z niej szklankę z grubego szkła i butelkę rakiji. W lokalu komisariatu pojawi się, po jej odkorkowaniu, miła powonieniu woń śliwowicy banackiej. Garantizano prirodna rakija. Podkomisarz Bogatović popatrzy pod światło na zawartość szklanki, a potem wychyli ją jednym, haustem. Obetrze wierzchem dłoni wąsy i łyknie drugą szklankę. I już wykona ruch, by oba naczynia odłożyć z powrotem na swoje miejsce w głębi dębowej szafki zamykanej na sporą kłódkę,

262

iPf.7 w ostatniej chwili rozmyśli się i napełni ponownie szklankę z grubego

szkła złotawym pływ-

A gdy wypróżni piątą, a może jest to już szósta czy siódma szklanka, nagle

zdecydowany, wstanie, nałoży kapelusz z pękiem zielonych kogucich piór,

sprawdzi szczegóły uniformu, guziki bluzy i klamrę pasa po czym nieco

chwiejnym krokiem, trzymając się po drodze ścian i poręczy, zejdzie do piwnicy

komisariatu. Tam, w zupełnych ciemnościach, wymaca kłódkę i z niejakim trudem

otworzy celę numer jeden. Trzymając się odrzwi, rzuci w ciemność snop światła

ręcznej latarki elektrycznej. Ujrzy w jej białym blasku stojącego pod ścianą

młodego człowieka odzianego w sutannę z krzyżem prawosławnym na

piersiach. Człowiek ten, mrużący oczy w oślepiającym snopie światła, nosi

czarną brodę. Stojąc wciąż w progu celi bez okna, pan podkomisarz

Bogatović przygląda się więźniowi w milczeniu przez załzawione od

śliwowicy oczy. Więzień poruszy się i kajdany, którymi skuto mu ręce i nogi,

wydadzą metaliczny dźwięk. Podkomisarz Bogatović skinie na niego przywołujące

palcem, lecz tamten nie ruszy się z miejsca. Jego oczy, 'przywykłe już do

światła, goreją w smagłej twarzy. Obserwuje żandarma wzrokiem  
wyrażającym wzdarcie. Snop światła latarki trzymanej w chwiejącej się ręce  
Bogatowicia zalśni w krzyżu zawieszonym na piersi serbskiego popa, schwytanego  
przedwczoraj przez żandarmerię na Cygańskim Przedmieściu Fehertemplom.  
Rozszczepi się w wiązkę ostrych promieni, niby rozgwieźda, jak gdyby  
nagle rozchyliły się płatki wielkiego słonecznika. Zalśni również źrenice  
więźnia i kilka ogniw łańcucha łączącego kajdanki na jego rękach.  
Od tego blasku podkomisarz Bogatović zmruży oczy, a potem nabierze w nagłym  
ośnieniu pewności, iż stoi przed nim nie tylko groźny szpieg, na  
263  
zgubę Monarchii osobiście nasłany przez króla Piotra Karadźordzewicza, lecz i,  
zdemaskowany dzięki jego, Bogatowicia, czujności, sprawca bestialskiej zbrodni  
w starej gliniance, w pobliżu której schwymano go onegdaj. Wciąż trzymając  
latarkę w lewej ręce, podejdzie do młodego popa i z całej siły uderzy go prawą  
ręką w twarz.  
Potem z niejakim trudem, zdyszany, zataczając się wejdzie na górę i, już znów  
przy swoim stole w kancelarii, w której z portretu spogląda  
do-brotliwie-dostojne oblicze Najjaśniejszego Pana, podyktuje  
protokolantowi Marinie protokół zeznania serbskiego popa. Sam go podpisuje  
krzyżykiem w miejsce podsądnego. Dołączy akt ten w zalakowanej kopercie do  
pisma przekazującego więźnia władzom wojskowym. I dopiero wówczas odetchnie z  
ulgą. Odepnie klamrę pasa, rozluźni kołnierz, obetrze czoło chusteczką, zapali  
cygaro. Wyciągnie nogi pod stołem.  
W kilka zaś godzin później protokolant Marina będzie obserwować przez  
zakratowane okienko, jak dokonuje się akt przekazania niebezpiecznego szpiega i  
mordercy przez królewską żandarmerię cesar-sko-królewskim władzom wojskowym.  
Stojąc przy oknie i dłubiąc w zębach, zobaczy jak żandarm Vi-lajčić wyprowadza  
zakutego w kajdanki serbskiego popa, poszturchując go po drodze kolbą karabinu.

Na ulicy przed komisariatem czekają już na niego , dwaj młodzi żołnierze w mundurach honwedów. Na ich polowych czapkach widnieją pozatykane dębowe gałązki. Honwedzi mają jeszcze chwilę czasu, więc rozmawiając po węgiersku i śmiejąc się, zapalają papierosy.

I o tej samej porze dzieje się w mieście Feher-templom — Bela Crkva wiele innych spraw pozornie nieważnych, lecz w jakiejś mierze istotnych. Karczmarz Willi Hoffbauer w granatowym fartuchu nałożonym na sztuczkowe spodnie otworzy

264

" lokal. Spojrzy w bezchmurne niebo i ziewnie. Wejdzie do zajazdu dwu chłopów w wysokich czarnych czapkach. Trzy straganiarki zakrzętną się wokół swych zamkniętych na noc stoisk z warzywami i owocami. Odpędzą wałęsającego się psa. Stary Laszló, kelner w lokalu matki Supicić, wyjdzie, po-ziewając, z kuchni, postawi kubek z kawą na bufecie obitym blachą, ugryzie kawał białego pszennego chleba z plasterkiem paprykowanej słoniny, zamyśli się. Mała Bezsi wyleje brudną wodę z blaszanego wiadra. Chluśnie nią z rozmachem prosto w krzaki agrestu rosnące za płotem. Listki zadrżą i otrząsną z siebie krople, w których odbije się brzask różowego wschodu. Gruba Klara podniesie się z fotela i westchnąwszy zacznie powoli wstępować na skrzypiące schody wiodące na poddasze, gdzie od kilku godzin śpią już jej dwie koleżanki — Ilonka i Erzsika. Rotmistrz Karapanća przed godziną wyszedł. W pustym saloniku ciężki zaduch, mimo iż okna pootwierano. Kwaśna woń wina i ra-kiji oraz dym z cygar. W koszarach honwedów zagra pobudka poranna, na stacji zaś nad jednym z torów zapali się zielone oko semaforu. Uderzy w przejrzyste poranne powietrze wysoki słup dymu wyrzuconego z hukiem z komina krępej lokomotywy. Potem drugi i trzeci. I zaczną obracać się coraz prędzej czerwono malowane wielkie koła. Wtedy za ostatnią zwrotnicą, za budką dróżnika, już w polach, zerwie



się z głośnym ćwierkaniem stadko ptaków.

\_ A kiedy transport wojskowy numer... minie ostatnią zwrotnicę, tak jak można

było tego oczekiwać, panowie oficerowie rozsiada się w przedziałach Pierwszej i

drugiej klasy, poodpinają pałasze, złożą je na siatkach, jedni zdrzemną się,

inni będą zamysłem patrzeć przez okna, niektórzy wezmą się do gry w karty.

265

Będą pmawiać ze śmiechem, lecz i pewną dozą pokrytego żartami wzruszenia, jak

to, gdy pociąg ruszył już, zobaczyli, wychyleni przez okna, matkę Rozsa,

drepczącą w pośpiechu po peronie w swej długiej spódnicy, w koronkowej czarnej

bluzce śpię. tej pod szyją broszką — talarem Marii Teresy oprawnym w

złoto — niosącą na pożegnanie swych przyjaciół — a iluż ich liczy sobie wśród

oficerów sycylijskich ułanów! — ogromny bukiet kwiatów i dwie butelki wina,

zapóźnioną i zrozpaczoną, nie nadążającą za pociągiem, który przyspiesza,

wreszcie rzucającą podarki w pierwsze z brzegu przypadkowe okno mijającego ją

wagonu, zdyszana, a bodaj i roniącą łzy, rezygnującą w końcu z dalszej gonitwy,

stojącą bezradnie na pustym już peronie, wymachującą batystową chusteczką

odjętą od oczu — znikającą ostatecznie za kępą drzew, gdy pociąg skręca,

ostatni widok, ostatnie wspomnienie — Gruss Gott, Sizilien-Ulanen!

Auf Wiedersehen in Ungarlsch Weisskirchen!... Au-f Wiederschauen,

mężne liebe Kinder!...

I już. Wchodzą do przedziałów, rozsiadają się. Feldkurat pater Dzedzina

w długim waffenrocku układa swoje walizki oraz pudła na siatce. Składany polowy

ołtarz oraz cały aparat kultu — kielich, ornaty, stuły — wiezie jego ordynans,

jadący w sąsiednim wagonie przeznaczonym dla mannschaftu. Pater Dzedzina

wyciąga zza poły waffenrocku, z bocznej kieszonki spodni płaską buteleczkę

śliwowicy. Odkręca metalowy korek służący jednocześnie jako czarka i częstuje

kolegów. Szent Jdnos-al-dds! — strzemienne. Major Malaterna śmieje się

podkręcając węża. Baron Kottfuss jest w znakomitym humorze. Tuż przed odjazdem zrobił zdjęcie: dwie głowy kolegów w oknie wagonu, na którym ktoś kredą wypisał wielkimi literami: „filjen a kird-lyil Smrt Srbima!" Obaj oficerowie w ciasnym oknie przywarci policzkami jeden do drugiego zro-  
266  
v,T w ostatniej chwili pocieszne miny, i tak utrwa-  
vi 'e aparat barona

Kottfussa. Wyjdą zapewne na vm amatorskim zdjęciu migawkowym jak dwaj kłowni. Może ktoś po latach odnajdzie te zdjęcia, wywołane i skopiowane dopiero w Mitrovicy, lub też zaginą w zawierusze wojennej jak wiele innych przedmiotów wiezionych w tym pociągu.

W bufecie pustych już zupełnie koszar kawalerii w Fehertemplcm chłopak kuchenny podchodzi w tej chwili do portretu byłego patrona pułku, króla Obojga Sycylii Ferdynanda II, i pękiem piór na trzcinowym kiju omiata twarz zmarłego władcy z pajęczyn i kurzu. Sporo pajaków zalęgło się w dzikim winie porastającym jedną z ścian koszar.

Nazwa zmarłego dawno królestwa o dwu obliczach związana została na zawsze z pułkiem dwunastym ułanów. Jeszcze w latach Magenty i Solferi-na. Obojnakie, nieżywe królestwo. Maską tragicznego błazna. Twarz gipsowej maski. Martwe, puste  
oczy.

W takt kół wagonu, na korytarzu obok drzwi, będzie o tym mówić leutnant rezerwy Emil R. do swego przyjaciela i powiernika Zdenka Kocourka. Będzie mówić chaotycznie i w stanie niezdrowego podniecenia, jak w gorączce. Aż stan ten zaniepokoi przyjaciela. Dwudziestojednoletni zaledwie oficer ułanów sycylijskich Emil R. powie wiele zdań i słów niezrozumiałych dla kolegi. O przecuciu zbliżającego się końca, klęski, zagłady, o gwałtownym pragnieniu śmierci, o jakiejś rycinie widzianej przed laty, na której samotny jeździec cwałuje w noc poprzez pokryte zwłokami poległych pobojuwisko Solferina. I o

księżycu wstępującym na balkon — w wycięcie campanilli czarnej i posępnej jak  
widmo. I o wielu innych jeszcze sprawach. O rozerwanym naszyjniku z koralami i  
czyichś oczach. O jakimś śnie wróżącym koniec i o obrazie, na którym amazonka w  
czerni wychylona z siodła, unosząc się  
267  
w strzemionach, uderza w dzwon młotem osadzonym na długim drzewcu. I nawet ton  
tego dzwonu. — Requiem aeternam! Solferino, Solferino! -powtórzy parokrotnie. —  
Dla nas, jadących w tym pociągu-widmie, mimo iż dokoła nas skwarna,  
zalana słońcem równina — i dla piękna rozpaczy, i dla upojenia się beznadzieją  
i strachem przed miłością, i dla bezsennych nocy aż gęstych od rodzących się i  
natychmiast uciekających melodii, obrazów, barw... Koniec, koniec!... — aż  
podporucznik Kocourek będzie zdradzać coraz większy niepokój o stan ducha  
przyjaciela. Przyjmie jego słowa na serio i ze ściśniętym sercem. Nie zdoła  
przekonać ani pocieszyć kolegi i zniechęcony wejdzie do przedziału.  
Emil R. zostanie sam w korytarzu wagonu. I na tym mogłaby zakończyć się  
opowieść o kilku upalnych dniach lata, o ostatnich godzinach kończącej się  
epoki, o śmierci wieku dziewiętnastego, stulecia wielkich nadziei i wielkich  
rozczarowań. Rodzaj ballady o martwym już Obojnakim Królestwie i czasie  
bezpowrotnie minionym. Lecz wróćmy jeszcze na akt ostatni.  
Emil R., sam w pustym korytarzu wagonu, wyjmie z kieszeni na piersiach nie  
wysłany list i podrze go na drobne strzępy. Wysunie zaciśniętą dłoń za okno i  
rozchyli palce. Skrawki listu porwie pęd powietrza i rozniesie po mijanych  
podmokłych łąkach. Kilka strzępków, niesionych silniejszym podmuchaem, podleci w  
górze i w dół, bujając jak białe motyle kapustniki. Potem i one opadną  
między nadrzeczne szuwary. W ślad za listem Emil R. ciśnie i zielonooprawny  
kajet.  
A właśnie pociąg mija wielki most na wielkiej, szeroko rozlanej rzece. Wpada

między żelazne kratownice w huku, łomocie i migotaniu jaskrawych błysków  
pociętych, posiekanych na krótkie rażące oczy lśnienia. W huku pociągu otworzą  
się drzwi jednego z wagonów i wypadnie z nich człowiek na 268  
tory A może nawet stoczy się z mostu, roztrzaskując głowę o kamienne filary,  
lecz nikt z jadących nie zauważy tego. I nie będzie świadków, którzy by dali  
świadcstwo prawdzie, gdyż nie będzie nikogo, kto mógłby być świadkiem wypadku -  
jeśli w ogóle taki się wydarzył, a nie był jedynie majakiem zrodzonym z upału i  
zmęczenia podróży lub nieuniknionym fatalnym końcem ballady. Pociąg minął już  
most, który wisi teraz pusty nad wielką rzeką, niosącą liście i wiązki siana  
porwane niedawną po-wodzią.  
Należałoby uznać obraz rzeki i pustego nad nią mostu za zakończenie i poniekąd  
symbol. Patrząc z perspektywy lat, z rezerwą, nieufnością i spokojem, jaki daje  
doświadczenie oraz znajomość przyszłości, można dopiero należycie ocenić  
ważność, jak również względną nieważność faktów równoległych w czasie, dawno  
już spełnionych bez reszty. Ich złudną, a może jednak nieprzypadkową  
współzależność, a także nieco cierpki smak spraw bezpowrotnie minionych. Images  
d'Epinal tamtej epoki. Jej zetłałość, wyblakłość i dawność, jakby nie minęło  
zaledwie nieco ponad pół wieku, lecz całe stulecia. Względność ważności  
wszystkiego, należycie ocenioną dopiero z perspektywy historii, czyli czasu,  
który upływa.  
Można by zatem zacząć wszystko od początku. Tak albo inaczej. Lecz zakończenie  
byłoby jednakie, przeszłość bowiem jest nieodwracalna i niepodzielna w  
najdrobniejszych szczegółach. Mimo iż wiele spraw stało się od dawna  
nieważnych, a może 1 śmiesznych. Jak moda na afektację uczuć, na rozpacz i  
beznadzieję. Na przesadę. Jak sentymentalne tummy nieme z lat dziesiątych  
naszego wieku. Albo •iaujm?del sukni z „Wiener Modę” anno 1900. Jak nikły ślad

perfum zachowanych w kartach roczni-Ulustrierte" z roku 1914 czy też w

pu-odnalezionym po latach, a zawierającym obok

269